

A

Przygody kapitana Alatryste

Arturo
PÉREZ-REVERTE



Złoto króla

Arturo Pérez–Reverte

ZŁOTO KRÓLA

(LAS AVENTURAS DEL CAPITÁN ALATRISTE, #4:)

(EL ORO DEL REY)

Przełożył: Filip Łobodziński

Ilustracje: Karol Precht



Wydawnictwo: Muza 2005

„Przygody kapitana Alatryste” to opowieść o Hiszpanii pierwszej połowy XVII wieku. Na tronie zasiada młody, niemający na nic wpływu, Filip IV, wnuk potężnego Filipa II. Dwór habsburski powoli staje się labiryntem intryg, podchodów, wzajemnych świństw. Z jednej strony sprawujący rządy kanclerz, z drugiej sekretarz królewski, uprawiający własną podstępą politykę ramię w ramię ze złowieszczym inkwizytorem. Na skrzyżowaniu tych dwóch ośrodków władzy znajduje się Diego Alatryste y Tenorio, czterdziestoparoletni szermierz, wytrawny żołnierz. W czasie gdy nie jest na wojnie, dorabia, pojedynkując się w cudzych sprawach. Małomówny, raczej sceptyk, zna życie od najgorszej strony i może dlatego zachowuje wciąż elementarne zasady moralne.

Po powrocie z wojny we Flandrii kapitan Alatryste natychmiast dostaje kolejne zadanie. Musi udaremnić spisek sekretarza królewskiego przeciwko królowi i nie dopuścić do przejęcia złota płynącego z Ameryki Południowej. Znow na jego drodze staje zaprzysięgły wróg...

Spis treści:

- I. WISIELCY W KADYKSIE. 5
- II. SPRAWA DLA SZERMIERZA. 27
- III. STRAŻNICY I PACHOŁKOWIE. 53
- IV. DWÓRKA KRÓLOWEJ. 81
- V. WYZWANIE. 107
- VI. KRÓLEWSKIE WIĘZIENIE. 134
- VII. PO TUŃCZYKA I W ODWIEDZINY DO DIUKA. 162
- VIII. ŁAWICA W SANLÚCAR. 184
- IX. STARZY PRZYJACIELE I STARZY NIEPRZYJACIELE. 209
- EPILOG. 232

Dla Antonia Cardenala,
za dziesięć lat przyjaźni, kina i szermierki.

*Jaki z tego pożytek, waszmościowie?
Pochwała, nagroda, nuda śmiertelna?
Ten, kto to przeczyta, łącno się dowie.*

Garcilaso de la Vega, Elegia pierwsza



I. WISIELCY W KADYKSIE.

*Wielce jesteśmy przygnębieni, albowiem ci, co respekt są nam winni, wbrew nam czynią. Zaszczytne miano Hiszpanów, którzy niegdyś boje toczyli i przed którymi świat cały drżał z pokorą, teraz za sprawą naszych grzechów do cna zostało sponiewierane...*¹



amknąłem książkę i spojrzałem tam, gdzie wszyscy patrzyli. Po wielu godzinach ciszy morskiej „Jesús Nazareno” wpływał do zatoki, popychany wieczorną bryzą, która wśród skrzypień wydymała płótno na głównym maszcie. Żołnierze i marynarze przy burcie zgromadzeni w cieniu ogromnych żagli pokazywali sobie trupy Anglików, przepyszenie porozwieszane na murach zamku Świętej Katarzyny i na szubienicach rozstawionych wzdłuż wybrzeża na skraju winnic, co niemal do samego oceanu zstępowały. Heretycy przypominali kiście gronowe, co winobrania już wyglądają – z tą jeno różnicą, że dla tych było już po żniwach.

– Psy – Curro Garrote aż splunął w morze.

Oblicze miał zatłuszczone i brudne, jak zresztą my wszyscy – na pokładzie nie stawało wody ni mydła, a na domiar złego po pięciu tygodniach żeglugi z Dunkierki przez Lizbonę doskwierały nam gnidy

wielkie jak ciecierzycyca. Tak oto powracali do ojczyzny weterani z Flandrii. Garrote z posępną miną macał sobie lewe ramię, poważnie okaleczone przez Anglików wedle reduty Terheijden, i pocieszał się widokiem ławicy Świętego Sebastiana, na wprost pustelni i latarni morskiej, gdzie dymił wrak okrętu, który hrabia Lexte kazał podpalić z wszystkimi własnymi poległymi, jakich tylko mógł znaleźć, nim resztę swych ludzi wzięł na pokład i pierzchnął².

– Dostali za swoje – rzucił ktoś.

– Jeszcze skoczniej by tu tańcowali – zawyrokował Garrote – gdybyśmy na czas przybyli.

Dosłownie rozpierała go ochota, by jeszcze kilka kiści do owego kosza osobiście dorzucić. Owóz Anglicy i Niderlandczycy najechali Kadyks ledwie tydzień wcześniej w mocno przeważającej liczbie, jako we zwyczaju mieli, dziesięć tysięcy wojska na stu pięciu okrętach, gwoli złupienia miasta, puszczenia z dymem floty stojącej w zatoce i przejęcia galeonów, które wracały niebawem z Brazylii i Nowej Hiszpanii. Naturę ich opisał później wielki Lope de Vega w komedii Dziewka służebna, ze znanym sonetem:

Wszeteczny Anglik, widząc lwa Hiszpanii

*W gnieździe, najechał nas w podstępny zbrojny...*³

Przybył tedy ów Lexte niczym niecny a okrutny pirat, co jest synonimem każdego Anglika – lubo nacja ta uwielbia stroić się w przywileje i obłudę – i wylądował w wielkiej sile, zmuszając twierdzę Puntal⁴ do poddania. W owym czasie młody król Karol ni jego minister Buckingham nie potrafili wybaczyć afrontu, jakiego doznali, gdy ten pierwszy usiłował był pojąć za żonę infantkę Hiszpanii i przetrzymywano go w Madrycie, za nos wodząc,

aż wrócić do Londynu z niczym musiał – słowa me dotyczą wypadków, które może przypominają sobie waszmościowie, jak to kapitan Alatryste i Gualterio Malatesta o mały włos nie podziurawili tym dwóm kaftanów. Natomiast co do Kadyksu, owóz na przekór temu, co trzydzieści lat wcześniej Essex nam wyrządził⁵, teraz Bóg naszą wziął stronę – załoga była w pełni przygotowana, obrona stanęła na wysokości zadania, a do żołnierzy z galer diuka de Fernandina⁶ dołączyli mieszkańcy Chiclany, Mediny Sidonii i Vejeru, a także piechota, jazda i starzy wiarusi w okolicy stojący, i wszyscy razem wzięci takiego łupnia sprawili Anglikom, że tamtym obfita posoka pociekła i na dobre odechciało im się podobnych hazardów. Lexte przeto, srodze ucierpiawszy i do cna widoki na zwycięstwo postradawszy, pospiesznie na swe krypy wsiadł, snadź wiedział, że wcześniej niżli flota ze złotem i srebrem z Indii nadpłyną (z nami na pokładzie) galeony wojenne, sześć dużych okrętów i jeszcze siła mniejszych pod banderami hiszpańską i portugalską – w owym czasie imperium nasze wspólnym było, dzięki spadkowi, jaki po kądzieli otrzymał był wielki Filip Drugi Habsburg – a wszystkie najeżone wprost armatami, obsadzone mnogim wojskiem i urlopowanymi weteranami, ludźmi wybornie zaprawionymi w boju we Flandrii. Albowiem ledwie nasz admirał o wydarzeniach tutejszych w Lizbonie się wywiedział, gnał co sił w żaglach, żeby na czas zdążyć.

Teraz wszelako wraże okręty były jeno białymi kropeczkami na horyzoncie. Minęliśmy się z nimi poprzedniego wieczoru, i to z dala, jak podkuliwszy ogony, do nory wracali z nieudanej próby powtórzenia triumfu z roku dziewięćdziesiątego szóstego, kiedy to i miasto zażegli, i biblioteki miejskie złupili. Paradne, że Anglicy bez ustanku i nie bez ironii chełpią się klęską naszej tak zwanej Niezwycięzonej, wyprawą Essexu i podobnymi awanturami, nigdy aliści nie wspominają okazji, kiedy to im samym noga

się powinęła. Lubo nasza nieszczęsna Hiszpania cieniem już była dawnego imperium, otoczonym mnóstwem wrogów gotowych uszczknąć kąsek z naszego stołu i jeszcze kości poogryzać, ale przecie miał ów stary lew jeszcze kły i pazury, żeby skórę swą drogo sprzedać, zanim kruki do ścierniwa jego się zlecą oraz kupcy, którym luterancko–anglikańska obłuda – szatan ich wszystkich hoduje, a potem psubraty się w jedną watahę łączą – zawsze zezwalała jednocześnie i Boga gromko pochwalić, i piractwem tudzież nabijaniem kabzy się zatrudniać. Tak to już z heretykami jest, że profesja złodziejska w wielkiej estymie u nich pozostaje i za sztukę uchodzi. Jeżeliby zatem wierzyć ich kronikarzom, my, Hiszpanie, zawsześmy wojowali i w niewolę brali za sprawą pychy, żądz i fanatyzmu, wszyscy zasię wokół, co nam pięty podgryzali – łupili, sprzedawali i wyrzynali w imię wolności, sprawiedliwości i postępu. Ale, ale. Niejedno ujrzenie. W każdym razie wynikiem owej przesławnej wyprawy Anglików było trzydzieści utraconych okrętów pod Kadyksem, upokorzone sztandary i siła trupów na lądzie, może i z tysiąc, nie licząc maruderów i opilców, których nasi wieszali bez litości na murach i gałęziach. Tym razem sami zginęli od własnej broni, sukinsyny.

Naprzeciw twierdzy i winnic majaczyło nam już miasto, pełne białych domów z wysokimi wieżami, basztom podobnymi. Ominęliśmy bastion Świętego Filipa i gdy byliśmy dziobem na wprost portu, nozdrzami łowiliśmy już zapachy Hiszpanii tak, jak osioł woń trawy wyczuwa. Kilka armat powitało nas gromką salwą, na co odpowiedziały i działa z brązu, którymi szczyrzyła się nasza flotylla. Na dziobie „Jesusa Nazareno” już kupili się marynarze, żelazne kotwy gotując do rzucenia. A kiedy nareszcie na masztach zafurkotały żagle, zwijane przez załogę na rejach uczeponą, wsunąłem do plecaka *Guzmana z Alfarache* – zakupionego przez kapitana

Alatriste jeszcze w Antwerpii gwoli przyjemnego spędzenia podróży – i poszedłem dołączyć do mego pana i druhów jego na przednim pokładzie. Zgiełk był znaczny, niemal wszyscy w głos wyrażali radość, że ląd już tak blisko, że rychło kresu dobiegnie podróż tyle utrapień niosąca, że za nimi niebezpieczeństwo nieprzychylnych wiatrów, co od brzegu odpychają, odór pod pokładem, wymioty, wilgoć, na pół zepsuta woda, którą wydzielano nam po półkwatrze dziennie, suszony bób i robaczkliwe suchary. Mizerny jest los żołnierza na lądzie, ale po stokroć gorszy na morzu – gdyby miało być inaczej, snadź Bóg dałby nam nie stopy i dłonie, jeno raczej płetwy.

Kiedym już stanął obok Diega Alatriste, pan mój uśmiechnął się nieznacznie i położył rękę na moim ramieniu. Oblicze miał zadumane, jego jasnozielone oczy bacznie krajobraz obserwowały i pamiętam, jakem wówczas pomyślał, że nie tak wygląda człek, który do swego miejsca powraca.

– I otośmy znów tu dotarli, chłopcze.

Powiedział to w sposób zagadkowy, jak gdyby z rezygnacją. Jakby to miejsce niczym zgoła nie różniło się od innych. Ja tymczasem wpatrywałem się z zadziwieniem w Kadyks, w błyszczące w słońcu białe domy i majestatyczną, zielonobłękitną, obszerną zatokę. Jakże inne było owo słońce od tego, które spoglądało na me rodzinne Oñate, a przecie i to odczuwałem jako moje. Moje własne.

– Hiszpania – burknął Curro Garrote.

Uśmiechał się krzywo z łotrowskim grymasem, a nazwę naszego kraju wycedził, jak gdyby spluwał.

– Stara, niewdzięczna suka – dodał.

Trzymał się za okaleczoną rękę, snadź z nagłego nawrotu bólu, a może tylko zastanawiał się, po jakie лихо i w imię czego o mały włos nie postradał jej z całą resztą ciała w reducie Terheijden. Już miał dodać coś

jeszcze, aliści Alatryste rzucił mu ukradkiem surowe spojrzenie. Przenikliwa źrenica, orli nos i gęste wąsy przydawały kapitanowi wyglądu chudego, groźnego jastrzębia. Patrzył nań tak przez chwilę, potem zerknął na mnie i z powrotem przeniósł wzrok na malagijczyka, który głowę ostatecznie zamknął na kłódkę.

Kotwice już w wodę opadały i statek nasz zamarł na wodzie bez ruchu. Hen, wedle wstęgi piasku, co Kadyks ze stałym lądem łączy, z bastionu Puntal walił wciąż dym czarny, miasto wszelako niemalże nic nie ucierpiało od nawałnicy bitewnej. Ludzie na brzegu wedle składów królewskich i gmachu komory celnej zgromadzeni machali rękami, feluki i inne drobne stateczki z wiwatującymi załogami już się wokół nas uwijały, jakby Anglicy pierzchli z Kadyksu za naszą sprawą. Potem dopiero zmiarkowałem, że wzięli nas za flotę z Indii, co roku o tej porze powracającą, na której powitanie nie tylko oni, ale i łajdak Lexte zanadto się pośpieszył.



Hen... z bastionu Puntal walił wciąż dym czarny.

Klnę się tutaj, że i nasza podróż długa i niebezpieczną była, osobliwie dla mnie, bom nigdy przedtem zimnych mórz północnych na oczy nie oglądał. Opuściwszy Dunkierkę społem z siedmioma galeonami konwoju, kilkoma statkami towarowymi oraz baskijskimi i flamandzkimi okrętami korsarskimi – w sumie płynęło nas szesnaście żaglowców – przerwaliśmy niderlandzką blokadę w kierunku na północ, gdzie nikt się nas nie spodziewał, tam napadliśmy na niderlandzkich poławiaczy śledzi, gdzieśmy się sami zacnie obłowili, za czym opłynęliśmy Szkocję i Irlandię, by nareszcie spaść na południe pełnym oceanem. Frachtowce i jeden galeon opuściły nas po drodze, kierując się do Vigo i Lizbony, a reszta dużych jednostek pociągnęła dalej do Kadyksu. Korsarze zaś pozostali na

północy, myszkując w pobliżu angielskich wybrzeży i wybornie profesję swą doskonalcąc, to jest łupiąc, paląc i niepokojąc wraże flotyllę – podobnie jak tamci to samo czynili wobec nas na Antylach i gdziekolwiek się dało. Czasem snadź można Boga ucieszyć, bo kto mieczem wojuje... i tak dalej.

Podczas owego rejsu miałem sposobność w pierwszej w mym życiu bitwie morskiej uczestniczyć, a zdarzyło się to, gdy po przepłynięciu cieśniny między Szkocją a Szetlandami, kilka mil na zachód od wyspy Foula czy też Foul – czarnej i niegościnniej jak wszystkie tameczne ziemie szarym niebem zwieńczone – natrafiliśmy na znaczną flotyllę kutrów śledziowych, które Niderlandczycy buizen⁷ nazywają, konwojowanych przez cztery okręty luterskie, wśród nich jeden wielki, imponujący hukier. Nasze frachtowce trzymały się na uboczu, lawirując na nawietrznej, a tymczasem korsarze baskijscy i flamandzcy nuże jak sępy rybaków atakować, „Virgen del Azogue” zasię, nasz okręt flagowy, powiódł resztę, czyli nas, przeciwko wojennym jednostkom niderlandzkim. Heretykom jak zwykle oskoma przyszła, żeby artylerią nas przepędzić, przeto z daleka już pluły w naszą stronę ich czterdziestofuntowe działa i kolubryny, wielce bowiem sprawni w tej zabawie są ich marynarze, bardziej do morza nawykli niżli Hiszpanie. Jak dowiodła klęska Wielkiej Armady, w tej sztuce Anglicy i Niderlandczycy zawsze byli od nas bieglejsi, albowiem ich władcy i gubernatorzy zawsze wspierali wiedzę o morzu i dobrze płacili swym marynarzom, podczas gdy Hiszpania, lubo dostatek jej ogromnego imperium od morza zależał, odwróciła się doń plecami, wyżej ceniąc żołnierza lądowego niżli morskiego. Nawet ladacznice portowe mieniły się Guzmán albo Mendoza, służbę na lądzie poczytywano za rzecz wielce szlachetną, a marynarzy za profesję nikczemną. Skutkiem tego wróg dobrą artylerią na okrętach, zwinną załogą i doświadczonymi dowódcami w morskiej wojnie mógł się poszczycić, my zasię, lubo nie brakowało wśród

nas dobrych admirałów i pilotów ani też wybornych okrętów, na pokładzie mieliśmy najczęściej nader dzielną piechotę i niewiele krom tego. Mimo to w owym czasie ogromny strach budziliśmy, gdy do walki bezpośredniej dochodziło, dlatego też bitwy morskie polegały na tym, że Niderlandczycy i Anglicy usiłowali nas trzymać od się daleko, maszty nam łamać za pomocą artylerii i pokłady nam niszczyć, ażeby zabić wielu i resztę do poddania zmusić, my tymczasem na przekór temu przybliżaliśmy się gwoli dokonania abordażu, tylko wówczas bowiem okrutna i niepokonana piechota hiszpańska mogła dać z siebie wszystko.

Tak też przebiegła bitwa wedle wyspy Foula: my skracaliśmy odległość podług naszego obyczaju, a oni podług swego usiłowali nam to udaremnić, kropiąc z armat, ile wlaźło. Atoli „Azogue”, pomimo porwanego od salwy takielunku i pokładu krwią zalanego, zdołała wybornie wpłynąć pomiędzy heretyków i tak blisko ich okrętu flagowego, że już psubratom przedni pokład sztaksle nasze zamiatały. Z tamtej strony też drapacze w ruch poszły do abordażu i rychło siła naszych piechurów na hukier nieprzyjacielski przeskoczyło śród huku muszkietów i błysku pik tudzież toporów. Niebawem z pokładu „Jesusa Nazareno”, z którego od zawietrznej waliliśmy z arkebuzów do innego schizmatyka, ujrzeliśmy, że nasi dotarli do ichniejszego mostka kapitańskiego i z bliska odpłacają za każdą kulę, jaką tamci wcześniej z dala w naszą stronę ślali. Koniec końców wystarczy, jak powiem waszmościom, że najwięcej szczęścia te lutry miały, co się do lodowatej wody rzuciły gwoli ucieczki przed rzezią. Zdobyliśmy tedy dwa hukier, zatopiliśmy trzeci, czwarty pierzchł w oplakany stan, a korsarze zasię – nasi bracia katolicy z flamandzkiej Dunkierki bynajmniej w tyle przy tej robocie nie pozostawali – ku swemu wielkiemu ukontentowaniu złupili i spalili dwadzieścia dwa kutry, co się bezładnie we wszystkie strony po morzu błąkały, bezbronne niczym kury, gdy się do

kurnika lisica zakradnie. I o zmierzchu, który na tych szerokościach zapada w czasie, gdy w Hiszpanii dopiero popołudnie, postawiliśmy żagle i na południowy zachód ruszyliśmy, zostawiając za sobą spustoszenie, rozbitków i ogień.

Potem nie było już nijakich wydarzeń krom niedogodności z natury samego rejsu wynikających, jeżeli pominę trzydniowy sztorm pomiędzy Irlandią a przylądkiem Finisterre, który wszyscyśmy spędzili stłoczeni pod pokładem z *Ojciec nasz* i *Zdrowaś Mario* na ustach – nim zdołaliśmy jedno źle umocowane działo na powrót unieruchomić, rozgniotło kilku z nas o grodzie jak pluskwy – a który poważnie zniszczył galeon „San Lorenzo”, ten, co później odłączył się od nas i pożegłował w stronę Vigo. Niebawem w Lizbonie dobiegła nas nowina, że Anglik znów się na Kadyks wyprawił, co wielki niepokój w nas wywołało, tedy część okrętów, co się osłanianiem szlaku indyjskiego zatrudniały, ruszyła prosto ku Azorom gwoli ostrzeżenia i wzmocnienia floty ze skarbami, my zaś dzioby co prędzej ku Kadyksowi skierowaliśmy – aleśmy jeno angielskie plecy obaczyli, jak już nadmieniałem.

Cały ten czas wykorzystałem także na przyjemną i pożyteczną lekturę książki Matea Alemana⁸ tudzież innych, które kapitan Alariste był z sobą na pokład wniósł albo na nim znalazł – o ile mnie pamięć nie zwodzi, były wśród nich *Żywot giermka Marcosa z Obregonu*⁹, Swetoniusz i druga część *Przemysłnego szlachcica don Kichota z Manczy*. Podróż miała też dla mnie jedną korzyść praktyczną, która z czasem osobliwą okazała się zaletą. Owóż po mych flamandzkich awanturach, gdzie nabrał biegłości w rozmaitych wojennych rzemiosłach, kapitan Alariste i jego druhowie jęli mnie ćwiczyć w wybornym posługiwaniu się bronią. Szedł mi w tym czasie rącho szesnasty rok, ciało nabierało właściwych proporcji, niderlandzkie perypetie znacznie członki me zahartowały, temperament uspokoiły i ducha

wzmocniły. Diego Alatryste jak nikt inny wiedział, że gdy masz przy sobie zacne żelazo, równyś najwyższemu monarsze, i że kiedy karta się od ciebie odwraca, lepiej za broń chwycić, żeby na chleb zarobić – albo już zdobyty przed innymi obronić. Gwoli przeto dopełnienia mej edukacji i od twardej strony, której we Flandrii byłem liznałem, wprowadzał mnie także w arkana fechtunku. Owóż dzień w dzień szukaliśmy jakiego pustego miejsca na pokładzie, gdzie inni nam nie wadzili albo jeno tłoczyli się, by popatrzeć oczami znawców, przygarść uwag i porad rzucając, wspartych anegdotami o czynach i terminach raczej wymyślonych niżli prawdziwych. W takiej to wielce doświadczonej kompanii – jak bodaj już wspomniałem, nie masz lepszego mistrza nad człeka, co niejedną ranę odniósł – kapitan Alatryste i ja praktykowaliśmy sztychy, zwody, wypady i cofnięcia, pchnięcia dłonią do góry i dłonią w dół, trafienia punktą i różnymi częściami głowni oraz wszelkie inne manewry, które na przebogata sztukę szermierczą się składają. Nauczyłem się tedy walczyć zuchwale, podtrzymywać rapier przeciwnika przy jednoczesnym zadaniu ciosu prosto w pierś, okaleczać mu oblicze sztychem na odlew podczas wycofania, ciąć i kłuć tak rapierem, jak i sztyletem, ustawiać się pod światło latarni albo słońca, pomagać sobie bez skrępowania kopniakami i szturchnięciami, wreszcie na tysiące chytrych sposobów zarzucać płaszcz na klingę wroga, by zabić go w okamgnieniu. Krótko mówiąc, wszystkiego, co z szermierza mistrza czyni. I lubo nawet tegośmy nie podejrzewali, rychło miałem umiejętności zdobyte wypróbować w praktyce, albowiem czekał nas list w Kadyksie, pewien przyjaciel w Sewilli i niewiarygodna przygoda na ławicy Gwadalkiwiru. O wszystkim tym krok za krokiem waszmościom gotuję się teraz opowiedzieć.

Drogi kapitanie Alatryste, Może zdziwi cię ta przesyłka, którą w pierwszym rzędzie wykorzystać chciałem, by powitać waszmości z powrotem w Hiszpanii, żywiąc nadzieję, że szczęśliwie i w dobrym zdrowiu do kraju dotarłeś.

Dzięki nowinom, jakieś mi słał z Antwerpii, spod burego nieba nad Skaldą, zacny żołnierzu, mogłem wasze kroki śledzić i spodziewam się, że zarówno waszmość, jak i nasz drogi Íñigo cali i w dobrej kondycji przybywacie, pomimo podstępnego Neptuna wybiegów. Jeżeli tak jest w istocie, wiedz waszmość, że w stosownym momencie się zjawiasz. O ile bowiem zdołaliście wyprzedzić naszą flotę z Indii płynącą, błagam waszmości, byś do Sewilli przyjechał tak chyżo, jak tylko się da. Owóż w betyckiej stolicy Najjaśniejszy Pan nasz przebywa, albowiem wizytę z Królową Małżonką w Andaluzji składa. Szczęśliwym zrzędzeniem losu wciąż względami swymi łaskawymi darzą mnie i sam Philippus Czwarty, i atlant jego, hrabia–diuk (lubo wczorajszy dzień minął, jutrzejszy nie nadszedł, a tu jeden sonet bądź epigramat nieopatrzny może mnie kosztować kolejne wygnanie do mego Ultima Thule w Wieży Jana Opata), przeto i ja wraz z nimi zjechałem i robię tu wszystkiego po trochu, a może raczej dużo niczego, jak lada sekretarz. Ale są też potajemne sprawy, o których szczegółowo opowiem waszmości, gdy tylko los dozwoli uściskać cię w Sewilli. Chwilowo nie mogę zdradzić niczego ponad to. Może tyle jeno, że potrzeba zobaczenia się z waszmością jest doprawdy (i jak to często bywa) potrzebą żelazną.

Przesyłam waszmości jak najszczerze uściski, a także pozdrowienia od hrabiego de Guadalmedina, który również zawitał w te strony i popłoch wśród sewilskich serc niewieścich sieje właściwą sobie galanterią.

Twój dozgonny przyjaciel

Diego Alatryste list za pazuchę schował i w szalupie obok mnie się usadowił, pomiędzy naszymi tobołami. Zagadali przewoźnicy, za wiosła chwytając, te zanurzyły się w toni i oto „Jesús Nazareno” jął się z wolna oddalać, podobnie jak reszta stojących na kotwicy wyniosłych galeonów. Spoglądałem na czerń uszczelniającej kadłuby smoły, na czerwoną farbę i złocenia, na wymierzone w rozsłonecznione niebo maszty i gmatwaninę takielunku. Niebawem stanęliśmy na lądzie, z trudem rozchwiane nogi stawiając i niepewnie sunąc śród ludzi, niezwyczajni takiej przestrzeni po tygodniach na niewielkim pokładzie spędzonych. Syciliśmy oczy wiktuałami wystawionymi na ulicy przez sklepikarzy: były tam pomarańcze, cytryny, rodzyнки, śliwki, pachnące korzenie, peklowane ryby i mięsa, świeżo wypieczone, bielusieńkie chleby; słychać było znajome głosy, co zachwalały towary osobliwego autoramentu, jak genueński papier, berberyjski воск, wina z Sanlúcar, Jerezu i El Puerto, cukier z Motril... Kapitan kazał się ogolić tudzież włosy i wąsy ochędożyć we drzwiach pewnego balwierza, a ja stałem przez ten czas u jego boku i z wielkim rozglądałem się zadziwieniem. W owym czasie Kadyks, lubo na indyjskim szlaku położony, jeszcze rangą ustępował Sewilli, miasteczkiem był niedużym, miał może ze cztery, pięć gospód i winiarni, atoli po zalanych oślepiającym słońcem ulicach przesuwały się tłumy Genueńczyków, Portugalczyków, niewolników afrykańskich i mauretańskich, powietrze było przejrzyste, nastrój wesoły i jakże od flamandzkiego odmienny. Ledwieśmy dostrzegali ślady niedawnej walki, lubo wszędy przechadzali się żołnierze i uzbrojeni mieszkańcy, a po placu przed katedrą, gdzie dotarliśmy po wyjściu od balwierza, mrowiły się tłumy, śpieszące podziękować Opatrzności za ocalenie przed grabieżą i pożarem. Tam, zgodnie z umową, oczekiwał nas posłaniec od mości Francisca de Quevedo,

Mulat wyzwoleniec, który pokrótce w sytuację nas wprowadził, kiedyśmy się posilali tuńczykiem, pszenicznym chlebem i skropioną oliwą, gotowaną zieloną fasolką. Wszelkie podwody, jak powiadał, zostały zarekwirowane z uwagi na najazd Anglików, przeto najstosowniejszym środkiem, by do Sewilli dotrzeć, były galery królewskie. Należało tedy udać się do Puerto de Santa María i tam wsiąść na pokład takiej, która udaje się w górę Gwadalkiwiru. Mulat trzymał w pogotowiu niewielką łajbę z szyprem i czterema majtkami. Udaliśmy się przeto z powrotem do portu, on zaś po drodze wręczył nam listy polecające z podpisami diuka de Fernandina, informujące, że Diego Alatryste y Tenorio, żołnierz królewski urlopowany z Flandrii, i jego sługa Íñigo Balboa Aguirre mają prawo swobodnego przejazdu drogą wodną aż do Sewilli.

W porcie, zagraconym bagażami i żołnierskim ekwipunkiem, pożegnaliśmy się z kilkoma towarzyszami, co się tam i sam wałęsali, pochłoneńci a to grą, a to ledwie odzianymi sprzedajnymi dziewczkami, które polowały właśnie na klientelę świeżo z morza przybyłą. Curra Garrote na przykład napotkaliśmy, jak ledwie na ląd wyskoczywszy, już nad stolikiem się pochylał i godził w karty, bardziej poznaczone niżli na ospę chory weteran wojenny. Po uszy w grze siedział, świata bożego nie widział, kurtę miał rozpiętą, zdrowszą dłoń – ot, jakby co – na rękojeści lewaka położył, a tą drugą chwycił to za karty, to za szklanicę wina, wtrącając wespół z pozostałymi wszelakie „do kroćset”, „pies trącał” i inne przekleństwa, a tymczasem połowa tego, co w mieszku przywiózł, już wywędrować zdążyła do cudzych kieszeni. Aliści malagijczyk przerwał raptem partię, szczęścia nam życzył i dodał, że ani chybi rychło się spotkamy w tej czy tamtej stronie.

– A najpóźniej w piekle – zakończył.

Curra Garrote za sobą ostawiwszy, poszliśmy zagadać także do Sebastiana Coponsa – jak może waszmościowie pamiętacie, człek spod Hueski pochodził, był żołnierzem zaprawionym w boju, małym, czerstwym, twardym i jeszcze bardziej do gadania nieskorym niżli sam kapitan Alatryste. Copons powiedział nam, że parę dni spożytkuje w mieście, a potem także do Sewilli się wybiera. Liczył już pięćdziesiąt wiosen, siła kampanii miał za sobą, niepolicone blizny na ciele – ostatnia, pamiątka spod młyna Ruijter, przecinała mu skroń aż po ucho – może więc, jak wyjaśnił, czas pomyśleć o Cillas de Ansó, wioszczynie, w której na świat był przyszedł. Przytulna jaka niewiasta i skrawek ziemi wielce by mu dogodziły, o ile jeno nawyknie do koszenia zboża miast lutrów. Mój pan i Copons umówili się, że w Sewilli ponownie się spotkają w oberży Becerry. Na pożegnanie uścisnęli się w milczeniu, mocno i bez odstawiania komedii, co nader do ich charakterów przystawało.

Przykro mi było rozstawać się z Coponsem i Garrote – z tym ostatnim również, który pomimo długiego czasu, jakiśmy społem spędzili, nigdy sympatii we mnie nie wzbudził z tymi swoimi kędziorami, złotym kolczykiem i nieokrzesanym obejściem łajdaka z Percheles. Owóż rzecz w tym, że byli to jedyni towarzysze z naszej drużyny, co kompanii nam dotrzykali podczas podróży do Kadyksu. Cała reszta rozpierzchła się i pozostała gdzieś po świecie: Llop z Majorcki i Galisyjczyk Rivas dwie piędzi pod flamandzką ziemią, pierwszy wedle młyna Ruijter, drugi na reducie Terheijden. Biskajczyk Mendieta, o ile mi było wiadome, leżał powalony przez żółtą febrę w lazarecie w Brukseli, bracia Olivaresowie zasię, zgodziwszy druha mego Jaimego Correasa na giermka, zaciągnęli się na kolejną kampanię w regimencie hiszpańskiej piechoty mości Francisca de Medina po tym, jak nasz regiment z Cartageny srogo ucierpiał podczas oblężenia Bredy i teraz czekał, aż go na nowo sformują. Wojna we Flandrii

trwała pełną parą, powiadano przy tym, że z uwagi na znaczny koszt w złocie i ludzkich żywotach, jakiśmy ponieśli ostatnimi laty, hrabia–diuk de Olivares, faworyt i minister króla Filipa Czwartego, nakazał naszym wojskom na północy strategię obronną, by wydatków oszczędzić, a siły uderzeniowe zredukował do minimum. Powiadam waszmościom, że sześć tysięcy żołnierza zwolniono z powodu wysługi, albo i przymusem, czego skutkiem na pokładzie „Jesusa Nazareno” wracała do Hiszpanii znaczna liczba weteranów, już starych i niemocą złożonych, już to godziwie opłaconych, już to po odsłużeniu wymaganych lat w mundurze, już to wreszcie ku innym regimentom na Półwyspie i w śródziemnomorskich posiadłościach naszych się kierując. Niejeden z nich mocno był wojną utrudzony i jej ciężkimi terminami – ci, wtórując bohaterowi komedii Lopego, mogliby powiedzieć:

*Przebóg, jakż to mi krzywdę
Sprawił luterański syn?*

*Przecie Jezus ich na świat,
Jak i nas powołał, tedy
Może zgładzić ich czeredy
Łacniej niżli ty czy ja¹⁰.*

W porcie Kadyksu pożegnał się z nami również Mulat przez mości Francisca de Quevedo przysłany, wcześniej atoli pokazał nam ową przygotowaną łódź. Weszliśmy przeto na jej pokład, wiosłami odepchnęliśmy się od brzegu i ponownie minąwszy nasze przeogromne galeony – niezwykła to rzecz oglądać je na wodzie z tak bliska – szyper kazał żagle postawić, ile że wiatr wiał pomyślny. Popłynęliśmy skroś

zatokę ku ujściu Guadalete i niedługo przed zmierzchem dobiliśmy do burty „Levantiny”, smukłej galery, co stała zakotwiczona wśród innych podobnych na środku rzeki, z rejami zwiniętymi na pokładzie. W tle po lewej piętrzyły się góry, rzekłbyś, śniegiem okryte, w rzeczywistości z pobliskich salin pochodzące. Po prawej majaczyło burobiałe miasto z wysoką wieżycą zamku, co nad kotwicowiskiem pieczę miał. Puerto de Santa María główną bazę galer królewskich stanowiło, panu memu nieobcą jeszcze z czasów, gdy przeciwko Turczynowi i Berberom się po morzu wyprawiał. O galerach, machinach wojennych poruszanych za sprawą mięśni i krwi ludzkiej, także więcej wiedział, niżli wielu wiedzieć by sobie życzyło. Dlatego to po przywitaniu się z kapitanem „Levantiny”, który na widok naszych przepustek bez sprzeciwu na pokład nas wpuścił, Alatryste wyszukał wygodne miejsce przy luku strzelniczym, posmarował łapy nadzorca galerników ośmioma realami i rzucił się tam na nasze bagaże wraz ze mną, całą noc wszelako dłoni ze sztyletu nie odejmując. Jak bowiem zdradził mi szeptem i nie bez uśmiešku, co mu się pod wąsem błakał, na „rypałkach”, czyli galerach, każdy – od kapitana po ostatniego więźnia – będzie musiał co najmniej trzysta lat w czyścucu przecierpieć, nim się glejtu do wiecznej chwały dochrapie.

Spałem derką wełnianą owinięty, odnawiając znajomość ze szparko po mnie maszerującymi bestyjkami – tym razem były to karaluchy i wszy, aliści podczas rejsu na „Jesusie Nazareno” przywykłem już byłem do kompanii szczurów, pluskiew, pcheł i wszelakiego innego pełzającego robactwa, wszak każdy statek lub cokolwiek, co do pływania służy, ma ich na pokładzie legion, ten zasię potrafi się na załodze pożywić, na piątki czy post nie bacząc. Ilekroć przy tym budziłem się, by się podrapać, tuż obok napotykałem otwarte oczy Diega Alatryste, tak jasne, jak gdyby ze światła

księżycowego uczynione były, powoli pełzającego właśnie po naszych głowach i po masztach. Wspomniałem żart jego o zwolnieniu z czyścica. Nigdy nie słyszał ni słowa z jego ust na temat przepustki, o jaką poprosił kapitana Catona, gdy oblężenie Bredy kresu dobiegło, nigdy też nie zdołałem do jakiegokolwiek wyznania go nakłonić w tej sprawie – domyślałem się jeno, że pewną rolę w tej decyzji odegrała moja skromna osoba. Dużo później wywiedziałem się, że w którymś momencie Alatryste odrzucił kilka możliwości, wśród nich także wyjazd do Indii. Nadmieniałem już, że po śmierci rodzica mego pod bastionem Jülich w roku dwudziestym pierwszym kapitan na swój sposób zajął się moim wychowaniem, a w tym czasie snadź doszedł do przekonania, że po wojennych doświadczeniach flamandzkich, nader pożytecznych dla młokosa w moim wieku (o ile zdrowia, skóry ni zmysłów przy tym nie postrada), czas nadszedł, by o wykształcenie me i przyszłość zadbać, czyli do Hiszpanii powrócić. Alatryste dla syna swego druha Lopego Balboi nie żołnierskiej chciał profesji, lubom jego zapatrywaniom się z czasem sprzeniewierzył, gdy po Nordlingen¹¹, po obronie Fuenterrabia¹² i po wojnach w Portugalii i Katalonii zostałem chorążym pod Rocroi, dowodziłem chorągwią, za czym otrzymałem stanowisko porucznika kurierów królewskich, a potem kapitana gwardii hiszpańskiej Filipa Czwartego. Wyznam wszelako, że z takową biografią słuszność intencjom Diega Alatryste przyznać się godzi, albowiem lubo dzielnie walczyłem, jak na porządnego katolika, Hiszpana i Baska przystało, na niejednym polu bitewnym, niewiele mi z tego przyszło, więcej korzyści i awansów moim udziałem się stało za sprawą łaskawości króla i mego związku z Angelicą de Alquézar tudzież za sprawą fortuny, co nieodmiennie mi towarzyszyła, niżli dzięki samym wojskowym zasługom. Hiszpania bowiem, co rzadziej matką niż macochą bywała, zwykła źle odpłacać za krew w jej sprawie przelaną i wielu dużo bardziej znamienitych

mężów, co wcześniej niedolę cierpieli w bitwach i aproszach, teraz dogorywało pod drzwiami obojętnych urzędników, w przytułkach dla kalek albo pod bramami konwentów. Do mnie wszak los się uśmiechnął, aliści tacy ludzie jak Alatryste czy ja, gdy już kule przestały dzwonić im o pancerze, tak oto kończyli:

*Z ran tysiącaś krew utoczył,
Stukasz wszędy nadaremno,
Prośby swe zanosisz w ciemno,
Aż w szpitalu zamkniesz oczy.*

Niektórzy błagali już nie o pensję jaką, nie o mająteczek, godność wojskową czy chociażby chleb dla swych dzieci, ale mizerną jałmużnę za to, że okaleczeni spod Lepanto, z Flandrii albo i z samego piekła powrócili, a i tak przecie drzwiami im przed nosem trzaskano:

*W bój go posłał przecie król,
Na flamandzkiej ziemi ból
Zadał mu niewdzięczny los.
Jeszcze gotów jest po trzos
Zdrową dłoń wyciągać tu!*

Jak tuszę, sam kapitan Alatryste z wolna robił się stary. Nie sędziwy, zważcie waszmościowie, iż w owym czasie musiał liczyć czterdzieści kilka wiosen. Myślę tu o starości ducha, jaka dopada ludzi, którzy od pacholących czasów wojowali za prawdziwą wiarę, w nagrodę otrzymując jeno blizny, niedolę i biedę. Walka o Brede, w której Alatryste pokładał był niejaki nadzieje dla siebie i dla mnie, okazała się niewdzięczna i ciężka,

dowódcy niesprawiedliwi, marszałkowie okrutni, ofiara znaczna, a korzyści nader skromne. Lubo trafiło się nam łupienie Oudkerk i jeszcze kilka pomniejszych kasków, aliści po owych dwóch latach byliśmy właściwie równie ubodzy jak wprzód, jeśli nie liczyć wypłaty z okazji odprawy w postaci przygarści srebrnych eskudów (jaką jeno pan mój dostał, giermkom bowiem nie przysługiwała), dzięki której jako tako mogliśmy kilka miesięcy przeżyć. A mimo to kapitanowi jeszcze niejednokrotnie walczyć przyszło, gdy życie znów nas przywiodło nieubłagane pod hiszpańskie sztandary. Aż razu pewnego, z wąsem i włosami już mocno posiwiątymi, na moich oczach zginął tak, jak żył – na stojąco, z żelazem w dłoni i obojętnym spokojem w oczach – w bitwie pod Rocroi, owego dnia, kiedy najlepsza piechota pod słońcem dała się zaszlachtować, wierna swemu królowi, swej własnej legendzie i dawnej chwale. A wraz z nią przeminął i kapitan Alatryste, wierny sam sobie, przeminął takim, jakim go znałem w jakże rzadkim szczęściu i dużo częstszej niedoli. Dał świadectwo własnemu milczeniu. Po żołniersku.

Ale nie wybiegajmy naprzód z wydarzeniami i opowieścią. Jak wspomniałem waszmościom, coś w moim panu umierało już od dłuższego czasu. Coś, czego opisać nie sposób, a czego jałem się domyślać podczas tamtej podróży morskiej, co nas z Flandrii do Hiszpanii przywiodła. Spoglądałem nań oczami rosnącego w lata i rozum młodzieńca i widziałem, że ta właśnie strona duszy Diega Alatryste z wolna dogasa. Nie potrafiłem naówczas powiedzieć, co to jest, po dłuższym czasie dopiero zmiarkowałem, że może to o wiarę chodzi albo o jej pozostałości – wiarę w człowieczą kondycję albo w to, co heretyk nazwie przypadkiem, a człek pocziwy Bogiem. A może nie wiara, a bolesna pewność, że nasza nieszczęsna Hiszpania – a z nią pospołu i sam Alatryste – osuwa się w czeluść bezdenną i beznadziejną, z której przez całe wieki nikt ni jej, ni nas

wyswobodzić nie zdoła. Nadal tedy zapytuję siebie w duchu, czy to nie moja obecność wedle boku jego, moja młodość i spojrzenie me – przecież uwielbiałem go w owym czasie – sprawiły, że zmysłów do cna nie postradał.

Zmysłów, które w innych okolicznościach może uległyby unicestwieniu niczym muchy w karafce wina – w jednej z wielu, czasem zbyt wielu karafek. Albo zgoła w ostatecznej czarnej otchłani, jaką niesie lufa pistoletu.





II. SPRAWA DLA SZERMIERZA.



ędzie trzeba zabić – ozwał się mość Francisco de Quevedo. – I to niejednego.

– Mam jeno dwie ręce – odparł Alatryste.

– Cztery – wtrąciłem.

Kapitan nie odrywał oczu od karafki z winem, mość Francisco zasię szkiełka na nosie poprawił i popatrzywszy na mnie z zadumą, jął przyglądać się mężczyźnie, co przy stole po przeciwnej stronie izby siedział, w zaciemnionym kącie oberży. Był tam już, kiedyśmy przyszli, a nasz przyjaciel poeta zwał go imć Olmedilla, ot tak, w nijakie szczegóły nie wchodząc, na koniec dopiero wtrącił jeszcze słówko „buchalter”: buchalter Olmedilla. Człek ów skromnej postury, chudy, łysy i oblicza nader bladego, wyglądał zgoła na bojaźliwą mysz, a to pomimo czarnych szat i zakręconego na końcach wąsika, co sterczał ponad skąpą i rzadką bródką. Palce inkaustem miał powalane, czym jakiego kauzyperdę przypominał albo innego oficjalistę, co przy świecach czas śród ksiąg i papierzysk mitręży. Właśnie skinął głową ostrożnie, jakby twierdząco odpowiadał na nieme pytanie, przez mość Francisca mu zadane.

– Zadanie składa się z dwóch części – objaśniał Quevedo kapitanowi. – W pierwszej będziesz mu waszmość kompanii dotrzymywał przy kilku

fatygach... – Tu wskazał na człowieczka w kącie, któremu snadź nasza uwaga była obojętną. – Do drugiej sam będziesz mógł zatrudnić stosownych ludzi.

– Stosowni ludzie za rzecz całkiem stosowną uważają zadatek.

– Bóg zrządzi.

– Od kiedyż to wasza miłość mieszasz Boga w podobne hazardy, mości Francisco?

– Słusznieś rzekł. W każdym razie czy z Bogiem, czy mimo niego, złota akurat z pewnością nie zbraknie.

Zniżył głos, nie wiem, czy z powodu złota, czy też Boga. Przez ostatnie dwa lata, jakie minęły od czasu naszej awantury z inkwizycją, kiedy to mość Francisco de Quevedo, rumaka niemal na śmierć zajechawszy, uratował mnie był przed *auto da fé* – ładnych mu parę zmarszczek na czole przybyło. Ze znużeniem na licu sięgał jak zwykle co chwila ku karafce, wypełnionej tym razem starym białym winem z Fuente del Maestre. Słońce wpadało przez okno na złoconą gardę jego rapiera, na mą dłoń, co na stole leżała, i na orli profil kapitana Alatryste. Oberża Enriquego Becerry, jagnięciną w miodzie i duszoną wieprzowiną słynąca, leżała nieopodal lupanaru „Wodne Oczko”, tuż przy bramie Arenal. A z piętka, ponad domostwami i bielizną, przez dziewczki rozwieszoną do suszenia, dostrzec można było maszty i wimpe galer przycumowanych po drugiej stronie rzeki, na nabrzeżu Triany.

– Sam waszmość widzisz, mój kapitanie – dorzucił poeta. – Oto znowu bić się nam przyjdzie... Lubo tym razem na mą kompanię liczyć nie możesz.

Uśmiechał się przyjaźnie i kojąco, z owym osobliwym afektem, jaki zawsze nas z jego strony spotykał.

– Każdy – mruknął Alatryste – orze, jak może.

Odziany był na szarobrazowo, na wojskową modłę: kaftan zamszowy, gładki kołnierz oraz płócienne pludry i sztylpy. Swe poprzednie buty ostawił był, z uwagi na całkiem dziurawe podeszwy, na pokładzie „Levantiny”, wymieniając je u zastępcy nadzorca galerników na suszoną ikrę tępogłowa, gotowany bób i bukłak wina, dzięki którym podróż w górę rzeki upłynęła nam względnie dostatnio. Dla tej także snadź przyczyny mój pan raczej nie dąsał się zbytnio, słysząc, że pierwsza praca, jaką mu zaraz po zejściu na ojczysty ląd zlecają, oznacza powrót do starej profesji. Ważne było i to, że zadanie przekazuje mu druh serdeczny, i to, że przybywa on na zlecenie osób trzecich, w dodatku wysoko postawionych – atoli najważniejsze, wedle mego mniemania, że sakiewka, którą z Flandrii wieźliśmy, nie brzęczała już przy potrząsaniu. Co chwila kapitan przypatrywał mi się w zadumie i zapytywał siebie w duchu, czy w tym całym zamieszaniu jest miejsce i dla mnie, którym właśnie dobiegał szesnastu wiosen, a którego sam dopiero co niejednej sztuki nauczył. Ma się rozumieć, nie nosiłem podówczas rapiera, u pasa zwisała mi na krzyżu jeno moja poczciwa mizerykordia, aliści służąc na wojnie jako giermek, wielkiemu nabrał doświadczenia, byłem młodzieńcem żwawym, sprytnym, śmiałym i zawsze gotowym za przyrząd stosowny chwycić, gdy okazja tego wymagała. Alatryste, jak tuszę, wahał się wszakże, czy trzymać mnie z dala od tej kabały, czy mnie w nią wciągać. Po prawdzie jednak już nie od niego samego decyzja zależała. Nasze drogi życiowe już splotły się ze sobą na dobre i na złe. A poza tym sam przecie dopiero co mówił, że każdy orze, jak może. Mość Francisco zasię zdołał już zmiarkować, że zmęźniałem i że puścił mi się był cień pod nosem i na policzkach, z czego wnoszę, że zdania był podobnego: jestem w wieku, kiedy młokos równie dobrze może ciosy przyjmować, co i zadawać.

– Íñigo też – ozwał się poeta.

Nader wybornie znałem pana mego, wiedziałem tedy, że w tym momencie trzeba zamilknąć. Toteż język poskromiłem i podobnie jak on wzrok w karafkę wbiłem, co przede mną na stole stała – oto kolejny znak, że dorastał. Słowa mości Francisca nie były pytaniem, jeno stwierdzeniem czegoś, co zdawało się oczywiste, a Alatryste po chwili sam skinął głową z rezygnacją. Nawet przy tym na mnie nie zerknął, a ja uczułem w środku jakąś radość, nagłą i przemożną, którą chciałem ukryć, przysuwając karafkę do ust. Wino miało smak chwały i dojrzałego wieku. I przygody.

– Wypijmy zatem za Íñiga – rzekł Quevedo.

Wypiliśmy, a buchalter Olmedilla, ów blady człeczyna w żałobie, dołączył do toastu, aczkolwiek kielicha swego nie tknął, jeno skłonił głowę oschłym gestem. Dla Diega Alatryste, mości Francisca i dla mnie nie był to zgoła pierwszy toast owego dnia od momentu, kiedyśmy się po zejściu z „Levantiny” uściskali na moście z łodzi¹³, spinającym Trianę z Arenalem. Przemierzyliśmy z kapitanem drogę wzdłuż wybrzeża od Puerto de Santa María, minęliśmy miasteczko Rota, za czym wpłynęliśmy koło Sanlúcar na wody Gwadalkiwiru i skierowaliśmy się ku Sewilli, zrazu mijając sosnowe zagajniki na wydmach, potem zasię kępy drzew, sady i ogrody, obficie porastające brzegi owej sławetnej drogi wodnej, którą Arabowie nazywali Uad al-Qebir, czyli „wielką rzeką”. Ja wszelako z owego rejsu pamiętam nade wszystko gwizd, jakim nadzorca rytm galernikom nadawał, odór brudu i potu oraz ciężkie oddechy skazańców, którzy dzwoniąc łańcuchami, z miarową precyzją zanurzali i wyciągali wiosła z wody, pchając galerę pod prąd ku celowi podróży. Nadzorca, jego zastępca i strażnik przechadzali się środkiem pokładu, pilne na swych parafian baczenie dając, a bicz raz po raz opadał ze świstem na obnażone plecy któregoś galernika i dodawał nieszczęśnikowi kolejną szramę do jego krwawego kaftana. Wielce przykre

było patrzeć na wiosłarzy, stu dwudziestu mężów usadowionych na dwudziestu czterech ławach, po pięciu na jedno wiosło, na ich ogolone łby, szczeciniaste oblicza i lśniące od potu torsy, i widzieć, jak pochylają się do przodu i do tyłu, ciągnąc długie drewniane tyczki. Byli wśród nich mauretańscy niewolnicy, złapani tureccy piraci i odszczepieńcy, ale także chrześcijanie, co spędzali tu wyroki nałożone przez sąd, bo złota im nie wystarczyło, by zapłacić w porę, komu trzeba.

– Nigdy – powiedział mi Alatryste na stronie – nie dozwól, by cię tu żywcem przyprowadzili.

I patrzył beznamiętnie swymi jasnymi, zimnymi oczami, jak biedacy się uwijają. Napomykałem już, że pan mój wybornie znał ten świat, iż służył jako żołnierz na galerach regimentu neapolitańskiego podczas wyprawy na Goletę i Qerqenny, a po wojnie przeciwko Wenecjanom i Berberom sam w roku trzynastym omal w łańcuchy do bisurmanów nie poszedł. Po latach, gdy i ja w szeregi wojsk królewskich wstąpiłem, także Śródziemne Morze przemierzałem na tych korabiach i mogę teraz zaświadczyć, że mało rzeczy pływających wymyślił człek, które równie piekła są podobne. Ażeby pojąć, jak okrutnym życie galerników było, wystarczy rzec, że najsroźszych nawet zbrodni nie karano wiosłami na dłużej niżli dziesięć lat, rachowano bowiem, że dłużej człowiek nie wytrzyma, zdrowia, rozumu albo i żywota swego nie tracąc wśród tego trudu i batożenia:

*Jeśli zdejmiesz im koszule
I obmyjesz ciało gołe,
Znajdziesz łącno epistoły,
Wypisane krwią i bólem.*

W taki oto sposób, odmierzany gwizdkiem i wiosłem, dotarliśmy Gwadalkiwirem w górę do najniezwyklejszego na świecie całym miasta, ośrodka handlowego i targowiska, do galeonu ładownego złotem i srebrem, co między chwałą a nędzą stał zakotwiczony, między dostatkiem a trwonieniem, do metropolii oceanicznego morza i skarbów, które rokrocznie wpływały doń z Indii przepławiane, do miasta ludnego szlachcicami, kupcami, duchownymi, łotrzykami i nadobnymi niewiastami, do grodu tak bogatego, potężnego i pięknego, że ni Tyr, ni Aleksandria w najlepszych swych czasach nie mogłyby mu dorównać. Do wspólnej ojczyzny, szczodrego pastwiska i globu bezkresnego, do matki wszech sierot i azyłu grzeszników, jakże przypominającego całą Hiszpanię ówczesną wspaniałą zarazem i lichą, gdzie wszędy niedostatek widziałeś, aliści przy tym, kto umiał o życie zadbać, cierpienia nie zaznawał. Gdzie wprost kapało od bogactwa, a przecież – jako to i z życiem bywa – kto niebaczny krok uczynił, zaraz je tracił.

Gawędziliśmy sobie jeszcze dłuższą chwilę w oberży słowa z buchalterem Olmedillą nie zamieniając atoli gdy ten ostatni wstał od stołu, Quevedo nakazał nam, byśmy w ślad za nim ruszyli, lubo w pewnej odległości. Dobrze będzie – napomknął – jeśli kapitan Alatryste oswoi się z tym osobnikiem. Wyszliśmy na ulicę Tintores, rojną od obcokrajowców, którzy tłumnie tutejsze zajazdy nawiedzali, za czym skierowaliśmy się w stronę placu San Francisco i katedry, stamtąd zasię ulicą Aceite dotarliśmy do Mennicy, nieopodal Złotej Wieży, gdzie Olmedilla jakieś ważne sprawy miał. Ja, jak łąco się waszmościowie domyślać możecie, dreptałem z oczyma na wszystko szeroko wybałuszonymi: na świeżo zamiecione bramy, gdzie niewiasty wylewały wodę z glinianych naczyń i pielily doniczki, na sklepiki mydlarskie, korzenne i snycerskie, na skrzynie owoców pełne, na

połyskujące misy, nad progami przybytków balwierskich uwieszone, na drobnych kupców na rogach ulic, na wytworne panie przechadzające się w towarzystwie swych dam, na mężczyzn, co wiedli o interesach dysputy, na posepnych kanoników mułów dosiadających, na mauretańskich i murzyńskich niewolników, na domostwa ochrą i wapnem wymalowane, na świątynie kryte kafelkami, pałace, drzewka pomarańczowe i cytrynowe, na krzyże ustawione na pamiątkę czyjejś raptownej śmierci albo gwoli zapobieżenia, by przechodnie potrzebę załatwiali pod murami... A wszystko to pomimo zimy aż błyszczało w precudnym słońcu, tak ciepłym, iż pan mój płaszcz, a mość Francisco swą kurtę na ramionach złożyli, a haftki i guziki kaftanów mieli rozpięte. Przesławne miasto urok rzucało nie tylko swym naturalnym pięknem, ale i obecnością dworu królewskiego, albowiem licząca z górą sto tysięcy mieszkańców Sewilla aż kipiała z odświętnego ożywienia. Owego roku miłościwie panujący nam dostojny Filip Czwarty wyjątkowo postanowił uczcić osobiście przybycie floty z Indii, która wiozła znaczny zastrzyk złota i srebra z tamtejszych kopalni – raczej na zgubę naszą niżli na dobrodziejstwo – kierowany następnie ku Europie i całemu światu. Nasze zamorskie imperium – zbudowane całe stulecie wcześniej przez Cortesa¹⁴, Pizarra¹⁵ i innych łotrów, co zamiast skrupułów wielką zawziętością się wsławili (snadź nic krom życia do stracenia, a wszystko do wygrania mieli) – stało się w owym czasie stałym źródłem bogactw, które pozwoliły Hiszpanii prowadzić wojny w obronie swego wojskowego panowania i prawdziwej wiary przeciwko całemu światu. A pieniędzy tych osobliwie, jeśli to możliwe, potrzeba było właśnie w naszej ziemi, gdzie – jak już nieraz napomykałem – wszyscy nosa zadzierali, praca w niewielkim się znajdowała poważaniu, handel nie najlepszą famą się cieszył, a najlichszy prostak marzył, ażeby tytuł szlachecki uzyskać, podatków nie płacić i nie musieć pracować. Dlatego to

młodzi woleli szczęścia szukać w Indiach albo we Flandrii, niżli wędnać na ugorze, na łasce próżniaczego kleru, nieuczzonej i spodlonej magnaterii tudzież przekupnych urzędników, co krew i soki żywotne potrafią z człeka wyssać – a kiedy nieobyczajność w obyczaj się przedzierzga, łącno koniec republiki dostrzec można, kto bowiem nieobyczajny, dobrego imienia już nie traci, a wszelka nikczemność za naturalną uchodzi. Tak to dzięki sutym złożom amerykańskim Hiszpania przez długi czas utrzymywała imperium wsparte na obfitości złota i srebra, na silnym pieniądzu, który służył zarówno, by wojsko opłacać (jeśli do wypłaty dochodziło...), jako też by towary i wyroby cudzoziemskie sprowadzać. Do Indii wysyłaliśmy wprawdzie mąkę, oliwę, ocet i wino, aliści poza tym wszystko trzeba było z zagranicy przywozić. Przeto szukaliśmy dostawców po innych krajach, a główną kartą naszą były złote dublony i sławetne srebrne monety ośmiorealowe, nader wysoko wszędy cenione. Kraj utrzymywał się tedy dzięki ogromnym ładunkom monet i sztab kruszcowych, co z Meksyku i Peru płynęły do Sewilli, skąd wędrowały następnie do całej Europy, a nawet do krajów Orientu, docierając aż do Indii Wschodnich i Chin. Godzi się wszelako wspomnieć, że bogactwa owe bardziej na pożytek reszty świata niżli samej Hiszpanii przybywały, Korona bowiem w długach stale po uszy siedziała, wydając pieniądze, zanim jeszcze nadeszły, skutkiem czego złoto zaraz po przybyciu wyciekało na zewnątrz, już to do rejonów wojną ogarniętych, już to do skarbców naszych wierzycieli Genuńczyków i Portugalczyków, a nawet w łapy wrogów naszych, co zgrabnie w słowa ujął sam mość Francisco de Quevedo w swej nieśmiertelnej strofie:

*Gdy już na świat się wykluje
Z łona indyjskich kopalni,
Dogorywa wnet w Hiszpanii,*

By do grobu wniść w Genui.

Łotrom zasię alleluja,

Gdy poń sięgną, zgoła nie śpiąc.

Oj, nie cesarz to i nie ksiądz,

To mospan Pieniądz¹⁶.

Pępowiną, co biedną Hiszpanię – lubo przecie nader dostatnią – przy życiu trzymała, była flota kursująca z Indii Zachodnich, na morzu na niebezpieczeństwo narażona groźnych huraganów i niemniej srogich piratów. Łacno wnosić więc można, że jej przybycie do Sewilli nieopisaną radość wywoływało, a to z tej racji, że krom złota i srebra królowi i innym osobistościom należnego przywoziła także koszenilę, indygo, drewno kampszowe i fernambukowe, wełnę, bawełnę, skóry, cukier, tytoń i korzenie, że nie wspomnę o papryce, imbirze i chińskim jedwabiu, który dostarczano z Filipin przez Acapulco. Nasze galeony przeto płynęły z Nowej Hiszpanii i Nowej Granady, za czym łączyły się na Kubie w jedną monstrualną flotę. Nieodzowne jest też dodać, że na przekór niedostatkom, trudnościom i katastrofom hiszpańscy marynarze za punkt honoru poczytywali sobie, by się w tej robocie wybornie sprawiać. Nawet w najgorszych chwilach – raz jeno Niderlandczykom udało się całą naszą flotę przechwycić – statki nasze niestrudzenie przemierzały ocean w tę i z powrotem, a wyjąwszy kilka zaledwie niepomyślnych trafów, na niczym spełzały ataki piratów francuskich, niderlandzkich i angielskich. Snadź dzielnie stawała samotna Hiszpania w tej wojnie, którą toczyła przeciwko trzem potęgom, gotowym rozszarpać na strzępy jej wielkie imperium.

– Mało łapsów – zauważył Alatryste.

Istotnie. Flota przyplłynąć miała lada chwila, król osobiście Sewillę nawiedził, gotowano się do ceremonii religijnych i publicznych uroczystości, a przecie niemal nie widziało się na ulicach strażników ni pachołków. Ci nieliczni, jakich napotkaliśmy, szli grupkami, więcej żelaza niosąc na sobie, niżlibyś w biskajskiej hucie uświadczył, po zęby uzbrojeni i własnym cieniem zatrwożeni.

– Przed czterema dniami do incydentu doszło – objaśnił Quevedo. – Sąd chciał zatrzymać żołnierza z galer po stronie Triany przycumowanych, z odsieczą pośpieszyli mu inni wojacy i ich giermkowie, wszyscy przy rąbaninie po łokcie ręce sobie urobili... Na koniec pachołkowie dopadli rzeczzonego, atoli żołnierze turmę otoczyli i zagrozili, że ogień zażegną, o ile kamrata z powrotem nie dostaną.

– I jaki kres tej historii?

– Aresztowany jednego strażnika był zgładził, przeto powiesili go na kracie, nim przed sądem zdołał stanąć – poeta zaśmiał się cichutko. – Teraz zaś wojsko szykuje się gwoli zapolowania na pachołków, a straż ośmiela się poruszać jeno w drużynach i z nadzwyczajną ostrożnością.

– A król co na to wszystko?

Staliśmy w cieniu Furty Węglowej, tuż popod Srebrną Wieżą, czekając, aż imć Olmedilla załatwi swe interesy w Mennicy. Quevedo wskazał nam mury dawnej twierdzy arabskiej, co aż ku arcywysokiej dzwonnicy katedry się ciągnęły. Żółto–czerwone uniformy gwardii hiszpańskiej – ani nam przyszło do głów, że po wielu latach i ja takowy przywdzieję – uwijały się na blankach, wystrojonych w monarsze godła. Inni halabardnicy i arkebuzerzy doglądali głównej bramy.

– Nasz święty, katolicki majestat królewski dowiaduje się o tym jeno, co mu doniosą – rzekł Quevedo. – Wielki Philippus mieszka w zamku, który opuszcza po to jedynie, by na polowanie wyruszyć, w święcie udział wziąć

albo w jakim klasztorze nocną wizytę złożyć... Nasz przyjaciel Guadalmedina mu, oczywista sprawa, towarzyszy. Bardzo sobie do gustu nawzajem przypadli.

Wypowiedziane przezeń słowo „klasztor” przywiodło do mnie ponure wspomnienia i aż mnie dreszcze przeszły, gdy pomyślałem o nieszczęsnej Elvirze de la Cruz i o tym, jak niewiele brakowało, bym i ja się na stosie usmażył. Mość Francisco tymczasem przypatrywał się pewnej zacie wygląającej pani, za którą postępowały dama do towarzystwa oraz mauretańska niewolnica, objuczona kosztami i pakunkami. Nie chcąc zbrukać sobie szat nawozem końskim, co w okazałych ilościach ulicę pokrywał, pani uniosła nieco rąbek spódnicy, ukazując zgrabne patynki korkowe. Gdy już nas minęła, kierując się ku stojącemu opodal, zaprzężonemu w dwa muły powozowi, Quevedo szkła sobie na nosie poprawił, za czym wielce dwornym gestem kapelusz zdjął z głowy. „Lisi”¹⁷ – wymamrotał z rzewnym uśmiechem. Niewiasta okryła się na powrót płaszczkiem, przedtem atoli odpowiedziała poecie lekkim skinieniem głowy. Dama do towarzystwa zasię, w czerń obleczonej starowina o powierzchowności kruka i z różańcem o piętnastu paciorkach, spiorunowała go wzrokiem, na co mość Francisco pokazał język. Spoglądając, jak się oddalają, uśmiechnął się ze smutkiem i bez słowa ponownie ku nam się obrócił. On sam odziany był ze zwykłą u niego powściągliwością: w buty ze srebrnymi sprzączkami, pończochy z czarnego jedwabiu, ciemnoszarą szatę i takiż kapelusz z białym piórem. Spod kurty, zwiniętej na jedno ramię, wyglądał czerwono haftowany krzyż Zakonu Świętego Jakuba.

– Klasztory to jego specjalność – dodał po dłuższej przerwie, wodząc wciąż rozmarzonym wzrokiem w ślad za damą i jej orszakiem.

– Czyja, Guadalmediny czy króla?

Teraz to Alatryste pod żołnierskim wąsem się uśmiechał. Quevedo nie śpieszył się z odpowiedzią, a nim jej udzielił, westchnął głęboko.

– Obydwu.

Stanąłem wedle poety, lubom na niego nie patrzył.

– A królowa?

Zapytałem niedbale, z całym respektem i należytymi manierami. Ot, pacholeca ciekawość. Mość Francisco wszelako jął mi się bacznie przyglądać.

– Urodziwa jak zawsze – odparł. – I w posługiwaniu się mową hiszpańską postępy niejake poczyniła – tu zerknął na Alatrystego i znów oczy na mnie obrócił. Dostrzegłem w nich za szkiełkami krotochwilne iskierki. – Ćwiczy ze swymi damami, pokojówkami... I z dworkami.

Serce tak mi łomotało, żem się zląkł, czy zdołam to ukryć.

– Wszystkie kompanii jej w podróży dotrzymują?

– Wszystkie.

Ulica aż zawirowała przede mną. Zatem ona też przebywa w tym fascynującym mieście. Rozejrzałem się wokół, po otwartej przestrzeni Arenalu, rozpościerającej się pomiędzy centrum miasta a Gwadalkiwirem, a był to jeden z najpiękniejszych tutejszych widoków: Triana po przeciwnej stronie, żagle karawel do połowu sardynek i krewetek, wszelka różnaitość łodzi i statków, w dół i w górę rzeki płynących, galery królewskie przycumowane wzdłuż brzegu Triany aż po most z łodzi, wypiętrzony plac Altozano i stojący przy nim posępny pałac inkwizycji, wreszcie obfitość największych okrętów – istny las masztów, rej, want, żagli i proporców – wszędy zasię rojno było od ludzi, kramów kupieckich i towarów, do tego jeszcze rozlegał się hałas przez cieśli okrętowych czyniony u ujścia potoku Tagarete, gdzie po dymach i sięgających w niebo żurawicach portowych

snadnie poznać można było, że wre praca skrobaczy i smolarzy, przy uszczelnianiu statków zatrudnionych:

Biskajczyk zwozi tu sznury, Bierwiona, rud całe góry; Ambrę zaś bogacz z Indii, Perły, skóry, srebro, złoto i kampszyn tu do miasta.

*Piach ten na pieniądzu wzrasta*¹⁸

Wspomnienie komedii *Arenal*, którą jeszcze gołowąsem będąc, miałem możność oglądać na podwórku Príncipe, społem z kapitanem Alatryste, owego pamiętnego dnia, gdy Buckingham i księżę Walii bili się u jego boku, głęboko zapadło mi w duszę. I oto raptem to miejsce i to miasto, na naturalną modłę przewspaniałe, w magię się przyoblokło i w cudowność. Angélica de Alquézar też tu była i miałem szansę ją obaczyć. Spojrzałem spode łba na mego pana, lękając się, czy konfuzja, jaka mnie ogarnęła, w oczy się nie rzuca. Szczęśliwie inne sprawy uwagę Diega Alatryste zaprzętały.



Surowy, w czerń odziany po szyję, w ciemnym, wąskim kapeluszu bez piór...

Przypatrywał się buchalterowi Olmedilli, który interesy swe już był zakończył i teraz maszerował ku nam z wylewnością taką, jak gdybyśmy mu mieli ostatnich namaszczeń udzielić: surowy, w czerń odziany po szyję, w ciemnym, wąskim kapeluszu bez piór i z tą osobliwą rzadką bródką, co dodatkowo jego mysią i szarą powierzchowność uwydatniała. Minę miał nieprzytulną, kwaśną i wybitnie śledzienniczą.

– A na cóż my temu ofermie możemy być potrzebni – mruknął kapitan, patrząc na tamtego spode łba.

Quevedo wzruszył ramionami.

– Ma tu pewną misję do spełnienia... Końce sznurków są w rękach samego hrabiego–diuka. A ten niejednemu szyki pomiesza.

Olmedilla przywitał się suchym skinieniem głowy, za czym ruszyliśmy jego śladem ku bramie Triany. Po drodze Alatryste półgłosem indagował

poetę: – Czym on się zatrudnia?

Pan de Quevedo takim samym tonem odrzekł: – Właśnie tym: prowadzeniem ksiąg. Zna się na rachunkach... W liczbach się wybornie orientuje, w taryfach celnych i im podobnych sprawkach. Juana Leganesa¹⁹ kładzie na łopatki.

– Czyżby ktoś ukradł więcej niżli zazwyczaj?

– Zawsze ktoś kradnie więcej niżli zazwyczaj.

Szerokie rondo rzucało na twarz Alatristero głęboki cień, w którym jeszcze jaśniej jarzyły się jego oczy, rozświetlone odbiciem słonecznego Arenal.

– A czemu nas do tej partyjki zaproszono?

– Ja tu jestem jeno pośrednikiem. Z Dworem łączą mnie dobre stosunki, król chciwie mych konceptów słucha, królowa uśmiechy mi posyła... Wyświadczam drobną przysługę faworytowi, a on mi się odwdzięcza.

– Rad jestem słyszeć, że wreszcie Fortuna łaskawszym okiem na waszmości spogląda.

– Ale nie mówże o tym waszmość zbyt głośno. Już tyle razy mi nogę podstawiała, że przyglądam jej się nader nieufnie.

Alatristero popatrzył na poetę z rozbawieniem.

– W każdym razie wielceś zdwormiał, mości Francisco.

– Nie pierdolże, mości kapitanie – Quevedo poskrobał się skonfundowany po karku. – Nieczęsto muzy towarzyszą mi przy ciepłej strawie. Teraz przysłyły pomyślne czasy, jestem popularny, wiersze moje wszędy są czytowane... Jak zwykle, przypisuje mi się nawet te, których nie pisałem, również pewne wypierdki tego samcołożnika Gongory, wszetecznika i sodomity, którego przodkowie boczek wielkim łukiem omijali i w Kordobie gwozdki w podeszwy wbijali, mają tam zresztą tabliczkę z nobilitacją pod powałą katedry. Właściem raczył powitać

ostatnio ogłoszone poezje owego nieudacznika wcale zgrabnymi decymami, których końcówka brzmi:

*Poniechajże już prykania,
Bo dla Parnasu nie człękiem,
A zwykłym stałeś się ściękiem,
Z którego smród się wyłania.*²⁰

... Ale wracając do spraw poważniejszych, nadmieniałem już waszmości, że hrabia–diuk łaskawie życzy sobie, bym stronnictwu jego sprzyjał. Schlebia mi i posługuje się mną... Co do waszmości zasię, kapitanie, możemy mówić o osobistym kaprysie faworyta: dla jakiejś to przyczyny o tobie pamięta. Z Olivaresem różnie bywa, to może być dobra albo i zła nowina. Oby chodziło o tę pierwszą. Poza tym kiedyś zaofiarowałeś mu swe usługi szermiercze, jeśli by pomógł ocalić Íñiga.

Alatriste rzucił mi szybkie spojrzenie i skinął powoli głową zadumany.

– Ma piekielnik dobrą pamięć – ozwał się.

– Tak. Kiedy na czymś mu zależy.

Mój pan zmierzył wzrokiem buchaltera Olmedillę, który kilka kroków przed nami maszerował z rękami z tyłu skrzyżowanymi i szorstko przeciskał się wśród portowej ciżby.

– A ten to do gaduł nie należy – ocenił go kapitan.

– Nie – Quevedo zaśmiał się drwiąco. – Pod tym względem utworzycie zgrabną parkę.

– Czy to znaczna persona?

– Już mówiłem: urzędnik jeno. Wziął wszelako na siebie całą papierkową robotę w procesie o malwersację, jaki wytoczono Rodrigowi Calderonowi...²¹ Wystarczające referencje?

Tu poeta zamilkł, pozwalając kapitanowi przeżyć i skojarzyć zaskryszane informacje. Wreszcie Alatryste zagwizdał przez zęby. Egzekucja publiczna potężnego Calderona swego czasu całą Hiszpanię poruszyła do głębi.

– A komu teraz depta po piętach?

Quevedo pokręcił dwukrotnie głową i jeszcze przez kilka kroków się nie odzywał.

– Ktoś to waszmości wyjawi dzisiejszej nocy – powiedział wreszcie. – Powiedzmy, że Olmedilla, a przy okazji i waszmość, dostajecie zadanie bezpośrednio od mości faworyta, ale tym ostatnim powoduje ktoś jeszcze potężniejszy.

Alatryste aż głową pokręcił z niedowierzaniem.

– Racysz sobie ze mnie dworować, mości Francisco.

– Jak mi Bóg miły, że nie. I niech mnie czart porwie, jeśli łzę... Albo niech mi cały talent z mózgu wysączy ten garbusek Ruiz de Alarcón.

– Do kroćset.

– Toż samo i ja powiedziałem, kiedy mi rolę pośrednika powierzano: do kroćset. Dobra wiadomość jest taka, że jeśli wszystko się powiedzie, wzbogacisz się waszmość o ładnych kilka eskudów.

– A jeżeli się nie powiedzie?

– Wówczas obawiam się, że zatęsknisz do okopów pod Bredą. – Quevedo westchnął i rozejrzał się, jakby chciał temat zmienić. – Żałuję, ale chwilowo nie mogę nic więcej zdradzić.

– Już wiem wystarczająco dużo. – W jasnym spojrzeniu mego pana zamajaczyły ironia i rezygnacja. – Chciałbym jeszcze pewność uzyskać, skąd będą ciosy padać.

Quevedo wzruszył ramionami.

– Zewsząd, jak zwykle. – Błądził obojętnym wzrokiem po okolicy. – To już nie Flandria... Witamy w Hiszpanii, kapitanie Alatryste.

Zmówili się, że spotkanie nastąpi nocą w oberży Becerry. Buchalter Olmedilla, smętniejszy niżli rzeźnia w Wielki Post, oddalił się na spoczynek do swego zajazdu przy ulicy Tintores, gdzie zresztą i dla nas przyszykowano izbę. Mój pan spędził wieczór zajęty swoimi sprawami: dostał pieczętkę na glejcie, za czym ruszył na poszukiwanie bielizny i zapasów – w tym nowych butów – korzystając z zaliczki, jaką mość Francisco był mu wręczył na poczet zadania. Ja zaś, z uwagi na sporo wolnego czasu, podjąłem próżniaczą przechadzkę po sercu miasta i syciłem się atmosferą jego ciasnych uliczek, łuków i murów, rzeźbionych w kamieniu herbów, krzyży, nastaw nad ołtarzami zdobnych w postaci Chrystusa, Panienki i świętych, nie mogąc się napatrzeć na śmigające mimo powozy i konie, na obecny wszędy brud i przepych, na życie wypełniające ów gród ponad miarę, zatłoczone wniściska do gospód i dziedzińce kamienic, a także na niewiasty – na które osobliwe baczenie miałem od czasów flamandzkich – tak smagłe, wytworne i swobodne, przemawiające akcentem, co przydawał ich mowie rozkosznie metalicznego brzmienia. Chłonałem wzrokiem pałace z widocznymi zza krat precudownymi dziedzińcami, z łańcuchami na wrotach, świadczącymi, że zwykły wymiar sprawiedliwości nie ma do środka wstępu, i zmiarkowałem, że o ile w Kastylii szlachta pielęgnuje swój stoicyzm aż do zatracenia, ale pracą się nie zhańbi, o tyle sewilska arystokracja bardziej sobie pobłaża, skutkiem czego niejednokrotnie słowo „szlachcic” zaczyna tyleż co „kupiec” znaczyć. Albowiem magnat nie gardził tu interesami, jeśli zyski przynosiły, kupiec zaś potrafił fortunę równą kopalni w Potosi przepuścić, byleby za szlachcica uchodzić – ba, nawet krawcy poświadczenia o czystości krwi tu wymagali od tych, co do ich cechu przystąpić zamiarowali. Wobec takiej kolei rzeczy bywało z jednej strony, że podupadła szlachta wpływów i

przywilejów używała, byleby cichcem się wzbogacić, z drugiej zaś praca i handel, zatrudnienia tak dla krajów wszelkich pożyteczne, złą jeły cieszyć się opinią, tedy brali je w swe ręce jeno cudzoziemcy. Przeto sewilska szlachta w dużej mierze składała się z bogatych plebejuszy, co to wykupywali się do najwyższego stanu za pośrednictwem sakiewki albo korzystnego małżeństwa, gardząc własnymi jakże godnymi profesjami. Tym sposobem po pokoleniu kupców następowało pokolenie utytułowanych pasożytów i parweniuszy, co to zapierali się prawdziwych źródeł swej fortuny, za to trwonili ją bez umiaru. Prawdziwe tedy stawało się powiedzenie, że w Hiszpanii czym dziad się wzbogaci w sklepie, tym ojciec zabłąśnie w pałacach, syn w karty fortunę przetrąca, a wnuk łącno biedę klepie.

Wstąpiłem też na Targ Bławatny, ze wszech stron ogrodzony i do szczytu wypełniony kramami z wystawną odzieżą i klejnotami. Sam na sobie miałem czarne portki wojskowe ze sztylpami, skórzany pas z zatkniętym na plecach sztyletem, żołnierski kaftan na pocerowaną koszulę narzucony, a łeb nakryłem nader wytwornym beretem z flamandzkiego aksamitu, zdobyczą wojenną z czasów, które coraz bardziej w przeszłość odpływały. Tuszę, że gładka cera i strój dużego szyku mi przydawały, toteż z miną wielce doświadczonego wiarusa jałem przechadzać się wśród straganów z bronią, co wzdłuż ulic Mar i Vizcaínos się znajdowały, następnie zaś ulicą Sierpes wśród fanfaronów, ladacznic i innych postaci szemranego autoramentu, wedle sławetnej turmy, której czarne mury więziły niegdyś Mateo Alemana, a do której i sam poczciwy mość Miguel de Cervantes musiał swe nieszczęsne kości zawlec. Odbyłem też paradę mimo słynnej świątyni łotrzyków, czyli opiewanych schodów katedry sewilskiej, po których istne mrowie się kręciło handlarzy, próżniaków, żebraków – każdy z tych ostatnich na szyi miał tabliczkę informującą o

ranach i okaleczeniach bardziej fałszywych niżli Judaszowy pocałunek – oraz inwalidów–oczejduszów, co historie soczyste o swych wyczynach we Flandrii powiadali. Kalectwo ich, prawdziwe lub też udawane, równie snadnie pochodzić mogło spod Antwerpii albo Mamory²², jak z wąwozu Roncesvalles²³ albo spod Numancji²⁴, albowiem wystarczyło prosto w oblicze spojrzeć tym rzekomym weteranom walki za prawdziwą wiarę, króla i ojczyznę, by zmiarkować, że heretyka albo bisurmana widzieli co najwyżej z daleka na teatralnym podwórku. Łazęgę mą zakończyłem pod Pałacami Królewskimi, ze sztandarem Habsburgów powiewającym na blankach i potężnymi strażnikami, zbrojnymi w halabardy, co głównej bramy strzegli. Wałęsałem się tam jeszcze jakiś czas pospołu z miejscowym ludem, który czekał w nadziei, że ujrzy Ich Wysokości, jak przyjeżdżają albo wyjeżdżają. Owóz zdarzyło się, że ciżba, a i ja wraz z nią, zanadto zbliżyliśmy się do drogi dojazdowej, na co sierżant gwardii hiszpańskiej w opryskliwy sposób zwrócił nam uwagę, że tarasujemy szlak. Ciekawscy odstępili przeto żwawo, atoli syn mego ojca, dotknięty do żywego obyczajami owego żołnierza, zwlekał z odejściem, zgoła nie skwapliwie, za to z miną wyzywającą, czym do cna tamtego rozsierdził. Sierżant odepchnął mnie brutalnie, co ja, z racji wieku i niedawnych doświadczeń flamandzkich mało w takich razach potulny, poczytałem za wielkie łotrostwo i nuże jak młody wilczek się ku niemu odwracać, dłoń ku rękojeści sztyletu kierując. Co widząc, sierżant, człek wąsaty i słusznej tuszy, zarechotał gromko.

– Patrzcie no go, fanfarona – ozwał się, lustrując mnie od stóp do głów.
– Zbytńioś raptownie się tu najeżył, galanciku.

Wytrzymałem twardo jego spojrzenie, miałem snadź czoło, by na tę bezczelność odpowiedzieć, bo czułem, jak rośnie we mnie wzgarda weterana, co z niejednego pieca chleb jadł – a którym na przekór mym

młodym latom byłem przecie. Ów spaślak przez dwa ostatnie lata jadał był ciepłą strawę i paradował po królewskich pałacach i dziedzińcach w kraciastym żółto–czerwonym mundurze, ja tymczasem wojowałem u boku kapitana Alatryste i widziałem śmierć druhów naszych w Oudkerk, wedle młyna Ruijter, pod Terheijden i w kaponierach Bredy albo umykałem śmierci, myszkując po wrażliwych terenach, podczas gdy jazda niderlandzka siedziała mi na ogonie. Jakież to niesprawiedliwe – pomyślałem raptem – że istoty ludzkie nie mają karty swych wyczynów wypisanej na obliczu. A potem zaraz przypomniałem sobie kapitana Alatryste i dodałem w duchu z niejaką pociechą, że niektórzy owszem, mają. I przyszło mi do łba, że może dnia pewnego ludziom jedno spojrzenie wystarczy, by zmiarkować także, albo przynajmniej domniemać, com i ja uczynił. A wówczas takiemu grubemu czy chudemu sierżancinie, którego żywot nigdy na ostrzu rapiera nie zawisł, szyderstwa uwięzłyby w gardle.

– To nie ja, lecz mój sztylet się jeży, bydlaku – odrzekłem hardo.

Tamten aż ślepiami zamrugął, bo się takiego dictum nie spodziewał, i jął mnie na powrót wzrokiem mierzyć. Tym razem spostrzegł, że dłoń moja powędrowała ku damaszkowanej rękojeści, co wystawała mi z tyłu zza pasa. Wreszcie z tępym wyrazem na licu zapatrzył mi się głęboko w oczy, niezdolny odczytać, co się na ich dnie kryje.

– Na Boga żywego, już ja ci...

Snadnie poniosło sierżanta i nie zamierzał na słowach poprzestać. Uniósł rękę gwoli wymierzenia mi policzka, co najgorszą jest zniewagą – w czasach naszych dziadów sprać po twarzy można było jeno męża bez hełmu ni kolczugi, co oznaczało, że nie jest rycerzem – pomyślałem tedy: dosyć. Kto mieczem wojuje, ten od miecza ginie, a mnie tu snadnie zginąć mogło przyjść, bom się wpakowałem w niegorszą kabałę, ale jakże inaczej być mogło, skoro zwę się Íñigo Balboa Aguirre, jestem z Oñate, przyjechałem

właśnie z Flandrii, służę u kapitana Alatryste i za nic w świecie nie zawaham się życiem zapłacić za nadwerężony honor, boć nie masz targowiska, na którym cena taka byłaby dla mnie zanadto wysoka. Chcę czy nie, słowo już się rzekło, przeto gdy tylko łapę opuści, będę musiał dźgnąć tego spaślaka w wątpia, wet za wet, za czym lotem sarny trzeba mi czmychać ku jakiemu schronieniu w nadziei, że mnie nikt nie dopadnie. A mówiąc krócej – i cytując mości Francisca de Quevedo – dla odmiany bić się przyszło. Wstrzymałem tedy oddech i gotowałem się już do czynu z desperacką rezygnacją weterana, zgoła niedawno nabytą. Bóg snadnie wolny czas spędza, chroniąc butnych młodzików przed nieszczęściem, albowiem w tym momencie trąbka zagrała, wrota się otwarły, a chrzęst kół i kopyt po żwirze aż do naszych uszu dobiegł. Sierżant, baczenie na swój urząd mający, z miejsca o mnie zapomniał i pognał swych ludzi uszykować, ja zasię pozostałem i odetchnąwszy z ulgą, pomyślałem, żem się oto sianem wykręcił.

Z pałacu powozy wyjeżdżały, po znakach i konnej świcie poznałem, że to Najjaśniejsza Pani w towarzystwie dam i dworek. W tej samej chwili puls serca mego, podczas zajścia z sierżantem spokojny i miarowy, raptem omal piersi mi nie rozerwał, jakby mu lejce popuścili. Świat zawirował. Karoce jechały wśród pozdrowień i okrzyków ciżby, tłoczącej się wzdłuż trasy przejazdu, a dłoń królewska, biała, cudna i klejnotami przyozdobiona, kiwała się elegancko w jednym z okienek, uprzejmie odpowiadając na głośnie hołdy ludności. Ja aliści duszę miałem czym innym zajętą, jałem bowiem chciwie wypatrywać w innych mijających mnie powozach przedmiotu mych westchnień. Zerwałem z głowy beret i wyprężyłem się cały, patrząc oniemiały na ulotną paradę głów niewieścich, trefionych w koki i loczki, wachlarzy lica skrywających, dłoni, co tłum pozdrawiały, koronek, satyn i tasiemek. I dopiero w ostatniej karecie jakobyem dostrzegł

jasne włosy i oczy niebieskie, które spojrzały na mnie i rozpoznały ku wielkiemu zdumieniu ich właścicielki, rychło atoli wizja rozviała się i umknęła w dal, a ja dalej gapiłem się przejęty w plecy stojącego z tyłu pojazdu laufra i w pył, co się na zadach koni w orszaku osadzał.

I wówczas posłyszałem za sobą gwizd. Gwizd, który w samym piekle byłbym poznał. Brzmiało to ni mniej, ni więcej, tylko *tiruri-ta-ta*. A kiedym lico odwrócił, przede mną ukazało się widmo.

– Wyrosłeś, mały.

Gualterio Malatesta wpatrywał mi się w oczy i on akurat ani chybi potrafił niejedno z nich wyczytać. Był jak zwykle na czarno odziany, na głowie miał kapelusz takiejże barwy i o rondzie nader szerokim, a w skórzanym pendencie tkwił jego złowrogi rapier o długich jelcach. Łajdak nie miał na sobie płaszcza ni kurty. Nadal był człkiem wysokim i chudym, oblicze miał upstrzone dziobami po ospie i szramami, które sprawiały, że trup miał wygląd i mocno zniszczony, a uśmiech, jaki mi właśnie posyłał, miał wrażenie owo łagodzić, jeszcze je podsycił.

– Wyrosłeś – powtórzył w zadumie.

Chciał snadź dorzucić: „od ostatniego razu”, atoli zamilkł. Ostatni raz miał miejsce na szlaku do Toledo, w dniu, kiedy odstawiał mnie powozem bez okien do kazamatów inkwizycji. Wspomnienie owo było niemiłe dla nas obydwu, lubo dla każdego z innej przyczyny.

– Co słyhać u kapitana Alatryste?

Nic nie odrzekłem, wytrzymałem jeno spojrzenie jego, mroczne i badawcze jak u żmii. Gdy Włoch wymawiał nazwisko mego pana, uśmieszek pod cienkim wąsikiem jeszcze większej nabrał złośliwości.

– Jak widzę, nadal jesteś młodzianem, co słów raczej skąpi.

Lewą dłoń okrytą czarną rękawicą wsparł na gardzie rapiera i rozglądał się po okolicy niedbale. Usłyszałem, że westchnął nieznacznie. Niemal z

udręką.

– Zatem w Sewilli także – powiedział i zapadł w milczenie, z którego nijak nie mogłem wyrozumieć, o co mu chodziło. Po paru chwilach zerknął na sierżanta gwardii hiszpańskiej, co się opodal przechadzał zatrudniony przy swych podwładnych wedle bramy pałacu, i wskazał go podbródkiem.

– Widziałem, jakieś z nim zadarł. Stałem z tyłu, wśród ciżby... – Patrzył na mnie z uwagą, jakby kalkulował zmiany, które zaszły we mnie od ostatniego spotkania. – Jak widzę, nadal jesteś czuły na punkcie honoru.

– Byłem we Flandrii – ozwał się lakonicznie. – Pospołu z kapitanem.

Pokiwał głową. Dostrzegłem teraz kilka siwych włosów w wąsikach i kosmykach, co spod kapelusza po bokach mu się wymykały. A na obliczu nowe zmarszczki albo blizny. Lata nikogo nie oszczędzają – pomyślałem. – Również niegodziwych zabijaków.

– Wiem, gdzieś był – odparł. – Ale Flandria nie ma tu nic do rzeczy, chcę bowiem, byś jedno sobie zakarbował: honor zawsze niełatwo zdobyć, trudno utrzymać i niebezpiecznie go bronić... Zapytaj na przykład swego druha Alatristego.

Przybrałem najbardziej zawzięty wyraz twarzy, na jaki było mnie stać.

– Sam waszmość go zapytaj, jeśli ci hartu nie brak.

Przez niewzruszone oblicze Malatesty przemknął cień sarkazmu.

– Ja odpowiedź już poznałem – rzekł obojętnie. – Ja mam z nim do wyrównania sprawy inne, mniej retorycznej natury.

Zamyślony wpatrywał się znów w strażników przy bramie. Nareszcie zaśmiał się pod wąsem, jak gdyby z żartu, którym się z nikim nie kwapił podzielić.

– Są maluczcy – ozwał się raptem – co niczego się nie potrafią nauczyć. Jak ten imbecyl, co rękę uniósł, nie bacząc, gdzie twoja dłoń... – I znów

czarne, przenikliwe, żmijowe oczy jąły świdrować mą osobę. – Ja nigdy nie pozwoliłbym ci dobyć tego sztyletu, mały.

Teraz i ja popatrzyłem na sierżanta gwardii. Puszył się tam wśród swych podkomendnych, bacząc, jak zamykają bramę Pałaców Królewskich. Włoch miał słuszość: tamten człek nie miał pojęcia, jak niewiele brakowało, by mu patrochy przedziurawiono piędźią żelaza. I że mnie z jego winy powleczono by na stryczek.

– Pamiętaj o tym na przyszłość – dodał sycylijski łajdak.

Kiedy się odwróciłem, Gualteria Malatesty już przy mnie nie było. Przepadł wśród tłumu, a ja dostrzec mogłem jeno czarny cień, co się oddalał pod drzewkami pomarańczowymi, rosnącymi wedle dzwonnicy katedry.





III. STRAŻNICY I PACHOŁKOWIE.



w wieczór miał upłynąć w zamieszaniu i szczęku toledańskiej stali, najpierw atoli spędziliśmy czas przy wieczerzy i wielce interesującej dyspacie. Pojawił się też niespodzianie stary przyjaciel: mość Francisco de Quevedo nie zdradził był kapitanowi Alatryste, że osobą, która chce się z nim owego wieczoru spotkać, jest jego bliski druh Álvaro de la Marca, hrabia de Guadalmedina. Ku zaskoczeniu kapitana, jakoż i mojemu, hrabia przybył do oberży Becerry, ledwie słońce zaszło za horyzont, swobodny i serdeczny jak zwykle, uściskał kapitana, mnie poklepał życzliwie, za czym w głos zażądał wybornego wina, zacnej wieczerzy i pomieszczenia stosownego, by z przyjaciółmi pogawędzić.

– Przebóg, musisz mi opowiedzieć, jak było pod Bredą.

Odziany był zgodnie z królewskim edyktem, wyjąwszy napierśnik z bawolej skóry. Pozostałe części stroju były równie cenne, atoli nie rzucały się w oczy, nijakich haftów czy też złotych upiększeń, wojskowe buty, rękawiczki ambrą sycone, kapelusz i długi płaszcz, za pasem zasię krom rapiera i sztyletu zatknięte miał jeszcze dwa pistolety. Znając mość Álvaro, łącno można było podejrzewać, że wieczór jego przeciągnie się znacznie poza nasze spotkanie i że jakiś mąż albo ksieni będą mieli aż nadto

powodów, by czujnie spać tej nocy. Przypomniałem sobie, co Quevedo był napomknął o potajemnych wycieczkach hrabiego społem z naszym monarchą.

– Wyglądasz nader zacnie, Alatryste.

– Wasza miłość też niezgorzej.

– Ba, troszczę się o siebie. Ale nie sądz, przyjacielu drogi, po pozorach. Na Dworze trzeba się sporo napracować, by móc nie pracować.

Nic się nie zmienił: wytworny, uprzejmy, o nienagannyh manierach, które zgoła nie kłóciły się z ową szczególną swobodą, nieco szorstką i jak gdyby żołdacką, z jaką traktował mego pana, odkąd ten żywot mu ocalił pod Qerqennami. Wzniósł teraz toast za Bredeę, za Alatrystego i za mnie nawet, przedyskutował z mości Franciskiem rymy jakiegoś sonetu, z nadzwyczajnym apetytem zmiótł jagnię w miodzie, podane na przednim fajansie z Triany, zamówił glinianą fajkę, tytoń i wreszcie, rozpiąwszy napierśnik, rozparł się wygodnie śród obłoków dymu z wielkim na licu ukontentowaniem.

– Porozmawiajmy tedy o rzeczach poważnych – powiedział.

Cmokając fajkę i sącząc wino z Araceny, spojrział jeszcze kilka razy na mnie, jakby deliberował, czy mogę wysłuchać tego, co rzec nam pragnie, za czym bez dalszych ogródek wprowadził nas w sedno sprawy. Zagaił, mówiąc, że system kursów morskich, złoto i srebro transportujących, monopol kupiecki Sewilli i ścisła kontrola wszystkich, którzy do Indii podróżują, mają zapobiegać kontrabandzie i mieszaniu się innych krajów do naszych interesów, a także nieustannie smarować olbrzymią machinę podatków, taryf i taks, które stanowią pokarm monarchii i utrzymywanych przez tę ostatnią wszelakich pasożytów. Taka jest przyczyna wprowadzenia systemu opłat portowych, czyli łańcuszka celnego wokół Sewilli, Kadyksu i przyległej doń zatoki, czyli jedynej drogi wjazdowej z Indii. Stąd właśnie

skarbiec królewski pobiera krociowe zyski, a koszty są tym wyższe, że przy tak skorumpowanej administracji, jaką miała podówczas Hiszpania, zarządcy i urzędnicy po zainkasowaniu wyznaczonych przez się sum zagarniają skrzętnie sporą część pod własne płaszczyki, Koronie zaś wypłacają skromniejszą pozostałość. Co z kolei też nie przeszkadzało, by w owych chudych latach król nie wymierzał od czasu do czasu surowych kar przybywającym do portu albo nie nakazywał skonfiskować im skarbów.

– Kłopot w tym – ciągnął, co chwila ssąc fajkę – że wszystkie te podatki, co sfinansować handel z Indiami mają, w rzeczywistości zżera to, w obronie czego je wprowadzono. Mnóstwo złota i srebra kosztuje nas wojna we Flandrii, zepsucie administracji i nasz narodowy marazm. Kupcy muszą przeto wybrać jedno z dwojga złego: albo krew im wysię królewski fiskus, albo przejdą na przestępczą drogę przemytu... Z czego rodzi się zaiste nader rozwinięta niegodziwość. – Tu spojrzął z uśmiechem na Queveda, biorąc go na świadka. – Czyżbym się mylił, mości Francisco?

– Tutaj – skinął głową poeta – najlichszy nawet człeczyna sam sobie rzepkę skrobie.

– Czyli po prostu złotem nabija kabzę.

– W rzeczy samej. – Quevedo tęgi łyk pociągnął i osuszył wargi wierzchem dłoni. – Ostatecznie, prawdziwą potęgą pochwalić się może nie cesarz i nie książdz, a mospan Pieniądz.

Guadalmedina patrzył nań z admiracją.

– Trafnieś to waszmość ujął, do diaska. Może byś co napisał na ten temat?

– Jużem to uczynił.

– Coś takiego. Rad jestem słyszeć.

– *Gdy już na świat się wykluje z łona indyjskich kopalni...* – zadeklamował głucho mość Francisco w głąb karafki, którą znów przy

ustach trzymał.

– Aha, to ten wierszyk – tu hrabia mrugnął do kapitana. – Sądziłem, że go spłodził Góngora.

Poeta zakrztusił się winem.

– Boże Wszchemogący, Chryste Przenajświętszy...

– Już dobrze, przyjacielu...

– Ani dobrze, ani źle, do czarta. Takiego afrontu nie spodziewałbym się nawet od lutrów... A cóż ja mam wspólnego z owymi wieprzkami i ich „o, jak cudniuśkie”²⁵, którzy z Żydów i Saracenów naraz stali się słodkimi pastuszkami?

– Toż to facecja jeno była.

– Wobec takich facecji zwykłem rapier wyciągać, mości panie hrabio.

– No, przeciwko mnie mowy nie ma – magnat uśmiechał się pojednawczo i dobrodusznie, gładząc się po kędzierzawych wąsach i bródce. – Wciąż mam w pamięci zakarbowaną lekcję szermierki, jakiejś udzielił Pachecowi de Narváez... – Tu z wdziękiem uniósł prawicę, szastając wytwornie wyimaginowanym kapeluszem. – Zechciej przyjąć me przeprosiny, mości Francisco.

– Hm.

– Jak to „hm”?... Jestem grandem Hiszpanii, poważaną figurą. Bądźże waszmość łaskaw docenić mój gest.

– Hm.

Uśmierzywszy mimo wszystko popędy krewkiego poety, Guadalmedina jął szczegóły wyłuszczać, których kapitan Alatryste słuchał z wielką uwagą, dłoń na swej karafce zaciskając. Płomienie świec, które na stole postawiono, czerwony blask rzucały na jego ostry profil. Dawno temu powiedział był, że wojna jest czysta. I w owym momencie właśnie zmiarkowałem, co miał wtedy na myśli. Cudzoziemcy – prawili

Guadalmedina – chcąc monopol przełamać, posługują się miejscowymi pośrednikami (zwano ich „szmuglerami”, co wszystko wyjaśnia), ażeby odprowadzić na stronę towary, złoto i srebro, których nigdy prostą drogą by nie zdobyli. Co więcej wszelako, stworzono legalną fikcję, jakoby galeony wypływały z Sewilli i do niej wracały, naprawdę bowiem zostawały w Kadyksie, w El Puerto de Santa María albo przy ławicy Sanlúcar, gdzie dokonywano wyładunku. Proceder ten przyciągnął do tamtego regionu wielu kupców, snadź łatwiej było tam uniknąć niepożądanych oczu.

– Zdołali już pobudować statki z oficjalnie deklarowanym tonażem i drugim rzeczywistym. Wszyscy wiedzą, że podajesz pięć, a przewozisz dziesięć, atoli przekupstwo i korupcja pomagają powstrzymać języki, a ochotę w ruch wprowadzić. Zbyt wielka siła ludzi fortuny się tak dorobiła... – Bacznie przyglądał się lulce fajki, jakby coś tam przykuło jego uwagę. – Mówię także o urzędnikach królewskich.

Álvaro de la Marca ciągnął opowieść. Uśpiona profitami, z handlu zamorskiego płynącymi, Sewilla – jak i cała Hiszpania zresztą – nie zadbała o rozwój własnej gospodarki. Osiedliła się tu za to siła cudzoziemców, którzy rychło, dzięki swej skwapliwości i wysiłkowi, niezbędnymi dla miasta się okazali. To zasię obdarzyło ich wielce uprzywilejowaną pozycją jako pośredników pomiędzy Hiszpanią a resztą Europy, z którą akurat pozostawaliśmy w stanie wojny. Osobliwość sytuacji w tym leżała, że z jednej strony walczyliśmy przeciwko Anglii, Francji, Danii, bisurmanom i zbuntowanym prowincjom, a z drugiej kupowaliśmy u nich poprzez ogniwa pośrednie wszelakie dobra dla statków, jako to osprzęt, smołę, żagle i inne towary, jednako na Półwyspie, jak i po drugiej stronie Atlantyku konieczne. Owóz złoto z Indii wypływało i zasilało wojska i floty, które potem nad nami triumfowały. Była to tajemnica publiczna, nikt atoli tego procederu przerwać się nie kwapił, bo każdy na nim korzystał. W tym także król.

– A efekt, jaki jest, każdy widzi: Hiszpania idzie na zatracenie. Wszyscy kradną, oszukują, łżą i nikt nie płaci tyle, ile płacić winien.

– W dodatku jeszcze się tym chełpią – zaznaczył Quevedo.

– W dodatku.

W tym całym układzie – ciągnął Guadalmedina – przemysł złota i srebra pełnił rolę najważniejszą. Kruszcem sprowadzany przez osoby prywatne miewał w komorze celnej o połowę zaniżoną wartość, a to dzięki współdziałaniu celników i urzędników Izby Handlowej. Z każdą flotą przybywały fortuny, które zaraz przepadały w kieszeniach pośredników albo wędrowały do Londynu, Amsterdamu, Paryża czy Genui. Kontrabandą z równym zapałem zatrudniali się cudzoziemcy i Hiszpanie, kupcy, urzędnicy, generałowie, admirałowie, pasażerowie, marynarze, żołnierze i duchowni. Wybornym przykładem był skandal związany z biskupem Perezem de Espinosa, który ducha wyzionąwszy parę lat wcześniej w Sewilli, pozostawił pięćset tysięcy reali i sześćdziesiąt dwie sztabki złota. Skarby owe Korona natychmiast zarekwirowała, skoro tylko na jaw wyszło, że pochodziły z Indii, a na cle się nie pojawiły.

– Krom różnych innych towarów – dodał magnat – domniemywa się, że zmierzająca ku nam flota wiezie dwadzieścia milionów reali w srebrze z Zacatecas i Potosí, na co składają się skarby należące do króla i osób prywatnych... A także osiemdziesiąt cetnarów złota w sztabkach.

– To tylko rachuby oficjalne – uściślił Quevedo.

– Otóż to. Co do srebra, podejrzewa się, że dodatkowo ćwierć deklarowanej sumy przyplynie w postaci kontrabandy. Natomiast niemal całe złoto należne jest skarbcowi królewskiemu... Aliści jeden z galeonów ma pod pokładem wielki tajny ładunek złotych sztabek. I tego ładunku nikt nie oclił.

Tu wstrzymał swą opowieść Álvaro de la Marca i tęgi łyk wina pociągnął, dając czas kapitanowi, by ten umysłem całą rzecz ogarnął. Quevedo tymczasem wyjął puzderko ze sproszkowanym tytoniem i wciągnął szczyptę nosem, a kichnąwszy na stronie, otarł twarz pomiętą chusteczką, z rękawa wyciągniętą.

– Okręt zwie się „Virgen de Regla” – podjął wątek Guadalmedina. – To galeon z szesnastoma armatami, należy do diuka de Medina Sidonia²⁶, a frachtuje go pewien kupiec genueński, w Sewilli zamieszkały, nazwiskiem Geronimo Garaffa... W tamtą stronę wyprawia rozmaitość towarów, rtęć z Almadenu na użytek kopalni srebra, bulle papieskie, a z powrotem wszystko, co tylko się zmieści. A pomieścić może się sporo, między innymi dlatego, że, jak ponad wszelką wątpliwość stwierdzono, oficjalna wyporność okrętu wynosi dziewięćset beczek po dwadzieścia *arrobas*²⁷ każda, podczas gdy dzięki sprytnym konceptom budowniczych może wziąć na pokład beczek tysiąc czterysta...

I prawił dalej, że „Virgen de Regla” płynie wraz z flotą z zadeklarowanym ładunkiem ambry w płynie, koszenili, wełny i skór z przeznaczeniem dla kupców w Kadyksie i Sewilli. Do tego jeszcze pięć milionów reali bitych w srebrze – z czego dwie trzecie to własność osób prywatnych – i tysiąc pięćset sztab złota dla królewskiego skarbcza.

– Piękny łup dla piratów – zaznaczył Quevedo.

– Osobliwie gdy zmiarkujemy, że tego roku przyplływają jeszcze cztery okręty z podobnym ładunkiem... – Guadalmedina popatrywał na kapitana skroś chmury dymu fajczanego. – Teraz rozumiesz, czemu Anglikom tak na Kadyksie zależy?

– A skąd Anglicy w ogóle wiedzą?

– Do czarta, Alatryste. A my skąd wiemy?... Skoro za pieniądze kupić można nawet zbawienie duszy, resztę możesz sobie dopowiedzieć. Widzisz

mi się dzisiaj nieco mniej lotny. Gdzieżeś przebywał ostatnimi laty?... We Flandrii czy w otchłani?

Alatriste znów nalał sobie wina i nic nie rzekł. Wzrok jego spoczął na Quevedzie, który usiłował się uśmiechnąć, ramionami przy tym wzruszając. Tak już jest – zdawała się mówić jego mina – i nigdy inaczej nie było.

– W każdym razie – przemówił na nowo Guadalmedina – niewiele nas obchodzi, co zadeklarowano na tym galeonie.

Wiemy, że przemyca dużo więcej srebra, wartości z grubsza jednego miliona reali. Lubo w tym przypadku nawet to srebro mniejszą rolę odgrywa. Istotniejsze jest, że „Virgen de Regla” wiezie w ładowniach zatajone dwa tysiące sztab złota... – Tu wycelował fajkę prosto w kapitana. – A wiesz, ile taka ilość jest warta, lekko licząc?

– Nie mam najmniejszego pojęcia.

– Otóż warta jest dwieście tysięcy złotych eskudów.

Kapitan spojrział na swoje dłonie, na stole nieruchomo spoczywające. Obliczał w duchu.

– Sto milionów marawedi – wymamrotał.

– Otóż właśnie – zarechotał Guadalmedina. – Wszyscy znamy wartość eskuda.

Alatriste na powrót głowę uniósł i wbił wzrok w magnata.

– Wasza miłość się myli... – rzekł. – Nie wszyscy ją znają tak jak ja.

Guadalmedina już usta otwierał, ani chybi chcąc kolejną facecję rzucić, aliści lodowate oblicze pana mego natychmiast odebrało mu ochotę do żartów. Wiedzieliśmy jednak, że kapitan Alatriste zabijał już za sumę dziesięć tysięcy razy niższą od wspomnianej. Snadnie obliczał w tym momencie, podobnie jak i ja, ileż regimentów można by ufundować, takie pieniądze mając. Ileż arkebuzów, ileż żywotów i iluż poległych. Ile dobrej woli i ile sumień.

Dało się słyszeć chrząknięcie i po chwili nasz poeta jął recytować cicho, posepnie a powoli:

*Stoi nasz padół grabieżą,
Nie hańbi zawód złodzieja,
A świat frymarczy nadzieją,*

*Że pójdą w ślad za kradzieżą Baty,
Te snadź się należą
Nie rabusiowi pieniędzy,
Lecz oblubieńcowi Nędzy.*²⁸

Za czym nastąpiła cisza wielce krępująca. Álvaro de la Marca zatopił wzrok we własnej fajce. Nareszcie odłożył ją na stół.

– Ażeby pomieścić te dodatkowe czterdzieści cetnarów złota – ozwał się znów – i nieoclone srebro kapitan „Virgen de Regla” nakazał pozbawić galeon ośmiu dział. A i tak, jak powiadają, płynie z dużym zanurzeniem.

– Do kogo należy złoto? – zagadnął Alatryste.

– Otóż i delikatna kwestia. Z jednej strony stoi diuk de Medina Sidonia, który całą operację zorganizował, ustawił okręt i zgarnie największe profity. Krom niego mamy jeszcze jednego bankiera z Lizbony i drugiego z Antwerpii, wreszcie kilka osobistości z Dworu... Jedną z nich jest bodajże sekretarz królewski Luis de Alquézar.

Kapitan spojrział na mnie badawczo. Rzecz jasna, opowiedziałem mu byłem o spotkaniu z Gualteriem Malatestą pod bramą Pałaców Królewskich, nie wspomniałem jeno o orszaku królowej i błękitnych oczach, które zdało mi się dostrzec w jednym z powozów. Guadalmedina i

Quevedo, którzy na kapitana z kolei mieli baczenie, teraz wymienili spojrzenia.

– Istota manewru – ciągnął Álvaro de la Marca – na tym polega, że zanim nastąpi oficjalny wyładunek w Kadyksie lub Sewilli, „Virgen de Regla” zakotwiczy na ławicy Sanlúcar. Przekupili już generała i admirała floty, żeby statki z powodu pogody, groźby napaści Anglików albo pod jakimkolwiek innym pretekstem zatrzymały się tam przynajmniej na jedną noc. Wtedy właśnie dokonany zostanie przeładunek przemycanego złota na drugi oczekujący tam statek: na „Niklaasbergen”. To hukier flamandzki z Ostendy, a jego kapitan, załoga i armator to czystej wody katolicy... Swobodnie kursują pomiędzy Hiszpanią a Flandrią, chronieni przez banderę miłościwie nam panującego monarchy.

– Dokąd wywiozą to złoto?

– Jak się wydaje, Medina Sidonia i jego poplecznicy swoją część zamierzają umieścić w Lizbonie, gdzie portugalski bankier ma ją bezpiecznie ulokować... A reszta zostanie bezpośrednio skierowana do zbuntowanych prowincji.

– To zdrada – oznajmił Alatryste.

Głos miał spokojny, dłoń jego zasię, co karafę do ust podniosła, ani drgnęła. Ja wszelako dostrzegłem, że w oczach jego nad umoczonymi w winie wąsami pojawił się dziwny cień.

– Zdrada – powtórzył.

Dźwięk tego słowa niedawne obrazy w pamięci mej wzruszył. Nieulękłe szeregi hiszpańskiej piechoty na równinie wedle młyna Ruijter idące na śmierć w takt tarabanów, co za ich plecami przypominały dudnieniem swym o dalekiej Hiszpanii. Poczciwy Galisyjczyk Rivas i chorąży Chacón, co polegli, broniąc sztandaru w biało-niebieskie kwadraty na zboczu reduty Terheijden. Okrzyk stu gardzieli ludzi, co się z kanałów o świcie pod

Oudkerk wyłonił. Mężowie, co ziemią płakali po znoej szermierce w mrocznych kaponierach... Raptem i mnie oskoma do picia naszła, tedy opróżniłem moją karafkę jednym haustem.

Quevedo i Guadalmedina ponownie spojrzenia wymienili.

– Taka jest Hiszpania, kapitanie Alatryste – rzekł mość Francisco. – Snadź odwykleś waszmość tam we Flandrii.

– Przede wszystkim – zaznaczył Guadalmedina – takie są interesy. I to zgoła nie pierwszyczna. Różnica na tym się zasadza, że tym razem król, a osobliwie Olivares, stracili zaufanie do Mediny Sidonii... Ani gościna, której im udzielił przed dwoma laty na należących doń ziemiach Jej Wysokości Anny, ani względy, jakimi darzy ich podczas obecnej podróży, nie przykryją faktu, że nasz mość Manuel de Guzmán, ósmy diuk de Medina Sidonia, wyrósł nam niespodziewanie na małego króla Andaluzji... Od Huelvy po Malagę i Sewillę czyni wszystko podle własnej woli, a to łącno ryzyko nieść może, gdy naprzeciw Maur stoi, a Portugalia i Katalonia ledwie się przy Koronie trzymają. Olivares podejrzewa, że Medina Sidonia i syn jego Gaspar, hrabia de Niebla, szykują jakiś podstęp, by władzę Madrytu wywrócić...²⁹ W innych okolicznościach rzecz by ukrócono stosownym do pozycji delikwenta procesem i stryczkiem... Atoli rodzina Medina Sidonia wielką siłą dysponuje, przeto Olivares, który szczerze ich nienawidzi, lubo to ich krewny, nigdy nie śmiałyby swego imienia wmieszać w publiczny skandal, o ile wyraźnych dowodów nie uzyska.

– A Alquézar?

– Nawet sekretarza królewskiego niełatwo dziś upolować. Okrzepł na Dworze, może liczyć na przychylność inkwizytora Bocanegry i Rady Aragonii... Na domiar złego hrabia–diuk w swych niebezpiecznych manewrach uważa Alquezara za osobę użyteczną – Guadalmedina wzruszył

ramionami ze wzdargą. – Z tych względów postanowiono sprawę załatwić dyskretnie a skutecznie.

– I dać surową nauczkę – dodał Quevedo.

– Otóż to. Będzie to polegać na przejęciu przemycanego złota pod samym nosem Mediny Sidonii i przeniesieniu go na statek należący do króla. Autorem zamysłu jest sam Olivares, ma na to zgodę króla i stąd cała wyprawa Ich Wysokości do Sewilli: nasz Filip Czwarty chce być obecny przy całej awanturze, ażeby później, jak gdyby nigdy nic, uściskać się serdecznie ze starym diukiem, tak serdecznie, by móc usłyszeć, jak tamten zębami zgrzyta... Owóż plan Olivaresa składa się z dwóch części: pierwszej na poły oficjalnej, nieco delikatnej, i drugiej zgoła ostrej, za to trudniejszej.

– Słowem ściślej byłoby „niebezpiecznej” – nadmienił Quevedo, zawsze skłonny do cyzelowania wypowiedzi.

Guadalmedina pochylił się ku kapitanowi.

– W pierwszej, jak snadnie miarkujesz, na scenę wchodzi buchalter Olmedilla...

Mój pan skinął z wolna głową. Teraz wszystkie elementy pasowały do całości.

– A w drugiej – rzekł – pojawia się ja.

Álvaro de la Marca pogłaskał dłonią wąs. Uśmiechał się.

– Jedno mi się naprawdę podoba w tobie, Alatryste: że nigdy nie trzeba ci niczego dwa razy objaśniać.

Noc już głęboka nad miastem się rozpościerała, gdyśmy wyszli na przechadzkę po jego wąskich, źle oświetlonych uliczkach. Sierp księżyca rzucał piękną, mleczną poświatę na wnijścia do kamienic i nasze oblicza, mające pod okapami dachów, i mroczne korony drzewek pomarańczowych. Co raz mijaliśmy jakąś ciemną postać, która kroku

przyśpieszała na nasz widok, albowiem Sewilla równie niebezpiecznym o tej porze nocy była miejscem, jak każde inne miasto. Kiedyśmy dotarli do niewielkiego placu, zamaskowany osobnik, co stał o okno wsparty i coś szeptał, raptem obrócił się czujnie ku nam, czemu towarzyszyło trzaśnięcie okiennicy i niewyraźny błysk stali w rękach zaskoczonego mężczyzny. Guadalmedina zaśmiał się uspokajająco, pozdrowił znieruchomiały cień i ruszyliśmy w dalszą drogę. Stukot kroków zapowiadał naszą obecność, niosąc się echem po narożnikach i podmurówkach. Tu kaganek rozbłyskał za żaluzjami okratowanego okna, tam świeca albo lampa z blachy za załomem ulicy oświetlała z kafelków ułożone wyobrażenie Niepokalanego Poczęcia albo Męki Pańskiej.

Jak objaśniał nam po drodze Guadalmedina, buchalter Olmedilla to szary urzędnik, gryzpiórek po uszy w cyfrach i szpargałach pograżony, ogromnie przy tym w swoich zatrudnieniach sprawny. Cieszył się pełnym zaufaniem hrabiego–diuka de Olivares, któremu doradzał w sprawach finansów. Gwoli dania nam lepszego pojęcia o tym, kto to zacz, dodał, że krom dochodzenia, co Rodriga Calderona na szafot zawiodło, przyłożył swą dłoń takż do procesów przeciwko diukom de Lerma³⁰ i de Osuna. Na domiar wszystkiego – rzecz niesłychana w jego profesji – powszechnie uważano go za człeka prawego. Jedynym znanym jego zamiłowaniem były cztery działania, a celem życia – ażeby wynik się zgadzał. Informacje o kontrabandzie złota uzyskano dzięki szpiegom hrabiego–diuka, a wsparły je żmudne badania, jakie Olmedilla przeprowadził był w rozmaitych gabinetach, zakamarkach i stosownych archiwach.

– Czekamy jeno na potwierdzenie ostatnich punktów – zakonkludował magnat. – Flota jest już na horyzoncie, czasu przeto zostało niedużo. Wszystko będzie uściślone jutro, w trakcie odwiedzin Olmedilli u armatora galeonu, owego Garaffy, który winien dostarczyć kilku szczegółów,

przeładunku złota na „Niklaasbergen” dotyczących... Naturalnie odwiedziny nie mają charakteru oficjalnego, a Olmedilla nie posiada tytułu bądź insygniów, które autorytet wzbudzają – Guadalmedina uniósł brwi krotchwilnie – jest przeto prawdopodobne, że Genueńczyk czmychnie pod osłonę ołtarza.

Mijaliśmy właśnie jakąś gospodę. W oknie widać było światło, a ze środka dobiegały dźwięki gitary. Raptem drzwi się otwały i usłyszeliśmy krom muzyki także śpiewy i śmiech. Ktoś szedł właśnie złożyć gdzieś świeczonki pijatyką utrudzone, wprzód aliści donośny wymiot sobie sprawiał, nadmiar wina zwracając na progu. Spod arkad doszedł nas jego chrapliwy głos, Boga wzywający, atoli zgoła nie w modlitewnych celach.

– A czemu tego Garaffy do ciupy nie wsadzą?... – dopytywał się Alatryste. – Loch, pisarczyk, kat i kuracja sznurkiem cuda potrafią czynić. Przecie o autorytet króla rzecz się rozgrywa.

– Owóż nie jest to takie łatwe. W Sewilli walkę o władzę toczą Trybunał Królewski i Rada Miejska, na domiar złego arcybiskup paluchy wkłada, gdzie tylko może. Garaffa ma tu mocnych popleczników, jako też u Medyny Sidonii. Skandal by się wywiązał, a tymczasem tyle byśmy złoto królewskie widzieli... Nie. Wszystko należy przeprowadzić nader ostrożnie i cicho. A Genueńczyk, gdy już powie, co wie, musi na kilka dni przepaść. Mieszka sam, ze sługą jeno, tedy nikomu się żal nie robi, gdyby przepadł na zawsze... – tu na moment zamilkł znacząco. – Także królowi.

Co rzekłszy, Guadalmedina szedł dłuższą chwilę w ciszy.

Quevedo kroczył wraz ze mną nieco z tyłu, kołysząc się godnie na swej kulawej nodze, i trzymał dłoń na moim ramieniu, jak gdyby na swój sposób chciał mnie utrzymać z dala od całej historii.

– Podsumowując, Alatryste: ty rozdajesz karty.

Nie widziałem oblicza mego kapitana. Światło księżyca, spływające z góry pomiędzy dachami, wydobywało z mroku jeno jego ciemną postać, kapelusz i koniec rapiera. Po chwili dopiero usłyszałem, że mówi: – Zgładzić Genuńczyka nie jest trudno. Co się wszelako drugiej kwestii tyczy...

Zamilkł i przystanął. Rychło zrównaliśmy się z nim, ujrzałem tedy, że głowę trzyma spuszczoną. Kiedy ją na powrót uniósł, w jasnych oczach zatańczyły mu wszystkie odblaski sewilskiej nocy.

– Nie lubię torturować.

Powiedział to zwyczajnie, bez nijakiego wzruszenia czy dramatu w głosie. Oznajmił to wprost, jakby nie jego rzecz dotyczyła. Albo jak gdyby mówił, że nie lubi skwaśniałego wina, przesolonego mięsiwa lub ludzi, co nie potrafią żyć wedle zasad – czy to osobistych, odmiennych czy wręcz trefnych – co zresztą jako żywo było prawdą. Zapadła długa cisza, a Quevedo zdjął dłoń z mego ramienia. Guadalmedina chrząknął z zakłopotaniem.

– W te szczegóły się nie mieszam – rzekł nareszcie, nieco skonfundowany. – I nie mam życzenia nic na ten temat wiedzieć. Twoim i Olmedilli zadaniem jest zdobyć potrzebne informacje... On wykonuje swoje obowiązki, a tobie płacą za pomoc, jakiej mu udzielisz.

– Poza tym sprawa Genuńczyka należy do łatwej części zadania – dodał Quevedo tonem koncyliacyjnym.

– Zgadza się – przytaknął Guadalmedina. – Kiedy Garaffa opowie już wszystko, co wie o tej historii, jeszcze zostanie drobna rzecz do załatwienia, Alatryste...

Stał twarzą w twarz z kapitanem, a jego zakłopotanie umknęło jak za dotknięciem różdżki. Lubom oblicza jego wyraźnie nie widział, przysiąc mogę, że znów się uśmiechał.

– Buchalter dostarczy ci środków gwoli zwerbowania doborowego oddziału... Starych druhów i ludzi tego pokroju. Bitnych i dyskretnych, mówiąc wprost. Najlepszych synów tej ziemi.

W głębi uliczki rozległa się śpiewka żebraka, co z kagankiem w dłoni szedł, o datki za dusze błagając. „Wspomnijcież umarłych naszych – zawodził. – Wspomnijcie”. Guadalmedina śledził światółko, aż przepadło w mroku, za czym ponownie się ku memu panu zwrócił.

– A potem będziesz musiał zająć tę przekłętą flamandzką krypę.

Tak to gawędząc, dotarliśmy do tej części murów, co z Arenalem sąsiadowała, nieopodal wapnem bielonego łuku Golpe, wizerunkiem Najświętszej Pani z Atocha przyozdobionego i prowadzącego ku sławetnemu lupanarowi „Wodne Oczko”. Kiedy bramy Triany i Arenal stały zawarte, ten właśnie łuk i przyległy lupanar stanowiły dogodny sposób, by wyjść poza mury miasta. I zaiste, Guadalmedina, co w krótkich słowach nam oznajmił, miał właśnie ważne spotkanie w gospodzie Gamarra w Trianie, po drugiej stronie mostu z łodzi, co obydwą brzegi rzeki łączył. Gamarra zasię sąsiadowała z pewnym monasterem, którego mniszki słynęły z tego, że wbrew własnej woli na służbę Bogu zostały oddane. Msza niedzielna w owym przybytku większym cieszyła się powodzeniem niżli najnowsze komedie i aż mrowiło się tam od ludzi: po jednej stronie kraty białe kornety i delikatne rączki, po drugiej rozlegały się westchnienia paniczek. Jak powiadano, kawalerów z najświetniejszego towarzystwa – w tym przyjezdne znakomitości, jako to na przykład Miłościwy nasz Pan – tak afekta ponosiły, iż adorację swą także podczas godzin mroku okazywali.

Co się zaś tyczy lupanaru „Wodne Oczko”, pospolite powiedzonko „bardziej zepsuta niżli sama Méndez” stąd się brało, że niejaka Méndez – o której, wśród wielu znakomitości pióra, wspominał także sam mość Francisco

de Quevedo w znanych romancach o Escarramane³¹ – była tutejszą wychowanką. Miejsce owo zarówno podróżnym, jak kupcom przy pobliskiej ulicy Tintores (i w innych miejskich zajazdach) zamieszkałym oraz tubylcom służyło jako dom gry, muzyki i niewiast, tych ostatnich z gatunku, o którym tak oto pisał wielki Lope:

*Jestże niespełna rozumu
Młodzian, co lgnie do dziewczeczki,
Za którą czynią wycieczki
Całe nieboraków tłumy?*³²

... a kropkę nad i w tej materii, w iście niezrównanym stylu swoim, postawił nie mniej wybitny mość Francisco:

Kurwiarzem mąż, co się z kurwami mości, Kurwipółciem ten, który z nimi gada, A grosz, co za kurewstwo w dłoń im wpada, To kurewski pomiot, krew z krwi, kość z kości.

*Kurewska rozkosz w kurwiej lubieżności, Kurewska skłonność, by w nierząd upadać, I dodam, że kurewski rezon włada Tym, pani, co ciebie kurwą nie ochrzci.*³³

Burdelem rządził niejaki Garciposadas ze znamienitej sewilskiej rodziny, co miał brata poetę w stolicy (ów brat, naturalnie przyjaciel Gongory, został tegoż samego roku spalony za grzech sodomski, jakiego dopuścił się był z Mulatem zwanym Pepillo Młokos, również poetą i sługą admirała Kastylji). Miał też swego czasu i drugiego brata, ten atoli trzy lata wcześniej też spłonął na stosie w Maladze za judaizowanie. A że gdzie dwóch jest, tam

snadnie i trzeci się znajdzie, wspomnianym koneksjom rodzinnym nasz sewilski kupler zawdzięczał przezwisko „Garciposadas na Ruszcie”. Zaczynał ów osobnik zręcznie pełnić swą profesję „wujaszka”, czyli właściciela domu publicznego, smarował, gdzie trzeba, by interes szedł sprawnie, baczenie miał, by broń klienci ostawiali w przedsiönku, i wzbraniał wniknięcia wszystkim, co czternastu wiosen nie ukończyli, ażeby zarządzeniom burmistrza się nie narażać. Na dodatek ów Garciposadas na Ruszcie w wyśmienitych znajdował się stosunkach z łapsami, opartych na wzajemnej i sowitej życzliwości, przeto strażnicy i pachółkowie bez nijakiej sromoty ochraniali jego przybytek. Co wybornie opisywała poniższa strofa:

*Zbytki miłe mi, swawole,
Grzech, szelmostwa, nieprawości,
A kiedy mnie kto rozzłości,
Byle czym się zadowolę.*

Zadowolić takiego można było, rzecz jasna, grzecznie wypchaną sakiewką. Miejsce owo odwiedzane było przez sewilski półświatek, łajdaków, co na duszę Escamilli³⁴ się zaklinali, pospolitych łotrów, zabijaków z Herii³⁵, sprzedawców ciosów i handlarzy podstępem: wielce malowniczy naród, w którym niby rodziny trafiali się przegrani magnaci, syte złodziejaszki, mieszczanie z nabitymi kabzami, księża w świeckie szaty przebrani, posiadacze melin, czeladnicy sutenerstwa, szpicle straży miejskiej, mistrzowie szachrajstwa i wszelka inna różnorodność tego autoramentu. Niektórzy tak wredny mieli wygląd, że na odległość strzału czuć w nich było obcych przybłędów, a że często i pod tutejszy wymiar

sprawiedliwości nie podpadali, przeto sam mość Francisco de Quevedo tak rzecz całą w wierszowaną formę ujął:

*I w Sewilli próżno szukasz
Uczciwości, bowiem wyrok
Tyle waży tu, co dukat.*

Tak to pod troskliwą osłoną władzy „Oczko” co noc zapełniało się ludźmi, hulankom nie było końca, najprzedniejsze trunki lały się strumieniami, goście zasię, co wcześniej, uszykowani wchodzili, po jakimś czasie opuszczali przybytek ledwo na nogach się trzymając. Tu tańczono wszeteczną sarabandę, tu słyhać było i fujarki, i rajfurki, każdy swoim się zatrudniał rzemiosłem. W lupanarze ulokowało się ponad trzydziiesiątki wielce gościnnych dziewczek niezbyt ciężkich obyczajów, każda w osobnej izdebce. Co sobotę z rana – albowiem lepsze towarzystwo przybywało do nich w odwiedziny w sobotnie wieczory – przychodził strażnik miejski, by zbadać, czy francy jakiejś nieopatrznie nie pozyskały, od której klient później kłął będzie w żywe kamienie, złorzecząc, że to jego, a nie schizmatyka jakiego albo bisurmana dopust boży spotkał. A wszystko to razem samego arcybiskupa w istne wprawiało rozjuszenie, iż, co przeczytać można było w jednym z ówczesnych pamiętników: w Sewilli najwięcej masz tych, co w niepobłogosławionym związku żyją, fałszywych świadków, łotrów, skrytobójców, szalbierzy... Liczba domów gry do 300 dochodzi, a ladacznic do 3 tysięcy...³⁶

Wróćmy wszelako do naszej gawędy, daleko snadź nie mamy. Owóz Álvaro de la Marca już pożegnać się z nami gotował popod łukiem Golpe, niemal u samego wnijscia do lupanaru, aliści niepomyślny traf to sprawił, że przechadzał się tamtędy patrol pachółków ze strażnikiem na czele.

Tuszę, że pomnicie waszmościowie, jako to niedawny incydent z powieszonym żołnierzem właśnie wzbudził pomiędzy wojskiem galernicznym a siłą porządkową, toteż i wiarusi, i justycjariusze wałęsali się po mieście, czyhając na się nawzajem, by rachuby wyrównać. Skutek był taki, że za dnia łapsów nie uświadczyłeś, po nocy zasię wojsko nosa poza Trianę nie wyściubiło ani przez bramy do śródmieścia się nie zapuszczało.

– Patrzcie no – ozwał się na nasz widok dowódca patrolu.

Spojrzeliliśmy po sobie – Guadalmedina, Quevedo, kapitan i ja – zrazu skonfundowani. Osobliwie niefortunny zbieg okoliczności zechciał, że z całej ciżby, co się pod „Oczkiem” kręciła, ten tu krogulec i jego pisklaki musiały na nas uwagę swą zwrócić.

– Szanownym chwatom zachciało się świeżego powietrza zażyć – dodał strażnik wielce urągliwie.

Urągać i puszyć się mógł łącno dzięki obecności czwórki swych ludzi, wyposażonych w rapiery, tarcze i nader posępne oblicza, którym ciemności jeszcze grozy przydawały. I wtedy do mnie dotarło. W świetle lampki przy Paniencie z Atocha zamocowanej strój nie tylko kapitana Alatryste i Guadalmediny, ale i mój żołnierski charakter zdradzały. Nawet napierśnik z łosiowej skóry był w czasie pokoju zakazany – złośliwy los chciał, że Álvaro de la Marca włożył go owego wieczoru, by królowi towarzyszyć – a wystarczyło zerknąć jeno na kapitana, by z daleka zwietrzyć wojaka. Quevedo, jak zawsze prędki w rozumowaniu, dostrzegł nadciągającą chmurę i nuże sytuację łagodzić.

– Wasza miłość wybaczyć będzie łaskaw – z wielką rewerencją do strażnika się zwrócił – ale ci waszmościowie to ludzie honoru.

Z wolna wokół nas jął się krąg ciekawskich zamykać, co rzucić okiem chcieli: parę skąpo odzianych mewek, jeden zawadiaka, jakiś ochlapus z bukłakiem wielkości paschału. Nawet Garciposadas na Ruszcie makówkę

swą przez luk wystawił. Tak liczne zbiegowisko tylko animuszu justycjariuszowi dodało.

– A kto waszmości prosił o wyjaśnianie tego, co sami wybornie sprawdzić możemy?

Posłyszałem, jak Guadalmedina strzelił językiem z niecierpliwością.

– Nie mitygujcież się, mospany – dodał nam z mroku odwagi czyjś głos.

Tu i ówdzie rozległy się też śmiechy. Pod łukiem gromadziła się coraz większa ciżba. Jedni stronę łapsów brali, drudzy, którzy większość stanowili, zagrzewali nas, byśmy sprawili się dzielnie przeciwko tym bydlakom.

– Jesteście aresztowani w imieniu króla.

Te słowa niczego dobrego nie wróżyły. Guadalmedina i Quevedo wymienili spojrzenia, a ja zobaczyłem, że magnat składa płaszcz na ramieniu, by odsłonić ramię i rapier, tudzież na oblicze maseczkę nakłada.

– Takiego grubiaństwa człek szlachetnie urodzony ścierpieć nie może – ozwał się.

– A czy wasza miłość to ścierpi, czy też nie – odparował butnie strażnik – ani mi się o to śni dbać.

Wobec tak wytwornego dictum potyczka była nieuchronna. Mój pan cały czas zachowywał spokój i milczenie, baczenie mając na służbistę i jego pacholców. Orli nos i gęste wąsy pod szerokim rondem kapelusza nadawały mu w skąym świetle zaiste imponujący wygląd. W każdym razie ja, który znałem go najlepiej, takim go teraz widziałem. Wymacałem rękojeść mej mizerykordii. Wiele bym dał w owym momencie za rapier, tamtych bowiem było pięciu, nas zaś czterech. Po chwili dokonałem nowej kalkulacji i spuściłem nos na kwintę. Dwie piędzi mego żelaza sprawiały, że naszą siłę należało zrachować na półczwarta.

– Oddajcie broń – rzekł dowódca – i zechciejcie udać się z nami.

- To ludzie znakomitych rodów – Quevedo ostatnią próbę podjął.
- A ja jestem diuk de Alba.

Widomym było, że justycjariusz ani myśli ze swego zrezygnować, snadź dla niego dwa a dwa było trzy. Znajdował się na własnym terenie, przypatrywali mu się jego parafianie. Czwórka jego oprawców dobyła rapierów i jęła nas otaczać szerokim półkolem.

– Jeżeli nam się powiedzie i nikt nas nie rozpozna – szepnął zimno Guadalmedina głosem stłumionym jeszcze przez maskę – jutro sprawie łeb ukręca... W przeciwnym razie, panowie, najbliżej mamy kościół Świętego Franciszka.

Mundurowi zuchwalcy byli coraz bliżej. Czarne odzienie pachołków czyniło ich podobnymi otaczającym nas ceniom. Spod łuku częściej też dobiegały teraz oklaski i docinki.

- Daj im prztyczka, Sánchez – rzucił ktoś prostacko w stronę dowódcy.



...w lewicy jego pojawił się ogromny pistolet.

Rzeczony Sánchez bez pośpiechu, z wielką pewnością siebie i butą zatknął laskę strażniczą za pas, dobył rapiera, a w lewicy jego pojawił się ogromny pistolet.

– Liczę do trzech – powiedział, przysuwając się jeszcze odrobinę. – Raz...

Mość Francisco de Quevedo odsunął mnie delikatnie do tyłu i stanął tak, by mnie od pachółków odgradzić. Guadalmedina wpatrywał się teraz w twarz kapitana Alariste, który trwał nadal w tym samym miejscu i beznamytnie rachował odległości, obracając się z wolna, by najbliższego oprawcę mieć wciąż naprzeciw siebie, a pozostałych z oczu nie stracić.

Spostrzegłem, że Guadalmedina pomknął spojrzeniem ku temu, którego pan mój sobie upatrzył, za czym przesunął wzrok ku innemu, jakby tamtą sprawę uznał za rozstrzygniętą.

– Dwa...

Quevedo zdjął kurtę. „Bić się nam i tak dalej” – mamrotał przez zęby, rozpinając klamrę i owijając sobie materię wokół lewego ramienia na kształt tarczy. Álvaro de la Marca zasię złożył płaszcz na trzy, dzięki czemu miał połowę torsu osłoniętą przed spodziewanym gradem ciosów. Ja ostawiłem pana de Quevedo i do kapitana się przybliżyłem. Jego prawica z wolna wędrowała ku gardzie rapiera, a siostra jej już muskała rękojeść lewaka. Uszu mych dobiegał jego ciężki, powolny oddech. Raptem zmiarkowałem, że od wielu miesięcy, od czasu Bredy, nie widziałem, żeby zabił człowieka.

– Trzy! – Strażnik uniósł pistolet i zwrócił się ku ciekawskim. – W imię króla, wzywam do posłuszeństwa!

Jeszcze słów tych dokończyć nie zdołał, gdy Guadalmedina wypalił doń z bliska z jednego ze swych pistoletów. Tamtego, z obliczem ciągle odwróconym, aż na ziemię daleko odrzuciło. Jakaś niewiasta zapiszczała pod arkadą, a przez mrok przebiegł pełen wyczekiwania pomruk – wszak swary z bliźnimi i krwawe potyczki we własnym gronie do odwiecznych hiszpańskich obyczajów należą. Natenczas Quevedo, Alatryste i Guadalmedina w tym samym momencie rapiery ucapili i oto w zaułku zabłysło w słabym świetle siedem obnażonych głowni, a przedstawienie jęło nabierać diabelskiego rytmu: kling, klang, żelazo o żelazo skry nuże krzesać, pachółkowie w głos wołać „w imię króla, poddajcie się, w imię króla”, a widzowie jeszcze okrzykami i rozgwarem znać o sobie dawać. Ja przecie też swój sztylet obnażyłem, alem stanął i gapił się jeno, jak niby to mimochodem Guadalmedina rozcina jednemu oprawcy ramię, drugiemu

Quevedo twarz chlasta, do muru go wprzódy przycisnąwszy, aż tamten łapami się za ranę chwycił i zawył jak bydlę na rzeź prowadzone, Alatryste zasię, rapierem i lewakiem tnąc niby piorunami, zatapia właśnie stal toledańską w piersi trzeciego, który jęknął „Matko Przenajświętsza”, ramiona rozłożył i padł, rzygając obficie krwią czarną jak smoła.

Wszystko to tak raptownie się stało, że czwarty huncwot, niewiele myśląc, wziął nogi za pas, ledwie mego pana ujrzał, jak się ku niemu przybliża. Co widząc, zatknąłem na powrót sztylet za pas i podbiegłem, by rapier justycjariusza, co na ziemi leżał, złapać. Wyprostowałem się akurat w chwili, gdy dwóch albo trzech gapiów, których początkowy układ się zmylił, naprzód postąpiło, by pachółków dorwać. Wszystko atoli tak szybko się rozegrało, że nie zdążyli nawet pełnego kroku zrobić, a już znów jak wryci stali, po sobie popatrywali, a następnie bez szemrania spojrzeli na kapitana Alatryste, Guadalmedinę i Quevedę, ci bowiem już gotowi byli do dalszych żniw, złowrogie głównie w dłoniach dzierżąc. Stałem wedle mych towarzyszy i jak oni przybrałem czujną postawę, a dłoń, co żelazo ścisnęła, cała mi dygotała, lubo nie z niepokoju, jeno z podniecenia – duszę bym w tym momencie oddał, byleby móc choć jednym ciosem przyczynić się do pomyślnego wyniku walki. Na szczęście przygodnym świadkom z wolna odchodziła chętka na udział w zamieszaniu. Trzymali się w bezpiecznej odległości, mamrocząc tylko jakieś takie i owakie, że niby „czekajcie no waszmościowie”, „dochrapali się” i tym podobne, wśród docinków od strony ciżby dobiegających. My zasię wycofywaliśmy się tyłem, pozostawiwszy przed sobą istną jatkę: jeden pachółek na śmierć zabity, strażnik wystrzałem na grzbiet powalony i bardziej martwy niżli żywy, niezdolny chociażby o księdza zawołać, ten z rozciętym ramieniem krew tamował, jak umiał, a ostatni, co głowę miał rozciętą, klęczał wedle ściany i pojękiwał pod skorupą zaschniętej krwi.

– Będą się tłumaczyć na galerach królewskich! – zakrzyknął wyzywającym tonem Guadalmedina, gdyśmy znikali za załomem muru. Co zmyślnym fortelem było, zrzucało bowiem na rachunek żołdaków, zgodnie z tym, co sobie ubrdał dowódca, ten grad żelazny, co spadł owej nocy na niego i jego kompanów.

*Łapsy rychło się zjawily,
Bo ich zaraz zawezwano,
Jam pacholków w mig przetrzebił,
Na wieczerzę posłał czartom.*

Takie to strofy żartobliwej romancy, śpiesząc ulicą Harinas w stronę bramy Arenal, improwizował radośnie mość Francisco de Quevedo. Szukał otwartej gospody, gdzie mógłby uraczyć nas godnie i samemu talent swój napoić. Álvaro de la Marca zaśmiewał się jak urzeczony. Przednia przygoda – mówił. Przednia przygoda i wybornie rozegrana, jak mi Bóg miły. Kapitan Alatryste tymczasem, klingę szmatą z kieszeni wyciągniętą z krwi oczyściwszy i rapier schowawszy, szedł w milczeniu, myślami pochłonięty, których przejrzeć było nie sposób. A ja dreptałem u jego boku, dumny jak Don Kichote, niosąc rapier samego dowódcy straży.





IV. DWÓRKA KRÓLOWEJ.



iego Alatryste czekał, oparty o ścianę podcienia przy ulicy Mesón del Moro śród donic z baldaszkami i wonną bazylią. Spod rozpiętego sukienego kaftana wyglądała zgrabnie zacerowana, czysta koszula. Mój pan stał bez płaszcza, za to owszem, z kapeluszem, rapierem i lewakiem na swoich miejscach, i na dom Genueńczyka Garaffy pilne baczenie dawał. Znajdował się niemal tuż pod bramą, wiodącą do dawnej dzielnicy żydowskiej, nieopodal klasztoru Karmelitek Bosych i starego teatralnego Podwórca Pani Elviry³⁷. O tej porze okolica była spokojna, z rzadka przechodzień się pojawiał i jeno niewiasta jakaś zamiatała bramę i podlewała kwiaty. Dawniej kapitan Alatryste, jeszcze jako żołnierz na galerach królewskich służący, nie raz i nie dwa po tych ulicach był stąpał, ani przypuszczając, że po latach, kiedy w roku szesnastym z Italii powróci, zamieszka tu na dłuższy czas i obracać się będzie osobliwie śród wszelakiego autoramentu szumowin i zabijaków na sławetnym Dziedzińcu Drzewek Pomarańczowych, gdzie sam kwiat sewilskiej hołoty i ludzi luźnych a niecnotliwych się kupił. Jak może pomnicie waszmościowie, po uśmierzeniu buntu morysków w Walencji kapitan o zwolnienie ze swego regimentu prosił, ażeby zaciągnąć się do wojska w Neapolu – jak to eksplikował, „skoro mam dźgać niewiernych,

wolę stanąć przeciw takim, którzy bronić się mogą” – i pływał na galerach, wojując aż do roku piętnastego, kiedy to w pięć statków i ponad tysiąc żołnierza wybrzeże tureckie spustoszyli, suto się obłowili i do Włoch powrócili, a on sam w tymże Neapolu jął wieść całkiem udatny żywot. Wszystko to kres miało taki, jaki zwykle młodość przynosi: niewiasta, ten trzeci, szrama na licu niewieścim, żelazo w piersi tamtego, a Diego Alatryste zdołał się ucieczką salwować jedynie dzięki starej przyjaźni z kapitanem Alonsem de Contreras, który ukrył go na pokładzie galery, co kurs obrała na Sanlúcar i Sewillę. Takim to przemysłem były żołnierz, nim do Madrytu powrócił, musiał zarabiać na chleb jako szermierz i zabijaka w mieście, co Babilon przypominało i siedlisko wszelakiego występku, i bawił wśród szaławilów i łotrów, za dnia zażywając spokoju pod osłoną murów katedry na wspomnianym wyżej dziedzińcu, po zmroku zaś wychodząc w poszukiwaniu zarobku, który był podówczas na wyciągnięcie ręki, o ile tę rękę miałeś uzbrojoną, serce i bebechy na swoim miejscu i jeszcze dostatecznie dużo umiejętności i szczęścia. Legendarni zawadiacy, jak Gonzalo de Xeniz³⁸, „Pasiak”, „Świeca” i sławetny Pedro Vázquez de Escamilla, co to „jego wysokością” zwali jeno króla w kartach, już dawno przepadli, poszatkowani żelazem albo złożeni szubieniczną niemocą – w tej profesji supełek na gardzieli okazywał się dolegliwością wielce zaraźliwą...

Aliści zarówno na Dziedzińcu Drzewek Pomarańczowych, jak i w królewskiej turmie, gdzie również zawitał nieraz, Alatryste poznał godnych następców owych dzielnych chwatów, co wyśmienicie znali się na cięciu, kłuciu i chlastaniu, a i on sam, w pchnięciu Gayona³⁹ wyćwiczony i w wielu innych stosownych w tym fachu sztuczkach, nieraz dał dowód, gdy pora przyszła, że w tak znamienitej kompanii nie należy do ostatnich.

Wszystkie te wspomnienia w owym momencie doń powróciły, przyprawione nutą nostalgii może nie tyle za przeszłością, ile raczej za

utraconą młodością. A działa się to wszak zgoła nieopodal tegoż Podwórca Pani Elviry, gdzie za młodu ogromną miłością był zapalał do sztuk Lopego, Tirsa de Molina i tylu innych – to tu pierwszy raz był oglądał *Psa ogrodnika* i *Nieśmiałego na dworze* podczas pamiętnych wieczorów, co się poezją i udawanymi pojedynkami na scenie zaczynały, a kresu dobiegały w prawdziwych gospodach, przy winie, wśród brzęku monet i szelestu kart, wesołych kompanów i błysku żelaza. Owa niebezpieczna i dech zapierająca Sewilla wciąż żyła, a jedyna różnica leżała nie wokoło, jeno w nim samym. Czas biegnie nie na darmo – pomyślał, stojąc w cieniu bramy – a człek starzeje się także w środku, w ślad za swym własnym sercem.

– Wszelki duch... w mordę, kapitanie Alatryste... Mały ten świat.

Na dźwięk swego nazwiska obrócił się zbity z pantałyku. Widok Sebastiana Coponsa z dala od flamandzkich okopów, mówiącego aż dziewięć słów z rzędu, łącno mógł o zdziwienie przyprawić. Dobrą chwilę potrwało, nim kapitan zmiarkował: morska podróż, niedawne pożegnanie z Aragończykiem w Kadyksie, przepustka i zamiar przepłynięcia się na północ, w górę rzeki do Sewilli.

– Raduję się, że cię widzę, Sebastián.

Była w tym racja, a jakby jej zgoła nie było. Po prawdzie bowiem ani trochę się kapitan nie uradował, widząc druha właśnie w tym momencie, przeto gdy w ramiona sobie padli, jak na starych wiarusów przystało, zerkał bacznie w głąb ulicy ponad ramieniem przybyłego. Szczęśliwie Copons był człkiem zaufania godnym. Można go było posłać w diabły, nijakiej obrazy mu nie czyniąc, w lot by rzecz całą pojął. Snadź prawdziwego przyjaciela po tym poznasz, że ci karty rozdawać zezwala, nie bacząc, jaka talia w grę wchodzi.

– Zatrzymałeś się w Sewilli? – zagadnął.

– Tak jakby.

Copons, jak zawsze drobny, kościsty i twardy, miał na sobie swój dobrze znany rynsztunek: napierśnik, pendent, rapier i wysokie buty. Pod kapeluszem na lewej skroni widoczna była jeszcze zabliźniona rana, którą sam Alatryste opatrzył mu był jakiś rok wcześniej w czas bitwy pod młynem Ruijter.

– Trzeba by to oblać, Diego.

– Nie teraz.

Copons przypatrzył mu się bacznie i ze zdumieniem, za czym obrócił się lekko i podążył za wzrokiem kapitana.

– Jesteś zajęty.

– Coś w tym rodzaju.

Copons ponownie omiół spojrzeniem ulicę, szukając przyczyny, dla której druh jego jest tak małowówny. Musnął machinalnie rękojeść rapiera.

– Przydam ci się? – zapytał nader flegmatycznie.

– Chwilowo nie... – czuły uśmiech wywołał na ogorzałym obliczu Alatrystego całą siatkę zmarszczek. – Atoli coś się dla ciebie znajdzie, nim Sewillę opuścisz. Pasuje ci?

Aragończyk wzruszył ramionami z niezmaconym spokojem, tym samym, jakim reagował na rozkaz kapitana Catona, by ze sztyletem w dłoni wnieść do tunelu albo niderlandzki bastion zdobyć.

– A ty też się zgłosiłeś?

– Tak. W dodatku na koniec w sakiewce ma zadźwiężyć.

– A choćby i nie...

W tym momencie Alatryste ujrzał buchaltera Olmedillę u wylotu ulicy. Oczywiście szedł odziany na czarno, pod szyję zapięty, w wąskim kapeluszu, z miną szarego urzędnicy, co właśnie mury Trybunału Królewskiego opuścił.

– Muszę cię teraz pożegnać... Spotkajmy się potem w gospodzie Becerry.

Położył dłoń na ramieniu druha i ni słowa więcej nie mówiąc, opuścił posterunek. Z obojętną miną przeszedł przez ulicę i spotkał się z buchalterem tuż pod narożnym domem: była to ceglana budowla, piętrowa, z niepozorną okratowaną bramą, za którą rozpościerał się wewnętrzny dziedziniec. Weszli do środka, nie zapukawszy i słowa nie zamieniwszy, jeno porozumiewawcze, zdawkowe spojrzenie. Alatryste dłoń na gardzie rapiera trzymał, Olmedilla zaś zbrojny był raptem w swą kwaśną minę. Rychło też wyrósł przed nimi wiekowy sługa, ręce w fartuch wycierając i przypatrując się intruzom z niepokojem.

– Oddajcie się w ręce Świętego Oficjum – ozwał się Olmedilla głosem zimnym jak lód.

Zaraz też sługa zmienił się na licu, albowiem w Sewilli, w domu Genuęczyka, słowa te ważyły wielce. I w okamgnieniu jak baranek potulnie zniknął w sąsiedniej izbie, którą Alatryste, wciąż rapiera nie puszczając, skinieniem mu wskazał, za czym dał się tam związać, zakneblować i na klucz zamknąć. Kiedy Alatryste z powrotem na dziedziniec wychynął, zobaczył, że Olmedilla czeka nań ukryty za ogromną paprocią w donicy, dłonie trzyma zaplecione i niecierpliwie młynka kciukami kręci. I znów milcząca wymiana spojrzeń nastąpiła, po czym obydwaj mężowie podeszli ku zamkniętym drzwiom, co po drugiej stronie podwórza się znajdowały. Podówczas Alatryste rapiera dobył i z impetem wdarł się do przestronnego gabinetu, w którym stały stół, szafa, miedziany ruszt i kilka foteli skórą obitych. Światło, co przez wysokie, okratowane i na poły zasłonięte żaluzjami okno wpadało, kładło się jasnymi kwadratami na głowie i ramionach osobnika w średnim wieku, raczej otyłego niżli krępego, odzianego w jedwabny szlafrok i bambosze. Człek ów zerwał się

właśnie od stołu na równe nogi. Teraz Olmedilla już nie powoływał się ni na Święte Oficjum, ni na jakiegokolwiek inne autorytety, wszedł jeno w ślad za Alatristem, okiem urzędniczym izbę obrzucił i ukontentowany zatrzymał wzrok na otwartej szafie, wypełnionej papierami. Kot – przyszło kapitanowi na myśl – podobnie by się oblizał na widok sardynki, co leży ledwo cal od jego wąsisk. Gospodarzowi tymczasem krew zdała się całkowicie odpływać z oblicza: niejaki Geronimo Garaffa stał cichutko, gębę rozwarł w osłupieniu i ręce jeno wciąż na blacie trzymał wedle lichtarza, na którym świeczka płonęła, do topienia laku sposobna. Przy wstawaniu potrącił kałamarz i pół jego zawartości wylał na dokument, którego pisaniem pochłonięty był, kiedy niespodziewani goście go nawiedzili. Włosy, które snadź skrupulatnie farbował, nakryte miał siateczką, a utrefione wąsy – niedużą bindą. Pióro nadal w palcach trzymał, jakby zgoła o nim zapomniał, i tylko zatrwożony wpatrywał się w rapier, który kapitan Alatryste przystawiał mu właśnie do gardzieli.

– Powiadasz mospan, że nie wiesz, o czym tu prawimy.

Buchalter Olmedilla, za stołem rozparty, jak gdyby to był jego własny gabinet, uniósł oczy znad papierów i popatrzył na Geronima Garaffę, który lękliwie pokręcił głową, ciągle nakrytą siateczką. Genueńczyk siedział na krześle, przywiązany do oparcia, i lubo ciepłość w domu panowała umiarkowana, z czupryny płynęły mu grube krople potu, ściekając po faworytach i policzkach, co woń pomady, kropel do oczu i balsamu roztaczały.

– Zaklinam się, wasza miłość...

Olmedilla przerwał ten sprzeciw oschłym gestem dłoni i ponownie zajął się studiowaniem dokumentów, które miał przed sobą. Oczy Garaffy podniosły się sponad bindy, w której wyglądał paradnie jak w maseczce

karnawałowej, na Diega Alatryste. Ten zasię wsunął już był na powrót rapier do pochwy i słuchał w milczeniu o ścianę wsparty, z rękami założonymi na piersi. Zimne wejrzenie jego ani chybi jeszcze bardziej musiało trwożyć gospodarza niżli szorstkie obejście buchaltera, przeto na powrót na Olmedillę popatrzył, snadź wybierając mniejsze zło. Po długim, ciężkim milczeniu buchalter zarzucił czytanie papierów, oparł się w fotelu i wbił wzrok w Genuęczyka, zaplatając przy tym dłonie i znów młynka kciukami rozpoczynając. Wygląda ciągle jak szara myszka, co z dziurki wylazła – pomyślał Alatryste. Tyle że teraz jest to myszka, której pokarm nie posłużył i smak żółci na języku poczuła.

– Wystawmy sobie rzecz całą jasno... – rzekł Olmedilla z zimnym namysłem. – Waszmość wiesz wybornie, o czym mówię, a my wiemy, że to wiesz. Cała reszta to zwykła strata czasu.

Genuęczykowi tak w ustach zaschło, że trzy razy się zbierał, nim słowo zdołał wypowiedzieć.

– Klnę się na Chrystusa Pana Naszego – zarzekł się ochrypłym głosem, a strach jeszcze bardziej uwidoczniał jego cudzoziemski akcent – że nic mi nie jest wiadome o tym flamandzkim statku.

– Chrystusa nie mieszajmy w ten interes.

– To bezprawie... Domagam się, żeby sąd...

Ostatnie wysiłki Garaffy, by głos jego zabrzmiał stanowczo, utonęły w szlochu. Wystarczyło jeno zerknąć na oblicze Diega Alatryste, by łącno pojąć, że sąd, o którym Genuęczyk wspomniał, ten sąd, który snadź zwykł był przekupywać złotymi realami, znajdował się szmat drogi od tej izby i szukaj wiatru w polu.

– Gdzie zakotwiczy „Virgen de Regla”? – nader spokojnie zagadnął znów Olmedilla.

– Nie wiem... Najświętsza Panienko... Nie wiem, o czym mówicie, waszmościowie.

Buchalter po nosie się poskrobał, jakby nawet słyszeć o tym nie chciał, i popatrzył na kapitana Alatryste znacząco. Ten zasię powiedział sobie w duchu, że człek ów zaiste ucieleśnia wszelkie cechy urzędnika monarchii habsburskiej, skrupulatnej, a wobec nieszczęśników nieugiętej. Równie dobrze mógłby być sędzią, pisarczykiem trybunału, dowódcą straży grodzkiej, adwokatem – dowolnym robakiem, co żyje i prosperuje pod egidą tronu Hiszpanii. Guadalmedina i Quevedo zapewniali, że Olmedilla to mąż prawy, i Alatryste skłonny był im wierzyć. Atoli wyglądem i usposobieniem, wedle osądu kapitana, niczym się nie wyróżniał wśród innych czarnych, bezlitosnych, chciwych ptaszysk, co chmarami całymi obsiadły sądy, prokuratorie i trybunały obojga Hiszpanii, i w rezultacie pychą przerastały Lucyfera, kradły zachłanniej niżli Kakus⁴⁰, zaszczytów łaknęły bardziej niżli Tantal pokarmu, a pisma ich bardziej Boga obrażały od bluźnierstw poganina, bogaczowi schlebiając, a człekowi skromnemu uwłaczając. Przekłete pijawki, którym brakowało i miłosierdzia, i przyzwoitości, za to celowały w nieumiarkowaniu, zachłanności i dwulicowym fanatyzmie. Ci właśnie, co mieli biednych i maluczkich bronić, rozszarpywali ich bez opamiętania na drobne kawałki. Lubo ten, którego dzisiaj mieli w swych rękach, nie należał do tej grupy. Ani on biedny, ani maluczki, chociaż na pewno widać było jego małość.

– No to już – zakończył Olmedilla.

Porządkował papiery na stole, oczu nie odrywając od Alatristego, a mina jego zdawała się mówić: to wszystko, co było do powiedzenia, przynajmniej z mojej strony. I tak przez jeszcze kilka chwil Olmedilla i kapitan wpatrywali się w siebie w milczeniu. Nareszcie pan mój opuścił ręce i ruszył spod ściany w kierunku Garaffy. Gdy już doń podszedł, na

twarży Genuńczyka malował się nieopisany strach. Alatryste stanął naprzeciw niego i pochylił się lekko, by móc baczenie spojrzeć prosto w oczy gospodarza swym przenikliwym wzrokiem. Osobnik ów i sprawki jego nie wzbudzały w kapitanie najmniejszego zgoła odruchu litości. Z farbowanej czupryny kupca spływały spod siateczki na oblicze i kark jego ciemne strugi. Teraz, pomimo balsamów i pomadek, zalatywał kwaśnym potem i trwogą.

– Geronimo... – szepnął Alatryste.

Słyszając własne imię, wypowiedziane raptem kilka cali od jego uszu, Garaffa wzdrygnął się, jak gdyby ktoś go w policzek plasnął. Kapitan aliści ani drgnął, trwał jeno dłuższą chwilę w ciszy i bezruchu, przypatrując się skrępowanemu. Wąs jego niemal ocierał się o nos tamtego.

– Widziałem nieraz torturowanego człowieka – ozwał się wreszcie, cedząc słowa. – Widziałem takich, co ręce i nogi kołem mając wyłamane, własne dzieci wydawali. Widziałem renegatów żywcem ze skóry obdzieranych, którzy rozpaczliwie błagali, ażeby ich zabito... W Walencji widziałem, jak nieszczęsnym moryskom stopy przypiekano, by przyznali się, gdzie złoto ukrywają, oni zasię słyszeli, jak ich córki, co ledwie dwanaście lat skończyły, padały ofiarami lubieżności żołnierzy. ..

Raptem urwał. Ani chybi dalsze wyliczanie podobnych przypadków z celem się miało, lubo w nieskończoność mogło trwać. Po obliczu Garaffy łącno zmiarkować się dało, że właśnie otarł się o śmierć. Niespodzianie przestał się pocić, jak gdyby pod jego poźólkłą z trwogi skórą już ni kropli płynu nie pozostało.

– I wierzaj mi, że każdy prędzej czy później zaczyna mówić – zakończył kapitan. – A raczej prawie każdy. Czasami, jeżeli kat jest nazbyt pochopny, ten czy ów umiera za wcześnie... Ale ty do nich nie należysz.

Jeszcze przez moment przypatrywał mu się z bardzo bliska, za czym do stołu się udał. Tam, stanąwszy tyłem do więźnia, podwinął mankiet i rękaw na lewym przedramieniu. Czyniąc to, skrzyżował spojrzenia z Olmedillą, który obserwował go bacznie i z niejaką konfuzją. Następnie kapitan ujął lichtarz ze świecą do topienia laku i do Genueńczyka powróciwszy, znów się nad nim pochylił. Płomień wydobył szarozielone błyski w jego oczach, ponownie wpatrzonych w siedzącego kupca. Zdawały się dwiema nieruchomymi plamkami lodowatego szronu.

– Spójrz – powiedział.

Pokazał mu, widoczną wśród włosów na przedramieniu, wąską i długą bliznę, co rozcinała mu ogorzałą skórę aż po łokieć. I raptem, tuż przed nosem zatrwożonego Genueńczyka, kapitan Alatriste przybliżył płomień świecy do własnego ciała. Ogień zaskwierczał, woń palonej skóry się rozniosła, on zasiał zęby i pięść zacisnął, a ścięgna i mięśnie ręki stwardniały mu na podobieństwo wykutej w kamieniu winnej latorośli. Spojrzenie kapitana nadal emanowało jasnością i spokojem, atoli oczy Genueńczyka omal na wierzch z przerażenia nie wypadły. I tak to trwało przez chwilę, która zdawała się końca nie mieć. Za czym z niezmaconą flegmą Alatriste lichtarz na blat odstawił, do więźnia znów się pokwapił i pokazał mu swą rękę. W miejscu, które dopiero co płomień żywy lizał, czerwieniał ślad strasznego oparzenia, wielkości ośmiorealowej monety.

– Geronimo... –powtórzył.

Jeszcze raz oblicze przybliżył do twarzy tamtego, przybierając ponownie cichy, niemal konfidencjonalny ton: – Skoro jestem w stanie uczynić to samemu sobie, imaginuj, co mogę uczynić z tobą.

Żółtawa kałuża pojawiła się pod krzesłem u stóp uwięzionego gospodarza. Garaffa jął jęczeć i trząść się, i długo nie przestawał. Na koniec dar mowy odzyskał i raptem potoczyły się słowa z ust jego szybkim,

niespodzianym i obfitym strumieniem, Olmedilla zasięgnęło pióro w inkauscie maczać i zeznanie spisywać. Alatryste tymczasem udał się do kuchni w poszukiwaniu tłuszczu, łożu albo oliwy, by oparzone miejsce posmarować. Kiedy wrócił, opatrując sobie przedramię czystą szmatką, Olmedilla posłał mu spojrzenie, w którym u człeka o innym usposobieniu można by odczytać ogromny i nieskrywany podziw. Z kolei Garaffa, jakby o własnym przerażeniu zapomniawszy, dosłownie ozór rozpuścił i ujawniał wieści o nazwiskach, miejscach, datach, bankach portugalskich i sztabach złota. A opowieść ta trwała i trwała.

* * *

O tejsze samej porze ja przechodziłem pod długim łukiem⁴¹, wybudowanym w głębi Dziedzińca Chorągwi i wiodącym ku wąskiej uliczce dawnej Aljamy⁴². Mnie także, lubo dla odmiennej przyczyny niżli u Geronima Garaffy, krew zdawała się całkiem z lica odpływać. Zatrzymałem się w wyznaczonym miejscu i o mur wsparłem, bałem się bowiem, że nogi się ugną pode mną. Aliści ostatnimi laty wola przetrwania znacznie we mnie okrzepła, zdołałem przeto mimo wszystko dać wokół pilne baczenie na obydwie wyjścia i kilkoro niepokojących drzwiczek, w ścianie tuż obok widniejących. Musnąłem rękojeść mizerykordii, którą jak zwykle zatknęta za pas na krzyżu miałem, i machinalnie poklepałem się po kieszeni, gdzie spoczywał bilecik, co aż tu był mnie przywiódł. Ani chybi pasowałby do którejś z zacnych komedii Tirsa albo Lopego:

*Jeżeli nadal żywisz do mnie afekta, nadeszła chwila, by tego dowieść
Będę wielce kontenta, mogąc cię ujrzeć o jedenastej przed południem pod
łukiem dzielnicy Hebrajczyków.*

Bilecik dotarł do mnie o dziewiątej za sprawą chłopca, który przybiegł do zajazdu przy ulicy Tintores, gdzie oczekiwałem powrotu kapitana, siedząc na ławeczce przed wnijsciem i na przechodniów popatrując. List nie był podpisany, ale jej nadawczyni była tak oczywista, jak rany, którym dotąd w sercu i pamięci nosił. Sami waszmościowie osądzcie, jakież przeróżne sentymta mną targały od momentu, gdym przesyłkę otrzymał, i z jakim słodkim drzeniem kierowałem kroki na spotkanie. Poniecham zanurzania się w tajniki zakochanej duszy, snadź i mnie sromotą by to okryło, i czytelnika o znużenie przyprawiło. Powiem jeno, zem miał podówczas szesnaście lat i nigdy przedtem – ani potem w taki sposób – nie miłowałem żadnej dziewczki czy niewiasty tak, jak w owej chwili kochałem Angelikę de Alquézar.

Paradne, do kroćset. Wiedziałem, że bilecik jest po prostu kolejnym stopniem niebezpiecznej gry, jaką Angélica wiodła ze mną od czasu, kiedyśmy się byli poznali przed Gospodą Pod Turkiem w Madrycie. Gry, która omal nie kosztowała mnie utraty honoru i życia i która niejednokrotnie, lubo lata płynęły, prowadziła mnie nad krawędzią otchłani, po śmiercionośnym ostrzu najśłodsze go noża, jaki niewiasta zdolna była wykoncypować z myślą o mężczyźnie – o mężczyźnie, co całe jej życie aż po chwilę przedwczesnej śmierci był jej kochankiem i wrogiem zarazem. Atoli ten moment jeszcze w owym czasie wciąż pozostawał daleko, ja tymczasem śpieszyłem przez poranną, zimowym chłodem zdjętą Sewillę, uzbrojony w wigor i odwagę, jakie młodemu wiekowi zawdzięczałem, by przybyć na spotkanie z dziewczką – a może, deliberowałem, już całkiem dorodną panną – która niemal trzy lata wcześniej przy Stalowej Fontannie usłyszała ode mnie: „Za panienkę mógłbym zginąć”, na co odparła słodko i zagadkowo: „Może zginiesz”.

Pod łukiem Aljamy nie było żywej duszy. Ostawiwszy za plecami wieżę katedry, ponad drzewkami pomarańczowymi w niebo wystrzelającą, zagłębiłem się jeszcze bardziej w cień, wychynąłem zza załomu i wyszedłem po drugiej stronie, gdzie woda szemrała w fontannie, a grube pnącza zwisały z blanków Pałaców Królewskich. Ale i tu nikogom nie obaczył. Może zadworowano ze mnie – rzekłem w duchu, odwracając się na pięcie i ponownie pod sklepienie łuku wchodząc. Raptem posłyszałem jakiś odgłos za sobą, zaraz też głowę tam zwróciłem, a dłoń moja z miejsca powędrowała ku sztyletowi. W otwartych drzwiczkach pojawił się potężny, płowowłosy żołnierz straży niemieckiej i przyglądał mi się bez słowa. Nareszcie znak mi dał, zbliżyłem się doń tedy z wielką przezornością, podstępnie się obawiając. Niemiaszek atoli zamiarów wrogich nie zdradzał. Przypatrywał mi się jeno z wytrawną ciekawością, a kiedym tuż przy nim się znalazł, dłoń wyciągnął, bym oddał mu sztylet. Uśmiechał się przy tym dobrodusznie pomiędzy gęstymi bokobrodami, co w wąsiska przechodziły. Na koniec powiedział coś w rodzaju *komensi herain*⁴³, ja zaś – snadź siłę mężów tej nacji byłem we Flandrii widziałem, żywych i martwych – pojąłem, że znaczy to „chodź”, „wejdź”, czy coś w tym rodzaju. A że wyboru nie miałem, oddałem mu przeto mizerykordię i przestąpiłem próg.

– Witaj, żołnierzu.

Ktokolwiek zna portret Angeliki de Alquézar, pędzłem Diega Velazqueza sporządzony, łącznie wyobrazi ją sobie ledwie kilka lat młodszą. Siostrzenica królewskiego sekretarza, dworka Najjaśniejszej Pani, skończyła właśnie piętnaście wiosen i była panną urody więcej niżli obiecującej. Bardzo wyrosła od chwili, kiedym ją był ostatni raz spotkał: gorset z kordonkami, suto zdobionymi srebrem i koralami, zgrabnie dopasowany do brokatowej sukni, co się wdzięcznie wokół bioder na

krynolinie otulała, zdradzał kształty, których wcześniej tam zgoła nie było. Złociste loki, jakich Araukanie w swych kopalniach przenigdy nie widzieli⁴⁴, wciąż precudną ramę dla jej oczu modrych stanowiły, w niczym jasnością nie ustępując gładkiej i bielutkiej skórze, która zdała mi się uczyniona jak z jedwabiu, a przyszłość dozwoliła mi się przekonać, że tak jest w istocie.

– Wiele czasu upłynęło.

Tak cudną się jawiła, że sam ów widok katusze mi zadawał. Włosy jej skrzyły się bielą w promieniach słońca, co z tyłu na nią padało skroś okna izby o kolumnach mauretańskich, wychodzącej na ogródek przyległy do Pałaców Królewskich. Uśmiechała się tak, jak zwykła się zawsze uśmiechać – z odcieniem ironii albo i niegodziwości w kącikach nieskazitelných ust.

– Wiele – zdołałem nareszcie wybełkotać.

Niemiec wycofał się już był do ogrodu, gdzie dostrzegłem także czepiec przechadzającej się damy do towarzystwa. Angélica usadowiła się na krześle z rzeźbionego drewna, mnie zaś wskazała stojący przed nią zydelek. Siadłem przeto, sam nie wiedząc za dobrze, co czynię. Przypatrywała mi się z dużą uwagą, dłonie na podołku złożonywszy. Dojrzałem satynowy trzewiczek, co wysuwał się spod jej spódnicy, i raptem zmiarkowałem, że sam mam na sobie zgrzebny kaftan bez rękawów na połataną koszulinę nałożony, portki z grubego sukna i wojskowe cholewki. Na rany Chrystusowe – zakląłem w duchu. Imaginacja podsunęła mi wnet fanfaronów i gładyszów, zacnie urodzonych i jeszcze zacniej uposażonych, co się do Angeliki nieochybnie zalecają podczas dworskich zabaw i tańców – i duszę mą przeszedł dygot zazdrości.

– Mam nadzieję – ozwała się nader łagodnie – że nie karmisz waszmość do mnie urazy.

Niewiele trzeba było, bym zaraz przypomniał sobie mą hańbę, toledańską ciemnicę inkwizycji, akt wiary na placu Mayor i rolę, jaką siostrzenica Luisa de Alquézar odegrała w mej niedoli. I ta myśl przywróciła mi chłód, którego tak mi w owej chwili było trzeba.

– Czego chcesz ode mnie, pani? – spytałem.

Zwlekała z odpowiedzią dłużej, niżli można się było spodziewać. Spozierała na mnie bacznie wciąż z tym samym uśmiechem. I snadź była zadowolona z tego, co miała przed sobą.

– Niczego nie chcę – odrzekła. – Miałam kaprys, by znów waszmości obaczyć... Zoczyłam waszmości na placu.

Zamilkła na moment, zerknęła na me dłonie i na powrót spojrzała mi w twarz.

– Wyrosłeś, rycerzu.

– Wasza miłość też.

Przygryzła delikatnie dolną wargę i skinęła bardzo powoli głową. Loki muskały jej gładkie policzki, a ja ją wielbiłem.

– I walczyłeś waszmość we Flandrii.

Nie stwierdzała ani nie pytała. Raczej jak gdyby rozważała coś na głos.

– Chyba kocham waszmości – rzekła raptem.

Poderwałem się z zydła gwałtownie. Angélica już się nie uśmiechała. Patrzyła jeno ze swego krzesła swymi oczami modrymi jak niebiososa, jak morze i jak życie. Niech mnie diabli porwą, jeśli nie wyglądała tak przecudnie, że opamiętanie można było postradać.

– Chryste – wymamrotałem.

Drżałem jak liść. Ona zasię trwała nieruchomo jeszcze długą chwilę, by nareszcie ramionami wzruszyć.

– Musisz waszmość wiedzieć – rzekła – że masz niestosownych przyjaciół. Jak chociażby ów kapitan Batiste, Triste, czy jak go tam zwa...

Przyjaciół, co nieprzyjaciółmi są moich bliskich... I musisz wiedzieć jeszcze, że to waszmości może kosztować życie.

– Omal już się tak nie stało – odparłem.

– I rychło znów się stanie.

Na usta jej powrócił poprzedni uśmiech, zadumany i zagadkowy.

– Dziś wieczorem – ciągnęła – diukostwo de Medina Sidonia podejmuje króla i królową przyjęciem... W drodze powrotnej moja karoza zatrzyma się na pewien czas przy bulwarze Alameda. Są tam urokliwe fontanny i ogródki, a miejsce to wielce przyjemne jest do przechadzki.

Potałem czoło. To wyglądało zbyt pięknie. Zbyt łatwo.

– Pora, jak tuszę, będzie niestosowna.

– Jesteśmy w Sewilli. Noce są tu ciepłe.

Nie umknęła mi osobliwa ironia przez jej słowa przebijająca. Zerknąłem w kierunku dziedzińca, gdzie przebywała dama do towarzystwa. Angélica w mig pojęła, co chcę wyrazić.

– To inna niż ta, co mnie przy Stalowej Fontannie doglądała... Ta przychodzi, kiedy sama tego zechce, jest niema i ślepa. Pomyślałam tedy, że może miałbyś ochotę pojawić się na Alamedzie około godziny dziesiątej w nocy, Íñigo Balboa.

Zaniemówiłem, usiłując wszystko to rozumem objąć.

– To zasadzka – wyrzekłem. – Pułapka, jak zwykle.

– Może. – Nie spuszczała ze mnie wzroku z nieprzeniknioną miną. – Od odwagi waszmości zależy, czy stawisz się, czy też nie.

– Kapitan... – powiedziałem i zaraz zamilkłem.

Angélica patrzyła na mnie z iście diabelskim blaskiem w oczach. Rzekłbyś, w myślach mi czyta.

– Ten cały kapitan to druh waszmoścín. Ani chybi zdradzisz mu swój mały sekret... A nie może zwać się druhem ktoś, kto zezwoliłby waszmości

pójść w zasadzkę samemu.

Przerwała na chwilę, czekając, aż sens w pełni dotrze do mego umysłu.

– Jak powiadają – dodała wreszcie – i on jest człkiem nader śmiałym.

– Któż tak powiada?

Nic nie rzekła, jeno uśmiechnęła się jeszcze szerzej. A ja pojąłem w końcu, co chciała mi powiedzieć. I pewność ta dotarła do mnie z przerażającą jasnością, ażem zadygotał na myśl o tym, jakie wyzwanie właśnie w twarz mi rzuciła. Przed oczami stanęła mi na podobieństwo upiora czarna postać Gualteria Malatesty. Wszystko było oczywiste i zarazem przerażające: oto dawne porachunki objęły nie tylko Alatrystego. W wieku byłem stosownym, ażeby móc ponieść skutki własnych poczynań, zbyt wiele rzeczy wiedziałem, a dla naszych przeciwników byłem osobą równie niewygodną, co sam kapitan. Względem samego zasię spotkania, przewrotnie uprzedzony o nieuchronnym niebezpieczeństwie, nie mogłem się udać tam, gdzie mnie Angélica kusiała, i zarazem nie mogłem tego zamiaru poniechać. Słowa „i walczyłeś waszmość we Flandrii”, które dopiero co była wyrzekła, zadźwięczały okrutną drwiną. Wszelako ostatecznym odbiorcą przesłania był kapitan. Nie wolno mi było sprawy tej przed nim zataić. A on w takim razie albo wzbroni mi pójścia nocą na Alamedę, albo nie dopuści, bym szedł tam sam. Na złowrogim afiszu owego przedstawienia figurowały nieuchronnie obydwaj nasze nazwiska. Wypadało tedy wybrać pomiędzy hańbą albo nieochybną groźbą. Myśli me trzepotały się teraz na podobieństwo ryby w więcierze pochwyconej. Raptem, lubo z nowym złowrogim sensem, powróciły do mnie słowa wypowiedziane przez Gualteria Malatestę. Mówił wszak, że honoru niebezpiecznie jest bronić.

– Chciałabym wiedzieć – ozwała się Angélica – czy nadal gotów jesteś waszmość za mnie umrzeć.

Wpatrywałem się w nią zmieszany, słowa z gęby nie mogąc wydusić. Zdało mi się, że bez trudu nijakiego przeszywa mnie spojrzeniem na wylot.

– Jeżeli nie przyjdiesz – dodała – będzie to znak dla mnie, że pomimo tej całej Flandrii jesteś waszmość tchórzem... W przeciwnym razie, cokolwiek się wydarzy, chcę, ażebyś pamiętał, com ci niedawno rzekła.

Zachręścił brokat sukni, gdy wstawała. Była teraz blisko. Bardzo blisko.

– I że może zawsze będę waszmości kochała.

Rzuciła spojrzeniem w stronę ogrodu, gdzie przechadzała się jej opiekunka. I przybliżyła się jeszcze bardziej.

– Pamiętajże o tym aż do końca... Nieważne, kiedy nadejdzie.

– Kłamiesz, pani – odparłem.

Poczułem raptem, jak gdyby cała krew mi z serca i żył odpłynęła. Angélica przyglądała mi się z nowym zaciekawieniem. Trwało to chwilę, która wiecznością mi się zdała. I wtem uczyniła coś, czegom w żaden sposób spodziewać się nie mógł. To znaczy, uniosła swą białą dłoń, drobną i jakże doskonałą, i dotknęła palcami mych ust, jak gdyby pocałunek tam składała.

– Odejdź – rzekła.

Odwróciła się i wyszła do ogrodu. Ja zasię, omal zmysłów nie postradawszy, dałem kilka kroków w ślad za nią, jakbym podążać zamierował do samych komnat królewskich i na salony Najjaśniejszej Pani. Atoli drogę zastąpił mi ów Niemiec z sutymi bokobrodami, z uśmiechem sztylet mi oddał i wskazał wyjściowe drzwi.

Siadłem na stopniach Łoży Kupieckiej nieopodal katedry i pozostałem tam dłuższą chwilę, mrocznymi rozmyślaniami spowity. Targały mą duszą sprzeczne uczucia, namiętność do Angeliki, podsycona tak niepokojącą

schadzką, ścierała się z przeświadczeniem, że oto bez ochyby wpadamy w bardzo niecne sidła.



...i dotknęła palcami mych ust, jak gdyby pocałunek tam składała.

Zrazu uznałem, że rzecz przemilczę, wymknę się w nocy mocą jakiej wymówki i stawię się sam na spotkanie ze swym przeznaczeniem w towarzystwie jeno własnej mizerykordii i rapiera dowódcy straży – zacnego żelaza, opatrzonego znakami snycerskimi mistrza Juanesa, które przechowywałem w stare szmaty owinięte w naszym zajeździe. Atoli taki wybór odbierał mi przy każdym obrocie spraw wszelaką nadzieję. Mroczna postać Malatesty jawiła mi się przed oczami imaginacji niczym posępna

wróżba. Przeciw takiemu rywalowi nijakiej szansy nie miałem. I to nawet, gdyby Włoch (czy kogo tam diabli nadadzą) stawił się na spotkanie sam.

Ślozy gniewu i bezsilności cisnęły mi się pod powieki. Byłem wszak Baskiem, szlachcicem, synem żołnierza Lopego Balboi, co za króla i prawdziwą wiarę we Flandrii był poległ. Na szali leżał mój honor oraz życie męża, któregom wśród wszystkich ludzi największym respektem darzył. Pospołu z nimi leżał tam i mój własny żywot, aliści w owej jego chwili, gdym już nieraz narażał go na szwank, jak przystało na pacholę między łotrami i żołnierzami wychowane, skłaniałem się ku fatalistycznemu przekonaniu, że serca bicie nie jest dane na zawsze i łatwo je zatrzymać. Tak wielu odeszło na mych oczach, ten złorzecząc, tamten łkając, jeszcze inny z modlitwą na ustach albo w milczeniu, jedni w rozpacz, drudzy z rezygnacją, przeto i mnie śmierć nie jawiła się jako coś niezwykłego albo strasznego. Poza tym wierzyłem, że istnieje jeszcze drugie życie, gdzie Bóg, mój poczciwy rodzic i starzy druhowie oczekują mnie z otwartymi ramionami. Bez względu zasię na to, czy miałem dalej żyć poza grobem czy też nie, nauczyłem się, że śmierć to coś, co ludziom pokroju kapitana Alatryste nigdy nie przydarza się bez przyczyny.

Tak to sobie rozważałem, siedząc na schodach Łoży Kupieckiej, kiedym w oddali ujrzał, jak kapitan społem z buchalterem Olmedillą gdzieś podążają. Maszerowali pod murem Pałaców w kierunku Izby Handlowej. W pierwszym odruchu chciałem pobiec na ich spotkanie, alem się powstrzymał i spoglądałem jeno na chudą postać mego pana, szerokie rondo kapelusza na oblicze nasuniętego i rapier, co u boku mu dyndał, i na w czerni przyobleczonego osobnika, któremu kapitan kompanii dotrzymywał.

* * *

Buchalter wyraził życzenie, by zatrzymali się w jakiejś gospodzie, na co Diego Alatryste przystał nie bez zadziwienia. Pierwszy to raz, kiedy Olmedilla zdradził się z chęcią rozmowy albo towarzystwa. Zaszli tedy do gospody Sześciopalczastego na tyłach Arsenału i siedli tuż przy wnijściu pod arkadą i markizą, co przed słońcem chroniła. Alatryste zdjął kapelusz i odłożył go na stołek. Dziewka podała im kwaterkę wina z Cazalla de la Sierra i talerz fioletowych oliwek i Olmedilla zaraz przepił do kapitana. Uczciwiej będzie rzec, że ledwo wargi umoczył w swym pucharze, ale nim to uczynił, przeciągłym spojrzeniem męża wedle swego boku siedzącego obrzucił. Mars na jego czole jął się wygładzać.

– Wybornie rozegrane – rzekł.

Kapitan przypatrzył się suchym rysom buchaltera, jego bródce tudzież alabastrowej, poźółkłej kompleksji, co od świec w rozmaitych gabinetach zdawała się zniszczona. Nic nie odpowiedział, jeno podniósł wino do ust i, owszem, tęgi łyk pociągnął, do cna szklanicę opróżniając. Kompan jego dalej patrzył nań z zaciekawieniem.

– Nie zełgali ci, co o waszmości rozpowiadali – ozwał się wreszcie.

– Z Genuńczykiem poszło łatwo – odparł Alatryste ponuro.

I zamilkł. Robiłem już rzeczy znacznie mniej czyste – mówiło to milczenie. Olmedilla chyba pojął jego sens prawidłowo, bo z wolna głową skinął z poważną miną człeka, co rzecz chwyta, a w szczegóły przez delikatność wchodzić się nie kwapi. Genuńczyk zasię i jego sługa w owej chwili siedzieli skrępowani i zakneblowani w powozie, który wywoził ich daleko poza Sewillę w kierunku kapitanowi nieznanym (wiedzy tej pan mój nawet nie zamierował dochodzić), eskortowani przez strażników, złowrogiej powierzchowności, których Olmedilla snadź zgodził był dużo wcześniej, albowiem pojawili się na ulicy Mesón del Moro, jakby z nieba

spadli, tłumiąc ciekawość sąsiedztwa czarodziejską formułką o Świętym Oficjum, po czym dyskretnie przepadli pospołu ze swymi więźniami, odjeżdżając ku rogatom na Carmonę.

Olmedilla rozpiął kaftan i wydobyl złożony papier z lakową pieczęcią. Potrzymał go czas jakiś w dłoni, jakby walczył z własnymi skrupułami, i nareszcie położył go przed kapitanem na blacie.

– To weksel kredytowy – rzekł. – Okaziciel otrzyma pięćdziesiąt starych dublonów w złocie, z dwoma awersami... Możesz go waszmość zrealizować w domu bankowym mości Josepha Arenzany przy placu San Salvador. Nijakich pytań nie usłyszysz.

Alatriste zerknął na dokument, lubo go nie tknął. Dublony z dwoma awersami stanowiły najbardziej pożądaną walutę, jaka była w owym czasie w obiegu. Bito je w czystym złocie ponad sto lat wcześniej, za panowania Monarchów Katolickich, i nikt w ich wartość nie wątpił, ledwie zadzwięczały o stół. Kapitan znał ludzi, co własną matkę gotowi byli zaszlachtować za choćby jedną sztukę tego pieniądza.

– A będzie sześć razy tyle – dodał Olmedilla – kiedy rzecz całą dokończymy.

– Dobrze wiedzieć.

Buchalter zadumał się nad swoją szklanicą. Pływała w niej mucha, daremne wysiłki czyniąc gwoli wydostania się na wolność.

– Flota przybywa za trzy dni – powiedział, przypatrując się muszej agonii.

– Ilu ludzi będzie trzeba?

Olmedilla wskazał weksel palcem powalonym inkaustem.

– To już od waszej miłości zależy. Genuńczyk powiada, że „Niklaasbergen” ma na pokładzie dwudziestu kilku marynarzy, kapitana i pilota... Wszystko to Flamandowie i Niderlandczycy, krom pilota. Możliwe,

że w Sanlúcar wsiądą jacyś Hiszpanie wraz z towarem. A do dyspozycji mamy jedną noc jeno.

Alatriste dokonał żwawo rachuby.

– Dwunastu, może piętnastu. Ci, których mogę za pomocą tego złota skaptować, zdołają się wyposażyć po czubek głowy.

Olmedilla dłonią machnął wymijająco, czym dał do zrozumienia, że wyposażenie Alatristego to nie jego sprawa.

– Musisz waszmość – powiedział – mieć ich w pogotowiu już poprzedniej nocy. Wedle planu macie spłynąć w dół rzeki i osiągnąć Sanlúcar wraz ze zmierzchem dnia następnego... – Tu zanurzył brodę w głąb kołnierza, jak gdyby jeszcze nad czymś deliberował. – Ja popłynę z wami.

– Jak daleko?

– Zobaczymy.

Kapitan spojrział nań, zdumienia nie tając.

– To nie będzie papierkowa robota.

– Wszystko jedno. Jestem zobligowany sprawdzić ładunek i zająć się jego transportem, jak tylko statek znajdzie się w naszych rękach.

Słyszając to, Alatriste zmusił się do uśmiechu. Jakoś nie widział buchaltera wśród ludzi, których zamierzał kaptować. Pojmował aliści, że tamten mógł w podobnej sprawie nie mieć całkowitego zaufania. W grę wchodziła góra złota, co wielką pokusę stanowiło, łącznie wtedy jakaś sztabka mogła zmienić właściciela.

– Wybacz mi waszmość, że to mówię – zaznaczył buchalter – ale jakakolwiek niesubordynacja równa się szafotowi.

– Takoż wobec waszej miłości?

– Możliwe, że i wobec mnie.

Alatriste przygładził palcem wąsy.

– Tuszę, że waszmościna zapłata – odparł żartobliwie – nie obejmuje podobnych awantur.

– Moja zapłata obejmuje dopełnienie mych powinności.

Mucha zamarła, Olmedilla wszelako nadal się w nią wpatrywał.

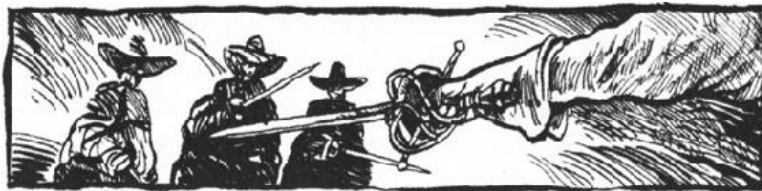
Kapitan dolał sobie trunku. Kiedy jął na powrót pić, zmiarkował, że tamten znów podnosi nań zaciekawiony wzrok i bada nim dwie blizny na kapitańskim obliczu i lewe ramię, gdzie spod rękawa wyglądał bandaż, przypalone miejsce opatrujący. Miejsce, co bolało jak wszyscy diabli.

Nareszcie Olmedilla na powrót czoło zmarszczył, jakby myśl jakowaś spokoju mu nie dawała, ale wahał się, czy powinien ją wypowiadać.

– Zastanawiam się – powiedział – co byś waszmość uczynił, gdybyś na Genuńczyku nijakiego wrażenia nie zrobił.

Alatriste błędził spojrzeniem po ulicy, mrużąc oczy od słońca, co się w przeciwległej ścianie odbijało, skutkiem czego oblicze jego jeszcze bardziej stało się nieprzeniknione. Za czym zerknął na muchę utopioną w winie Olmedilli, upił kolejny łyk i nic nie odrzekł.





V. WYZWANIE.



olumny Herkulesa, sterczące u południowego końca Alamedy na wysokość dwóch halabard, ostro odcinały się od ciemnego nieba w silnej poświacie miesięcznej. Sznur wiązów, niknących za nimi w mrocznej oddali, rzucał gęsty cień na zalaną zimnym blaskiem ulicę. O tej porze nie uświadczyłybyś tu ni powozów, szykowne damy wiozących, ni sewilskich galantów, co na rumakach swych myszkują wśród ogrodzeń, fontann i sadzawek. Słysząc było jeno wody szemrzenie w rynsztokach i z rzadka psie ujadanie gdzieś w stronie Krzyża na Okólniku⁴⁵.

Przystanąłem wedle jednego z grubych kamiennych słupów i wstrzymując oddech, w słuch się zamieniłem. W gębie miałem taką suszę, jakby mi ją kto piachem wysypał, puls zasię tak mi przeguby i skronie rozsadzał, że gdyby mi w owym momencie serce otwarto, ni kropli by w nim nie znaleziono. Pilne baczenie dając na Alamedę, odwinąłem z ramienia połę flanelowej kurty, ażeby mieć łatwiejszy dostęp do rapiera, com go miał za skórzany pas zatknięty. Do spółki ze sztyletem dawały odczuć znaczny ciężar, co mi osobliwej pociechy w samotności dostarczało. Następnie sprawdziłem haftki napierśnika z bawolej skóry, należące do kapitana Alatryste. Nader ostrożniem go był wyciągnął, korzystając z tego,

że pan mój wieczerał na dole pospołu z mości Franciskiem de Quevedo i Sebastianem Coponsem i że we trzech pili i o Flandrii gawędzili. Udałem, zem niezdrów, i do izby się wycofałem gwoli poczynienia wszystkich przygotowań, jakim był umyślił, cały dzień po mieście się wałęsając. Starannie lico i włosy ochędożyłem, za czym włożyłem czystą koszulę – ot, w razie gdyby na koniec całej awantury skrawek tejże miał mi w ciele utknąć. Napierśnik kapitański jawił się na mnie za duży, przeto wepchnąłem pod spód jeszcze mój stary kaftan giermka i dopełniłem całości dodatkową płachtą zgrzebnego płótna. Na zadek naciągnąłem połatane zamszowe portki, co przeżyły oblężenie Bredy – wybornie uda przed cięciami stałą chroniły – nogi obułem w sznurowane buty na plecionej podeszwie z ostnicy i sztylpy, a na łeb nałożyłem beret. Nie w takim stroju do dam się zalecać przystoi – pomyślałem, zerkając na swe odbicie w miedzianym garnku – ale lepiej zaprawdę być żywym powsinogą niżli martwym fircykiem.

Zajazd opuściłem chyłkiem, przezornie w kurtę zawinąwszy napierśnik i rapier. Mość Francisco spostrzegł mnie jeno z daleka i uśmiech mi posłał, nie przerywając rozmowy z kapitanem i Coponsem, którzy szczęśliwie siedzieli plecami do drzwi zwróceni. Kiedym się na ulicy znalazł, zaraz się należycie oporządziłem i skierowałem swe kroki ku placowi San Francisco. Stamtąd, omijając co ruchliwsze miejsca, poszedłem tak, by zbytnio nie oddalać się od ulic Sierpes i Puerco, aż nareszcie dotarłem do całkiem opustoszałej Alamedy.

No, może jednakowoż nie całkiem. Pod jednym z wiązów zarżał muł. Gorączkowo jąłem przepatrywać mrok, a gdy już oczy mi się z nim oswoiły, zobaczyłem coś, co wyglądało jak powóz, stojący nieopodal kamiennej fontanny. Zbliżyłem się doń bardzo czujnie, dłoń mając na rękojeści rapiera zaciśniętą, by wreszcie dostrzec przytłumione światło

latarenki, która wewnątrz pojazdu rozjaśniała. I tak z każdym krokiem coraz wolniej dotarłem aż do samych stopni.

– Dobry wieczór, żołnierzu.

Słyszając ów głos, mój własny postradałem, za to dłoń na rapierze wsparta drżeć mi poczęła. Może to jednak nie jest zasadzka – pomyślałem. – Może ona naprawdę kocha mnie i po prostu przybyła tu, by obietnicy swej dopełnić. Jedna męska sylwetka majaczyła na koźle, druga podobna na tyle pojazdu: oto milczący słudzy, co baczenie na dworę królowej mają.

– Kontenta jestem, widząc, że nie okazałeś się tchórzem – szepnęła Angélica.

Zdjąłem берет. Światło latarenki ledwie dozwalało w mroku rozróżnić kształty, zdołałem wszelako dostrzec wyściełane wnętrze, a przy każdym ruchu złote refleksy w jej włosach i w satynowej sukience. To wyzuło mnie z wszelkiej czujności. Drzwiczki były otwarte, tedy oparłem się o stopnie. Zaraz też otoczyła mnie cudna woń perfum, błoga niby pieśczoła. Pomyślałem, że dla takiej fortunnej chwili, gdy oto mogę chłonać zapach, co ciało jej spowija, warto własne życie na szalę położyć.

– Sam przybyłeś?

– Tak.

Zapadło długie milczenie. Kiedy znów się ozwała, w jej głosie zabrzmiała nuta podziwu.

– Jesteś waszmość bardzo głupi. Albo bardzo szlachetny.

Nie odzywałem się. Zbyt szczęśliwy się czułem, by zakłócić ów moment zbędną gadaniną. Odgadywałem jeno w mroku słaby odbłask jej oczu. Patrzyła na mnie bez słowa. A ja muskałem skraj jej satynowej szaty.

– Powiedziałaś pani, że mnie miłujesz – wymamrotałem w końcu.

I na powrót bardzo długa cisza zapadła, przerywana jeno niecierpliwym rzeniem mułów. Posłyszałem, że stangret poruszył się na koźle, uspokajając

zwierzęta trząśnięciem cugli. Pachołek z tyłu dalej jawił się jeno ciemną bryłą.

– Tak powiedziałam?

Zamilkła na chwilę, jak gdyby istotnie usiłowała sobie przypomnieć naszą poranną pogawędkę opodal Pałaców Królewskich.

– Może naprawdę tak jest – dokończyła.

– Ja ciebie kocham, pani – oświadczyłem.

– I dlatego tu jesteś?

– Tak.

Pochyliła się w mym kierunku. Klnę się na Boga, żem poczuł na licu aksamitny dotyk jej włosów.

– W takim razie – wyszeptała – zasłużyłeś na nagrodę.

Przyłgnęła dłonią do mego policzka z niewysłowioną słodyczą i raptem poczułem, jak przyciska swe usta do moich. I tak dłuższą chwilę rozkoszowałem się ich delikatną świeżością. Wreszcie schowała się na powrót w głąb powozu.

– To jeno zaliczka na poczet mego długu – rzekła. – Jeżeli zdołasz waszmość wyjść z tego żyw, możesz pokwapić się i zażądać reszty.

Wydała rozkaz stangretowi, który natychmiast trzasnął z biczem. Pojazd ruszył i rychło zniknął w ciemnościach. A ja pozostałem tak oniemiały, z beretem w jednej dłoni, drugą zaś macając z niedowierzaniem wargi, które dopiero co Angélica de Alquézar raczyła ucałować. Świat wirował jak szalony wokół mego łba i nie od razu przytomność umysłu odzyskałem.

Wtedy rozejrzałem się wokół i spostrzegłem cienie.



Może i te zamaskowane łotry nie wiedziały, co począć z sardynką...

Wychodzili z mroku, spomiędzy drzew. Siedem niewyraźnych kształtów, wszyscy w płaszczach i kapeluszach, z zasłoniętymi twarzami. Zbliżali się tak powoli, jak gdyby mieli dla siebie całą wieczność, a ja tymczasem czułem, jak pod skórzanym napierśnikiem przechodzą mnie ciarki.

– Przebóg, to tylko ten mały – ozwał się głos.

Tym razem nie gwizdał swego *tiruri-ta-ta*, atoli z miejsca rozpoznałem ów metaliczny, chrapliwy i szorstki ton. Dobiegał od strony najbliższego

cienia, nader wysokiego i czarnego. Tamci otoczyli mnie i zamarli, jakby nie wiedzieli, co ze mną począć.

– Tyle sieci – dodał głos – a złapała się raptem sardynka.

Wzgarda, z jaką to mówił, sprawiła, że krew mi zawrzała, a ja odzyskałem spokój. Trwoga, co już mnie jęła dopadać, naraz odeszła. Może i te zamaskowane łotry nie wiedziały, co począć z sardynką, ta aliści cały dzień była medytowała i szykowała się na wypadek, gdyby miało nastąpić to, co właśnie nastąpiło. Każdy wynik spotkania, także najgorszy, imaginacja moja zdołała zawczasu zauważyć, rozważyć i przenicować, byłem przeto gotów. Uradowałaby mnie jeszcze odrobina czasu, bym skruchę za grzechy należyta mógł okazać, teraz nie było wszak na to miejsca. Rozpiąłem tedy zapinkę kurty, powietrza głęboko do płuc zaczerpnałem, przeżegnałem się i dobyłem rapiera. Szkoda – pomyślałem – że kapitan Alatryste nie może mnie ujrzyć. Byłby kontent, widząc, że latorośl druha jego, Lopego Balboi, także potrafi umierać.

– Patrzcie no – rzekł Malatesta.

I urwał raptownie, albowiem, mocno się w ziemię stopami zaparkszy, wyprowadziłem ku niemu cios, który płaszcz mu przeszył i ledwie cała zabrakło, by i ciała dosięgnął. Odskoczył Sycylińczyk, unik robiąc, a ja tymczasem zdołałem go drugim, równie ostrym i na odlew prowadzonym poczęstować, nim sam za swój rapier chwycił. Zasyczała złowrogo stal, pochwę opuszczając, i zabłysła w ciemności, mój przeciwnik zasię wycofał się o kolejne kilka kroków, by płaszcz odrzucić i zająć pozycję. Czując, że oto między palcami ostatnia sposobność mi umyka, ruszyłem naprzód i znów nań natarłem. Omal przy tym równowagi nie postradałem, ale uniosłem gwałtownie ramię, by wyprowadzić fintę w kierunku jego głowy, przeszedłem na drugą stronę i tak samo na odlew powróciłem tam, gdzie

był zaczął, tnąc tak fortunnie, że jeno kapelusz na łbie Włocha sprawił, że w piekle jeszcze się dusza jego nie znalazła.

Gualterio Malatesta cofnął się nieporadnie, klnąc przy tym dźwięcznie po włosku. Natenczas ja, pewien, że snadź los mój lada moment się rozstrzygnie, okręciłem się, zakreślając puntą rapiera koło, ażeby zwrócić się ku pozostałym, co zrazu zaskoczeni, teraz swojego żelaza również dobyli i zbliżali się bez nijakiej konfuzji. Że wyrok oto zapadł, to było dla mnie tak jasne, jak słońce, któregom już miał nigdy nie zobaczyć. Wszelako nie była to najgorsza z możliwych śmierci dla chłopaka z Oñate – pomyślałem pośpiesznie, wyciągając lewicą zza pasa sztylet, którym gardę trzymałem. Jeden przeciwko siedmiu.

– Mój jest – powstrzymał ich Malatesta.

Odzyskał już kontenans i zimną krew i nadchodził z rapierem przed sobą, w mig tedy pojąłem, że ostało mi ledwie kilka chwil życia. Zamiast więc czekać nań w pozycji obronnej, jak nakazują arkana sztuki, udałem, że się cofam, za czym przycupnąłem i wyskoczyłem naprzód niby zając, usiłując dopaść z morderczą bronią jego brzucha. Kiedym oprzytomniał, zmiarkowałem, że broń moja jeno powietrze poszatkowała, Malatesta nie wiedzieć jakim sposobem znajdował się za moimi plecami, a ja czułem, że pchnięcie w ramię otrzymał, w szew napierśnika, spod którego wyłaził mi właśnie kawałek płótna od kaftana.

– Wyrosłeś na schwał, mały – rzekł Malatesta.

W głosie jego znać było i gniew, i admirację. Ja wszelako przekroczyłem już bezpowrotnie granicę, poza którą słowa wszelkie znaczenie tracą, tedy za nic miałem jego podziw, gniew czy też pogardę. Odwróciłem się bez słowa ruchem, który po tylekroć widziałem u kapitana Alatryste: na ugiętych nogach, ze sztyletem w jednej dłoni i rapierem w drugiej, zachowując oddech na ostatnie zwarcie. Ażeby dobrze umrzeć, nic tak nie

pomaga – powiedział mi był raz pewnego kapitan – jak wiedza, że uczyniło się wszystko, co tylko można, gwoli przeżycia.

I wówczas za plecami otaczających mnie cieni rozległ się wystrzał z pistoletu, a ogień wydobył z ciemności sylwetki moich przeciwników. Jeszcze trafiony na ziemię nie zdążył paść, gdy drugi błysk pojawił się na Alamedzie, dzięki któremu dostrzegłem kapitana Alatryste, Coponsa i mości Francisca de Quevedo, którzy z rapierami w dłoniach zblizali się do nas, jak gdyby z samych wnętrzności ziemi przybywali.

Jak Bóg na niebie, było tak, jak mówię. Noc się w istne pandemonium przemieniła, rozdzwoniła od sztychów, roziskrzyła od uderzeń żelaza o żelazo, rozhuczała od krzyków. Wokół widziałem dwie postaci na ziemi leżące i osiem w walce pogrążonych, niewyraźne cienie, które z rzadka jeno rozpoznać mogłem po głosie, a wszystkie ciosy zadawały, to wypadając w przód, to chwiejąc się, wśród płaszców furkotu. Ująłem pewniej mą broń, nie mieszkając, ruszyłem na tego, co mi się zdał najbliższym, i w owym zamęcie z łatwością, która mnie samego zaskoczyła, chwacko wrażliem mu porządnie głownię w plecy. Wsunąłem żelazo, wysunąłem, obrócił się raniony na pięcie, wniebogłosy wyjął – takim poznał, że to nie Malatesta – i wymierzył mi groźny cios, który zdołałem sztyletem sparować, atoli gardę mi przy tym przerąbał i palców lewicy boleśnie dosięgnął. Poszedłem nań, krwawiącą rękę za plecy kryjąc, rapierem naprzód, poczułem na napierśniku pchnięcie, przeto bez namysłu ścisnąłem wrażliem broń pod łokciem i ponownie wyprowadziłem mocny sztych w plecy, tym razem głębiej, skutkiem czego on na ziemię się obalił, a ja z nim pospołu. Uniosłem zaraz sztylet, by do cna go wykończyć, aliści już nie dychał, a z gardzieli łotra dobiegało chrapliwe rżenie człeka, co się własną krwią

dławi. Klęcząc mu tedy na piersi, broń swą oswobodziłem i na pole walki powróciłem.

Teraz siły jako tako się wyrównały. Copons, którego rozpoznałem po nikielnej posturze, osaczył właśnie jednego z napastników, co między jednym uderzeniem a drugim klął jak szewc, by chwilę potem miast przekleństw dobyć z gęby jeno skowyt bólu. Mość Francisco de Quevedo kuśtykał to tam, to sam, uwijając się między dwoma mizernego talentu przeciwnikami, i stawał dzielnie, jak to miał we zwyczaj. Kapitan Alatryste zasię, Malatestę w sercu całego zamieszania znalazłszy, wojował z nim nieco bardziej na uboczu, nieopodal kamiennej fontanny. Na tle odbitej w wodzie księżycowej poświaty wyraźnie odcinały się ich postacie i rapiery, zwinne kroki, wypady, finty, zwody i straszliwe ciosy. Zmiarkowałem, że Włoch poniechał przygadywania i piekielnej gwizdanej melodyjki. Tej nocy nie warto było tracić pary w płucach na faramuski.

Z nagła cień jakiś widok mi przesłonił. Od ciągłego machania ból w ramieniu jął mi doskwierać i solidne unuzenie. Pod gradem pchnięć i cięć zacząłem się wycofywać, całkiem wybornie się osłaniając. Najbardziej lękałem się, że wdepnę do jednej z fontann, jakie blisko za plecami miałem, aliści zawszeć lepiej, gdy się trochę przytopisz, niż gdy ci żelazo w piersi utopią. Szczęśliwie z opresji wybawił mnie Sebastián Copons, który ze swym przeciwnikiem już się uporawszy, rażno do mojego przyskoczył, czego skutkiem tamten miał nas teraz dwóch na siebie jednego. Aragończyk bił się jak zaczarowany, nacierał i odwracał jego uwagę od mego rapiera. Skrzętnie tedy ustawiłem się z boku łotra, gotując się ostateczny cios mu zadać wraz z kolejnym natarciem Coponsa. I ani chybi tak bym uczynił, gdyby w oddali za kamiennymi kolumnami, wedle szpitala Bożej Miłości, jakieś światła się nie pojawiły i okrzyki nas nie dobiegły: „Stać w imieniu prawa, stać w imieniu Króla!”.

– Łapsy nadchodzą! – warknął Quevedo między jednym sztychem a drugim.

Pierwszym, co postanowił sprawdzić, gdzie pieprz rośnie, był ten, co się między mną a Coponsem uwijał, a i Quevedo w okamgnieniu sam na placu boju został. Trzech zbirów leżało już na ziemi, a czwarty kuśtykał właśnie przez zarośla, jęcząc żałośliwie. Ruszyliśmy przeto ku kapitanowi, który stał nieruchomo koło sadzawki, wciąż rapier w dłoni dzierząc i spoglądając w mrok, który dopiero co Gualteria Malatestę pochłonął.

– Chodźmy – ozwał się Quevedo.

Latarnie i głosy strażników coraz bardziej się przybliżyły. Ciągłe prawo i króla przywoływali, ale nadchodzili bez zbytniego pośpiechu, pewnikiem w obawie przed groźną potyczką.

– A Íñigo? – zapytał kapitan, nadal wzrok kierując tam, gdzie umknął jego przeciwnik.

– Íñigo też tu jest.

Wówczas Alatryste ku mnie się obrócił. Mimo słabego światła księżyca wiedziałem, że świdruje mnie swymi jasnymi oczami.

– Nigdy więcej nie rób tego – rzekł.

Przysiągłem, że nigdy już tego nie zrobię, za czym pozbieraliśmy kapelusze i płaszcze i pognaliśmy ulicą w cieniu wiązów.

Od tamtych chwil wiele wody upłynęło. Ilekroć do Sewilli los mnie prowadzi, kieruję swe kroki ku Alamedzie – która zgoła niezmieniona pozostaje od czasu, kiedym ją był pierwszy raz obaczył – i dają się czasem ponieść fali wspomnień. Różne miejsca wyznaczają geografie ludzkiego żywota. W moim to miejsce należy do najważniejszych, obok Bramy Duchów, turmy toledańskiej, równiny pod Bredą czy bitewnego pola pod Rocroi. Śpieszę zaznaczyć atoli, że Alameda wśród nich wszystkich miejsce

osobliwe zajmuje. Okrzepełem już byłem we Flandrii, zgoła tego nieświadom, dopierom to pojął snadź owej nocy sewilskiej, kiedym stanął z rapierem w dłoni sam przeciwko Włochowi i jego rębajłom. Angélica de Alquézar i Gualterio Malatesta mimowolnie uczynili mi tę łaskę, że sam siebie poznał od tej strony. Pojąłem także, jak łatwo bić się, gdy druhowie są blisko albo kiedy spoglądają na cię oczy ukochanej niewiasty, że bowiem potrafią natchnąć wigorem i śmiałością. Ciężko zaś walczyć w ciemności, gdy jedynym twym świadkiem własny honor i sumienie własne. I znikąd nagrody albo nadziei.

Długą drogę przebyć przyszło, do kroćset. Wszyscy bohaterowie tej opowieści – kapitan, Quevedo, Gualterio Malatesta, Angélica de Alquézar – już dawno ducha wyzionęli i na tych jeno stronicach mogę wrócić im życie i wskrzesić ich takimi, jakimi zaprawdę byli. Ich cienie, jedne roztomile, inne nienawistne, trwają nienaruszone w mej pamięci, razem z tamtą srogą, niebezpieczną i fascynującą epoką, która zawsze będzie mi się kojarzyć z Hiszpanią mojej młodości i z Hiszpanią kapitana Alatryste. Dziś skronie mam siwe, a wspomnienia goryczą zaprawione, co się często jasnym umysłem zdarza, stąd ani chybi we mnie owo powszechne chyba znużenie. Z wiekiem i ja się nauczyłem, że za jasność umysłu płacić przychodzi utratą nadziei i że żywot Hiszpana to powolny marsz drogą donikąd. Pokonując tę drogę, postradałem mnóstwo, ale też to i owo zyskałem. Teraz zaś, gdy podróż moja zda mi się już nieskończonością – czasem pojawia się we mnie podejrzenie, że Íñigo Balboa nigdy nie umrze – wiem, co to bezmoc pamięci i milczenia. I wreszcie pojąłem, dlaczego każdy z podziwianych przeze mnie w owych latach bohaterów był bohaterem zmęczonym.

Ledwie zdołałem oko zmrużyć tej nocy. Leżąc na sienniku, wsłuchiwałem się w miarowy oddech kapitana i spoglądałem na księżyc, co

z wolna odpływał w kąt otwartego okna. Łeb mi płonął, jak gdybym się czwartaczki nabawił, a pot do cna pościel mą nasaczył. Z pobliskiego lupanaru dobiegał z rzadka już to śmiech dziewczki, już to pojedynczy dźwięk gitary.

Niespokojny i snu przywołać niezdolny, wstałem, na bosaka podszedłem ku oknu i oparłem się łokciami o parapet. Dachy nabrały w księżycowej poświacie nierzeczywistego wyrazu, a bielizna rozwieszona na sznurach przypominała białe całuny. Nie muszę dodawać, że o Angelice dumał. Nie posłyszałem, że kapitan Alatryste także wstał. Zmiarkowałem to dopiero, gdy już był koło mnie. Stał w samej koszuli i tak jak i ja na bosaka. Milcząc, zatopił wzrok w ciemności, a ja kątem oka zerkałem na jego orli nos, na jasne oczy, wpatrzone w przedziwną nocną światłość, i na bujne, jakże żołnierskie wąsy.

– Ona jest wierna jeno swoim – rzekł wreszcie.

Słyszając to „ona”, poczułem, że dreszcz mnie przechodzi. Skinąłem bez słowa. Mając tyle lat, ile miałem, mógłbym podjąć dysputę na dowolny temat – ale akurat nie na ten jeden, tak nieoczekiwany. Ja potrafiłem ją zrozumieć.

– To naturalne – dodał.

Nie wiedziałem, o Angelice–li mówi czy też o targających mną sprzecznych odczuciach. Raptem dojmujący niepokój jął mi w piersi narastać. Przedziwna żałość.

– Kocham ją – wymamrotałem.

Ledwie to wyrzekł, opadła mnie ogromna sromota. Kapitan aliści ani ze mnie nie zadrwił, ani żadnej facecji nie wyrzekł. Dalej trwał nieruchomo, zapatrzony w noc.

– Każdemu zdarza się kochać – powiedział. – Nawet kilka razy.

– Kilka?

Moje pytanie musiało go snadź zaskoczyć. Zasepił się na chwilę, jak gdyby wiedział, że jest powinnością jego dodać coś jeszcze, ale nie bardzo miarkował co. Odchrząknął. Widziałem, że jął się wiercić w zakłopotaniu.

– Przychodzi dzień, kiedy przestajesz – wyrzekł w końcu. – To wszystko.

– Ja ją zawsze będę kochał.

Nie od razu odpowiedział.

– Jasne.

Znów zamilkł na moment, po czym powtórzył niemal szeptem: – Jasne.

Poczułem, że unosi dłoń, żeby na ramieniu mi położyć, jak to uczynił już był we Flandrii w dniu, w którym Sebastián Copons poderżnął gardło rannemu Niderlandczykowi po bitwie wedle młyna Ruijter. Tym razem atoli gestu nie skończył.

– Twój ojciec...

To zdanie także w powietrzu zawisło. Chce mi może powiedzieć – pomyślałem – że jego przyjaciel Lope Balboa z dumą spoglądałby na mnie tej nocy, gdy niespełna szesnastoletnim młodzikiem będąc, staję z rapierem i sztyletem przeciwko siedmiu napastnikom. Albo że z dumą słuchałby, że jego syn pokochał niewiastę.

– Dobrześ się spisał tam na Alamedzie.

Pokraśniałem z dumy. W ustach kapitana Alatryste takie słowa warte były więcej niżli okup za genueńskiego bankiera. Więcej niżli królewskie przyzwolenie „przykryjcie głowy”.

– Wiedziałem, że to zasadzka – rzekłem.

Za nic w świecie nie chciałem, by podejrzewał, że jak nieopierzony ciura poszedł prosto w pułapkę. Kapitan pokręcił głową uspokajająco.

– Wiem, że wiedziałeś. I wiem, że zasadzka nie na ciebie była gotowana.

– Angélica de Alquézar – powiedziałem z całą stanowczością, na jaką stać mnie było – jest moją sprawą.

Tym razem nie odzywał się przez dłuższy czas. Ja z upartą miną wyglądałem przez okno, a kapitan przyglądał mi się w milczeniu.

– Jasne – odezwał się wreszcie.

Przeżycia tego długiego dnia przelatywały mi przez głowę jak oszalałe. Dotknąłem ust, gdzie rano złożyła pocałunek. „Możesz pokwapić się i zażądać reszty długu – jej słowa to były. – Jeżeli zdołasz wyjść z tego żyw”. Pobladłem na wspomnienie siedmiu cieni, co się spod drzew z ciemności wyłoniły. Nadal bolało mnie ramię od ciosu, który nie dosięgnął mnie jeno dzięki kapitańskiemu napierśnikowi i memu kaftanikowi ze zgrzebnego płótna.

– Przyjdzie dzień – mruknąłem, właściwie myśląc na głos – że zabiję Gualteria Malatestę.

Usłyszałem, że kapitan wybucha śmiechem. Nie kpił ani nie natrząsał się z butnego pacholęcia. Śmiał się czule i delikatnie. Bardziej do siebie, po cichu.

– Możliwe – powiedział. – Ale zrazu ja muszę spróbować go zabić.

Nazajutrz powołaliśmy do życia nasz, ciągle w głowach jeno istniejący, oddział i rozpoczęliśmy zaciąg. Czyniliśmy to bez pomocy sztandarów, werbli ni sierżantów, zachowując największą możliwą oględność. Owóz dla takiego przedsięwzięcia, jakie przed nami stało, Sewilla stanowiła wymarzone siedlisko ludzkie. Wystarczy zmiarkować, że ojciec rodzaju ludzkiego był złodziejem, matka oszustką, a syn zabójcą – czyż naprawdę czasy odmieniły się choćby na jotę? – nie dziwota tedy, że wszystko to żyło w pełnej glorii w owym zasobnym i gwarnym mieście, gdzie każdy, co dziesięciorga przykazań przestrzegał, niechybnie na ostre żelazo się

nadziewał. W gospodach, lupanarach i szulerniach, na Dziedzińcu Drzewek Pomarańczowych przy katedrze i w samym królewskim więzieniu, słusznie zwanym stolicą półświatka obojga Hiszpanii, mrowiło się i roiło od sprzedawców śmierci i artystów złamanego karku – rzecz naturalna w grodzie zaludnionym przez magnatów szemranego majątku, szlachciców łupiestwa i rycerzy żywota niefrasobliwego, co to o jutrzejszy świt dbają tyleż, co o zmierzch onegdajszy, konfratrów tajnego bractwa występku, którzy każdego strażnika i sędziego potrafili srebrnym kneblem uciszyć. Oto była prawdziwa Alma Mater największych złoczyńców pod słońcem, gdzie kościołów pod dostatkiem, jeśli kto się chciał „uciec pod osłonę” ołtarza, i gdzie życie zaufanego druha mogłeś przehandlować za ćwierć reala, niewiastę albo jeno słowo.

Gdzież sławni Świeca i Pasiak?

Nie masz Gonzala Xeniza!

Ten ludzi umiał dziurawić

I linie kreślić na licach...

Owóz w Sewilli, ozdobie owej Hiszpanii, co groźbą i bezwstydem stała, wśród ciżby wybornych zabijaków nie brakowało i takich, co jeno gębą szermować potrafili i w brudnej robocie nowicjat ledwie rozpoczynawszy, nuże o swej junakierii się zaklinać, własną gadką między jednym kielichem a drugim kładli trupem dwudziestu albo i trzydziestu konnych. Perorowali o mężach, których rzekomo zabili, o wojnach, na których nikt ich nie widział, chełpliwie zapewniali, że człeka potrafią zgładzić sztychem, cięciem i w sosie własnym, pysznili się kapeluszami wielkimi jak parasole i napierśnikami z łosiowej skóry, a nogi mieli wykrzywione na zewnątrz, wejrzenie czarne, brody rozwidlone, wąsy jak krzyż u rękojeści rapiera, ale

ni chybi w godzinie prawdy nie byliby zdolni we dwudziestu pojmać jednego w sztok zalanego pachółka, za to na koźle w sądzie śpiewaliby przy pierwszym obrocie sznurów. Solidna rzeczy znajomość – którą kapitan Alatryste fortunnie posiadał – była tedy nieodzowna, by nie dać się zwieść tylu mocno zgranym waletom. Na jego dobrym nosie polegając, rozpoczęliśmy werbunek w gospodach dzielnic Heria i Triana, gdzie przy dozie szczęścia mogliśmy napotkać jego starych druhów, co to ramieniem machać wolą niżli ozorem, zawadiaków co się zowią, a nie paradnych komediantów. Tacy podczas zabijania nie mitrężyli czasu na wołanie księdza do konającego, ażeby donos nijaki do uszu strażników królewskich nie zdążył dotrzeć. A jeśli na męczarniach pytano ich „ilu was było”, ręczyli własnym gardłem albo grzbietem, gęby z kłódki odmykali jeno po to chyba, by wyrzec „nie” lub „Kościoła na świadka wołam”, i pary by z niej nie puścili nawet, gdyby im godność kawalera Zakonu Calatrava ofiarowano: Fechtmistrz wyborny był z Alonsa Fierra, Do pojedynku gotów każdej chwili; Moc ludzi w plastry pokrajał w Sewilli, Dublon od każdego zgonu pobierał.

Właśnie w kwestii „wołania Kościoła na świadka” albo „uciekania się pod obronę”, gdy sprawiedliwość doczesna deptała po piętach, Sewilla mogła się poszczycić najsłynniejszym azylem na świecie, to jest Dziedzińcem Drzewek Pomarańczowych obok katedry, którego renomę i przydatność akuratnie obrazuje nam następujący fragment:

*Z Kordoby co sił pierzchałem,
W Sewilli padłem znużony,
Tam stałem się ogrodnikiem
W gaiku pomarańczowym.*

Dziedziniec katedralny wprzód był podwórcem meczetu arabskiego, podobnie zresztą jak wieża Giralda w dawniejszych czasach minaret mauretański stanowiła. Z przesławnego dziedzińca, przestronnego i przyjemnego za sprawą bijącej pośrodku fontanny i porastających go drzewek pomarańczowych, od których miano swe wziął, wychodziło się przez główną furtę na plac płytami marmurowymi wyłożony i łańcuchami obwiedziony, który w formie wspaniałych schodów otaczał dookoła całą świątynię. Za dnia przestrzeń ta służyła do przechadzek dla próżniaków i łapserdaków, a całe miasto lubiło tu plotkować na potęgę, zupełnie jak na schodach pod Świętym Filipem w Madrycie. Dziedziniec zaś, jako że już do świętego przybytku przynależny, stał się wymarzonej miejscem schronienia dla łotrów, zabijaków i złoczyńców, co z prawem na bakier stali. Mogli tu używać sobie, popasając do woli, przyjmować kochanice swe i kamratów, tak we dnie, jak i w nocy, atoli ci najpilniej poszukiwani nie śmieli na miasto się wypuszczać inaczej jak w sporych grupkach, tedy żaden strażnik nie odważał się stawić im czoła. Podwórzec ów opisywały najwyborniejsze pióra Hiszpanii, od wielkiego mości Miguela de Cervantes poczynając, a na naszym mości Franciscu de Quevedo kończąc. Wybaczcie przeto, waszmościowie, że i ja swe trzy grosze wtrącam w tę materię. Nie znajdziesz powieści łotrykowskiej, wspomnień żołnierskich ni ulicznej romancy, która nie wspomniałaby o Sewilli i jej Dziedzińcu Drzewek Pomarańczowych. Spróbujcież jeno imaginować, waszmościowie, ciżbę, co się po owych legendarnych alejkach wałęsała tuż podle Targowiska i Składów, wszystkich tych uciekinierów i wyjętych spod prawa, których więcej tam było niżli pluskiew w koszarach.

Dotrzyliśmy na dziedziniec w pełnym świetle dziennym, kiedy łatwo było oblicza rozpoznać. O tej porze na schodach przed głównym wniściami

tętniło żwawo życie malowniczej, a chwilami i złowrogiej Sewilli. Wkoło widać było całe mrowie próżniaków, handlarzy starzyzną, przechodniów, swawolników, kokietek pod mantylkami, dziewczek ulicznych, co dla niepoznaki skromnie były ustrojone i w kompanii starej baby jakiej albo chłopca na posyłki się pokazywały, dalej wybornych rzezimieszków na łowach, żebraków i wszelakiej maści łotrów spod ciemnej gwiazdy. Śród cizby owej pewien ślepiec zwoje szpagatu sprzedawał, gromko wyśpiewując pieśń o śmierci Escamilli:

Chwat nad chwaty Escamilla, Opłakuje go Sewilla...

Z pół tuzina zawadiaków, pod łukiem głównego wniścia stojących, przytakiwało głowami, wsłuchując się w posępne szczegóły opowieści o legendarnym zabijace, najprzedniejszym synu tutejszego szelmostwa. Minęliśmy ich po drodze na Dzedziniec, atoli nie umknęły mej uwagi zaciekawione spojrzenia, jakie grupka cała posłała kapitanowi Alatryste. Wewnątrz mniej więcej trzydziestka typów, kubek w kubek jak ci przy bramie, delektowała się miłym chłodem, jaki dawał cień drzewek pomarańczowych i wody fontanny. Tak właśnie wyglądała owa giełda oręza, gdzie odpadali mężowie gębą jeno silni, a na życie ludzkie wystawiano czeki kwitowane w ciemnej uliczce. Każdy tu się ukrywał, bo albo komuś dodatkową dziurę na piędź głęboką w gębie był otworzył, albo innemu duszę wyswobodził z jarzma zepsutej do cna materii. Więcej żelaza mieli przy sobie niżli toledański płatnerz w swym warsztacie, do tego napierśniki z kurdybanu, buty z cholewami i kapelusze z szerokim rondem, sumiaste wąsy i chód szpotawy. Zgromadzenie przypominało raczej obóz cygański, jako że wszędy widać było kociołki z polewką mięsną na ogniskach podgrzewane, derki na ziemi porozkładane, tobołki i plecione

chodniki, na których ten i ów jeszcze podsypiał. Stały także dwa stoliki, na jednym karty szeleściły, na drugim terkotała koszałka–opałka, czyli kości, i każdy, gęsto z dzbana popijając, zaciekle nawet duszę własną gotów był postawić, która wszak już i tak była czartowi zapisana od chwili, gdy delikwenta od cycka odstawiono. Kilku szelmów gawędziło po cichu ze swymi niewiastami, niektóre z tych ostatnich wcale młode, inne już nie bardzo, aliści wszystkie jak jedna odziane w mantylki i rumiane na licach, co świadczyło wydatnie o sowitych dochodach, jakie przynosiła im praca na sewilskich ulicach.

Alatriste przystanął wedle fontanny i rozejrzał się. Ja byłem tuż za nim i gapiłem się wokół jak urzeczony. Jakaś ladacznica o dziarskim obliczu, z płaszczem zwiniętym na ramieniu, jakby do bitki się szykowała, krzyknęła mu na powitanie parę wielce poufałych, bezwstydných i wesołych słów. Co usłyszawszy, dwóch zuchów, co rzucali kośćmi na stoliku, powstało z wolna, łypiąc na nas z ukosa. Wystrojeni byli jak na fanfaronów przystało, koszule mieli szeroko rozpięte pod szyją, barwne pończochy i pendenty na piędź szerokie, z których wystawały przeogromne sztuki żelaza. Młodszy z nich, z lewakiem miast pistoletu, nosił uwieszoną u pasa okrągłą tarczę korkową.

– Czym waszmości służyć możemy? – zagadnął jeden.

Kapitan podniósł na nich nader powściągliwe spojrzenie spod nasuniętego na czoło kapelusza. Kciuki trzymał zatknięte za pas.

– Waszmościowie zgoła niczym – odrzekł. – Szukam przyjaciela.

– Możliwe, że go znamy – powiedział drugi zabijaka.

– Może – odparł kapitan i ponownie okiem wokół siebie rzucił.

Tamci spojrzeli po sobie. Rychło, wiedziony ciekawością, dołączył do nich trzeci, co nieopodal się przechadzał. Ukradkiem obserwowałem

kapitana, temu wszakże nic spokoju ni równowagi ducha nie mąciło. Snadź był to także i jego świat. Czuł się tu jak ryba w wodzie.

– Zapewne wasza miłość winszuje... – zaczął znów któryś.

Alatriste atoli nawet uwagi nań nie zwrócił, jeno przed siebie ruszył. Ja podreptałem w ślad za nim, oczu przy tym z tamtych nie spuszczać zawadiaków, co zaraz dysputę ciszką rozpoczęli, deliberując, czy padli właśnie ofiarami zniewagi i czy należy się tedy temu panu żelazne pożegnanie w grzbiet. Najwyraźniej konsensu nie osiągnęli, bo na tym poprzestali. Kapitan tymczasem przyglądał się grupie siedzącej w cieniu pod murem. Trzech mężów i dwie niewiasty ożywioną prowadzili tam konwersację, przepijając co chwila ze skórzanego bukłaka, do którego swobodnie osiem garnców się mieściło. I w tym momencie uśmiech pojawił się na kapitańskim obliczu.

Podszedł ku tamtym, a ja w ślad za nim. Z każdym krokiem naszym rozmowa między tamtymi cichła i zaraz jęli kierować ku nam nieprzychylnie spojrzenia. Jeden z owych szelmów ciemnej był kompleksji i krucze miał włosy, a pokaźne bokobrody sięgały mu aż do dolnej szczęki. Na obliczu znać było parę szram, których snadnie nie posiadał w chwili przyjścia na ten padół, paznokcie zaś u krzepkich łap czarne miał i obtłuczone. Strój jego niemal w całości ze skóry był uszyty, rapier mąż ów miał szeroki i krótki wzorem tych ze znakiem pieska⁴⁶, a pludry ze zgrzebnego płótna upstrzone nosił dziwaczny zielonymi i żółtymi kokardami. W pół słowa urwawszy, wpatrywał się teraz w nadchodzącego kapitana, nadal wszelako siedział jak dotąd.

– Niech zawisnę na krzywym słupie – ozwał się wreszcie w niepomiernym zadziwieniu – jeżeli to nie jest kapitan Alatriste.

– A ja jestem zaskoczony, mości panie Juanie Jaqueta, że jeszcze nie zawisł.

Zawadiaka zaklął po dwakroć, rozdzieliwszy bluźnierstwa donośnym rechotem, i powstał, otrzepując spodnie.

– Skąd się waszmość wzięłeś? – spytał, potrząsając podaną mu przez kapitana dłoń.

– Stamtąd.

– Też się ukrywasz?

– Przybyłem w odwiedzin.

– Na rany Chrystusowe, raduje mnie waszmościna widok.

Tu rzeczony Jaqueta, cały wesół, zażądał od kompanów bukłaka, który zaraz też jął krążyć po bożemu po całej kompanii, i mnie też co nieco do gardła skapnęło. Gdy już powspominali wspólnych druhów i pospołu przebyte przygody – dzięki czemu zwiedziałem się, że nasz rozmówca służył swego czasu w Neapolu i piękną zgoła kartę czynami swymi zapisał, oraz że sam Alatryste musiał być niegdyś na tutejszym Dziedzińcu się ukrywać – oddaliliśmy się nieco. Bez dalszych ogródek kapitan wyłożył tamtemu, że ma doń sprawę. Rzecz tyczy się znanej mu wybornie profesji, a i brzęcząca nagroda jest przyobiecana.

– Tutaj?

– W Sanlúcar.

Na te słowa chwyt pokręcił markotnie głową.

– Jakaś łatwa sprawa, nocną porą, wtedy nie byłoby problemu – wyjaśnił. – Aliści nie mogę wypuszczać się na dłuższe przechadzki, bo będzie tydzień, jakem dźgnął jednego kupca, którego dziewierzem był kanonik z katedry, przeto i łapsów mam na karku.

– To się da załatwić.

Jaqueta obrzucił mego pana spojrzeniem pełnym niedowierzania.

– Przebóg. Nie uwierzę, żeś wyposażony w bullę samego arcybiskupa.

– W coś lepszego. – Kapitan poklepał się po kaftanie. – W papier, który zezwala mi werbować przyjaciół, a sąd ma się od nich trzymać z daleka.

– Tak zwyczajnie?

– Jakbyś przy tym był.

– Fortuna waszmości sprzyja, jak widzę... – Na obliczu zawadiaki niedowierzenie ustąpiło miejsca respektowi. – Jak tuszę, to praca raczej ręczna?

– Dobrze waszmość tuszysz.

– Wasza miłość i ja?

– I jeszcze kilku innych.

Infamis poskrobał się po bokobrodach. Zerknął ku grupce swych kamratów i zniżył głos.

– Mówisz, do mieszka coś wpadnie?

– Niemało.

– Bity pieniądz?

– Obustronnie, po trzy sztuki.

Tamten aż gwizdnął z podziwem.

– Jak Bóg na niebie, przednia to wiadomość. Wszak ceny w naszym fachu bardzo spadły, mości kapitanie... Nie dalej jak wczoraj odwiedził mnie tu taki jeden, co chciał, ażebym naszpikował żelazem gaszka jego ślubnej, a oferował za to ledwie dwadzieścia dukatów... I co waszmość na to?

– Wstydu nie miał.

– Święte słowa. – Bezecnik kiwał się na nogach, łapę wsparł na biodrze, a minę przybrał nader buńczuczną. – Tedy odrzekłem mu, że za taką sumę można najwyżej drasnąć tamtemu liczko na jedną linijkę...⁴⁷ Rozgorzał przeto spór, nie doszliśmy do zgody, skutkiem czego musiałem dźgnąć samego klienta, i to za darmo.

Alatriste rozejrzał się.

– Dla naszych zamiarów ludzi zaufania godnych mi trzeba... Nie fanfaronów malowanych, jeno szermierzy pełną gębą. I nieskorych, by o wszystkim wyśpiewać ładnie jakiemu pisarczykowi w trybunale.

Jaqueta skinął głową na znak, że rzecz jest sama przez się zrozumiała.

– Ilu?

– Ukontentuje mnie tuzin z okładem.

– Zdaje mi się, że to grubsza robota.

– Nie przypuszczasz chyba, wasza miłość, że szukałbym całego stada dzikich bestii gwoli zaszlachtowania jakiej staruchy.

– Już miarkuję... A ryzyko duże?

– Spore.

Zawadiaka zmarszczył czoło w zadumie.

– Tutaj niemal każdy to człek lada jaki – ozwał się. – Większość potrafiłaby jeno uszy obciąć pokrace albo pasem skórę złoić własnej niewieście, jeśli przyniesie z miasta cztery reale mniej niż zwykle... – Tu ukradkiem pokazał na jednego ze swych kamratów. – Ten się nam nada. Zwie się Sangonera i też w wojsku służył. Krzepki, w rękach niezawodny, w nogach jeszcze lepszy... Znam takż pewnego Mulata, co się uciekł pod osłonę u Świętego Zbawiciela, niejakiego Campuzano. To człek dużej siły i nader dyskretny, któremu, będzie temu pół roku, chciano przypisać jeden zgon. Ma się rozumieć, sprawka była jego i jeszcze jednego łotra, i nasz zuch z wielką godnością zniósł cztery obroty na koźle, snadź wiedząc, że gdyby językowi pofolgował, gardłem by przyplącił.

– Wielce roztropnie – zauważył Alatriste.

– A poza tym – ciągnął Jaqueta, raptem filozoficznie usposobiony – „nie” tyle samo ma liter, co „tak”.

– Dokładnie.

Alatriste przyglądał się wskazanemu mu osobnikowi, co z pozostałymi stał wedle muru. Patrzył i rozmyślał.

– Niechże będzie ów Sangonera – wyrzekł nareszcie – skoro tak go waszeć zachwalasz, a mnie waszmościna gadka do gustu przypada... Na Mulata także okiem rzucę, atoli więcej chwatów mi trzeba.

Na Jaquetę z nagłą jakby olśnienie spłynęło.

– Znajdzie się jeszcze kilku zacnych kompanów na miejscu w Sewilli, jako to Ginesillo Nadobniś albo Guzmán Ramírez, ludzie z dobrej gliny ulepieni... Tego Ginesilla ani chybi pamiętasz waszmość, wszak to on trupem położył jednego pachółka straży, który go był skurwysynem przy wszystkich nazwał, lat temu będzie dziesięć albo i piętnaście, kiedy wasza miłość też w Sewilli bywałś.

– W rzeczy samej, pamiętam Nadobnisia – przytaknął Alatriste.

– Tedy i to musisz pamiętać, że trzykrotnie wodę połknął⁴⁸, okiem nie mrugnawszy ni jęku nie wydawszy.

– Dziwota zatem, że go nie usmażyli, przecie to lubią.

Na te słowa Jaqueta zarechotał.

– Nie dość, że milczał, to jeszcze wielkiej a groźnej hardości nabrał, iż nie masz takiego ceklarza, który by rękę nań podniósł... Nie wiem, gdzie mieszka, aliści niechybnie dziś w nocy dotrzymuje kompanii Nicasiowi Ganzúii w królewskiej turmie.

– Ów Ganzúa nie jest mi znany.

Tu Jaqueta pokrótce wprowadził kapitana w szczegóły. Ganzúa był to jeden z najślawetniejszych sewilskich zawadiaków, postrach miejskich zbirów i ozdoba gospód, spelunek tudzież lupanarów. Jadący wąską uliczką powóz hrabiego de Niebla opryskał go był błotem. Hrabia podróżował pospołu ze służbą oraz kilkoma druhami, równie jak on młodymi, przeto rychło poszły w ruch zrazu języki, a w ślad za nimi i ostrzejsza broń,

Ganzúa zgładził jednego sługę i jednego z hrabiowskich kompanów, a sam de Niebla cudem skórę ocalił, uchodząc jeno ze zranionym udem. Wmieszali się strażnicy i pachołkowie, za czym w trakcie śledztwa, lubo sam Ganzúa pary z gęby nie puścił, ktoś mu przyfastrygował kilka sprawek awansem, w tym ze dwa zabójstwa i przesławną kradzież klejnotów przy ulicy Platería. W krótkości mówiąc, nazajutrz Ganzúa miał być stracony na garocie na placu San Francisco.

– W tę naszą awanturę włączyłby się w podskokach – utyskiwał Jaqueta – ale jutro klamka zapada. Nad Ganzúą już kaplica, dzisiejszą noc spędzi w kompanii druhów, co kilka gąsiorów chcą z nim wychylić, by mu tym sposobem w ostatnich chwilach ulżyć, jak to mamy tu we zwyczaju. Nadobniś i Ramírez wielkim darzą go afektem, tedy niechybnie tam ich waszmość odnajdziesz.

– Pójdę do więzienia – przystał Alatryste.

– Pozdrów przeto Ganzúę ode mnie. Rodzinę poznaje się w biedzie, zatem i ja rad bym spędzić tę noc społem z nimi, ale w trudnych jestem terminach... – Jaqueta obrzucił mnie baczny spojrzeniem. – A cóż to za młodzik?

– Przyjaciel.

– Zda mi się cokolwiek zielony. – Zabijaka przypatrywał mi się nadal z zaciekawieniem, osobliwie lustrując lewaka, com go miał za pasem. – Też się naszym zajęciem trudni?

– Niekiedy.

– Grzeczną zapalczkę z sobą nosi.

– I jak Bóg na niebie, umie się nią posłużyć.

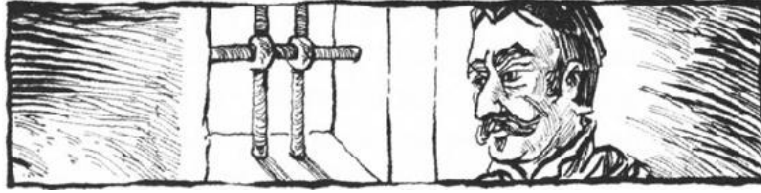
– Wcześniej szelma zaczyna.

Dalsza konwersacja bez istotnych szczegółów przebiegła i na koniec umówili się obydwaj na dzień następny, przy czym Alatryste słowo dał, że

Jaqueta będzie mógł swobodnie Podwórzec opuścić, straż bowiem stosowne powiadomienie dostanie. Pożegnaliśmy się i resztę dnia spędziliśmy na dalszych poszukiwaniach, wędrując zrazu przez Herię i Trianę, potem przez kościół Świętego Zbawiciela, gdzie Mulat Campuzano – wielgachny czarnuch z rapierem, co handźar przypominał – w istocie przypadł kapitanowi do gustu. Takim to obrotem rzeczy przed zapadnięciem zmroku pan mój miał już pod swymi rozkazami pół tuzina zacnych rębajłów: Jaquetę, Sangonere, Mulata, pewnego nader kosmatego i skwapliwie przez sewilską kompanię polecanego Murcjana, na którego wołano Pencho Jazgotek, oraz dwóch byłych żołnierzy na galerach służących, znanych jako Mańkut Enríquez i Andresito Pięćdziesiątka. Temu ostatniemu taki przydomek nadano, bo swego czasu miejscy uszyli mu kaftanik z batów, tak dopasowany, że aż skórę mu przypiekł, a tydzień później sierżant, co mu był tę chłostę uszykował, został znaleziony nomen omen wedle Bramy Rzeźniczej, przy czym nikt nie zdołał dowieść (bo przypuszczenia nie wystarczają), kto mu tak ładnie gardziel poderznął.

Potrzebne nam było wszelako jeszcze drugie tyle rąk do pracy. Tedy gwoli uzupełnienia naszej osobliwej a wybornie uzbrojonej kompanii Diego Alatryste postanowił odwiedzić tejsze nocy królewskie więzienie, by w czuwaniu przy skazanym Ganzúii wziąć udział. Opowiem to waszmościom szczegółowo, albowiem możecie być pewni, że sewilska turma godna jest osobnego rozdziału.





VI. KRÓLEWSKIE WIĘZIENIE.



wej nocy poszliśmy czuwać przy Nicasiu Ganzúi. Wprzódy aliści czasu nieco poświęciłem na sprawę pewną, która krew mi zaiste burzyła. Po prawdzie to niewielem na jaw wydobył, ale przynajmniej niepokój nieco uśmierzyłem względem roli, jaką Angélica de Alquézar odegrała była podczas zajścia na Alamedzie. Skierowałem owóz kroki na nowo ku Pałacom Królewskim, przemierzyłem drogę wzdłuż ich murów, nie przepominając łuku do hebrajskiej dzielnicy ni wrót samego pałacu, gdzieś dobrą chwilę na czatach postać wśród ciekawskich.

Tym razem straży nie pełnili żółto odziani gwardziści, jeno burgundzcy łucznicy w olśniewających uniformach w czerwoną kratę, w krótkie piki zbrojni. Odetchnąłem przeto, widząc, że grubego sierżanta nie ma na widnokręgu i do nijakich rękoczynów raczej nie dojdzie. Na placu przed pałacem aż gotowało się od ciżby, albowiem miłościwie panująca nam para królewska miała wziąć udział w uroczystym różańcu w katedrze, później zasię przyjąć delegację miasta Jerez. Ta druga sprawa wagę swą miała i nie od rzeczy będzie, jeśli uświadomię waszmościom, że w owym czasie, podobnie jak Galicja wprzódy, dostojnicy z Jerezu zamiarowali kupić sobie za pieniądze przedstawicielstwo w Kortezach Królewskich, by pozbyć się

wreszcie hegemonii Sewilli. W habsburskiej Hiszpanii, co się jednym wielkim targowiskiem stała, frymarczono miejscami w Kortezach na potęgę – nie inaczej wszak postępowało miasto Palencia – a suma, jaką oferował Jerez, była zgoła znaczna, bo sięgała 85 tysięcy dukatów, które grzecznie w królewskiej szkatule spocząć miały. Zabiegi te ugrzęzły wszelako, bo Sewilla przypuściła kontratak, przekupując Radę Finansów, za czym ostateczny werdykt postanawiał, że prośbie uczyni się zadość, o ile kontrybucje pochodzić będą nie z kieszeni mieszkańców, a z osobistego majątku urzędników magistratu, którzy w liczbie dwóch tuzinów dopominali się ław poselskich. Pustoszenie własnej sakiewki to zasię już inna śpiewka, toteż jereska korporacja petycję wycofała. Co snadnie wyjaśnia rolę, jaką w owym czasie odgrywały Kortezy, uległą pozycję Kortezów kastylijskich i postępowanie wszystkich pozostałych. Te bowiem, niezależnie od lokalnych przywilejów i statutów, wysuwały się na plan pierwszy jeno w czasie, gdy miały uchwalić nowe podatki lub kontrybucje przeznaczone dla kasy królewskiej, na wojnę albo na zwyczajowe wydatki zjednoczonej i potężnej monarchii (jaką jawiła się w marzeniach hrabiego–diuka de Olivares). Inaczej niżli we Francji czy w Anglii, gdzie królowie skruszyli potęgę panów feudalnych i paktowali z kupcami oraz fabrykantami – wszak ni ruda lisica Elżbieta, ni żabojad Richelieu nie zwykli cackać się z nikim – w Hiszpanii magnaci i możnowładcy dzielili się na dwie grupy. Jedna, umizgająca się ścichapek i nierzadko nader niecznie do tronu, składała się głównie z podupadłych arystokratów kastylijskich, co to jeno na monarszą przychylność liczyć już mogli. Drugą zasię stanowili szlachcice peryferyjni, ufortyfikowani za zasłoną statutów miejscowych i prastarych przywilejów – ci owóz darli się wniebogłoso, ledwo ich o pokrycie jakich kosztów albo wyposażenie oddziałów poproszono. A nie wspomniałem tu, że i Kościół własną pieczęń pitrasił.

Cała tedy niemal działalność polityczna sprowadzała się do przeciągania liny w tę i z powrotem, a jej tło stanowiły pieniądze. I wszystkie ambarasy, jakich przyszło nam później dożyć za panowania Filipa Czwartego, spiski Mediny Sidonii w Andaluzji⁴⁹ oraz diuka de Hajar w Aragonii⁵⁰, secesja Portugalii⁵¹ i wojna w Katalonii⁵², wybuchły po części na skutek zachłanności królewskich poborców, po części zaś za sprawą oporu możnych, duchowieństwa i potężnych kupców, którzy nie chcieli groszem sypać. Wizyta, jaką król złożył w Sewilli w roku dwudziestym czwartym, nie inny cel miała, jak zdławić miejscowy sprzeciw i nakłonić miasto do uchwalenia nowych podatków. Nieszczęsna nasza Hiszpania owładnięta była jedną obsesją, a mianowicie na punkcie pieniądza, co snadnie tłumaczy, czemu do handlu z Indiami taką wagę przywiązywano. Jeśli ktoś mnie zapyta, jaką sprawiedliwość i przyzwoitość rolę w tym wszystkim odgrywały, powiem jeno, że dwa, może trzy lata wcześniej Kortezy uchyliły podatek od luksusu, który osobliwie obciążał wpływy urzędowe, renty, jurgiely i apanaże. Krótko mówiąc, bogaczy. Tedy niepomiernym smutkiem napawały słowa, które ambasador Contarini, Wenecjanin, podówczas napisał:

Największą klęskę, jaka można by na Hiszpanów sprowadzić, to zezwolić im, by trwonili majątek, i dać im szczerząc pod złymi rządami⁵³.

Powróćmy do moich zatrudnień. Łaziłem owóz popołudniem, jak wspominałem, tam i sam, aż nareszcie upór mój został wynagrodzony, lubo po części jeno, albowiem wrota się rozwarły, gwardia burgundzka szpaler uroczysty uczyniła, a para królewska we własnych osobach w otoczeniu szlachty i sewilskich dostojników przespacerowała się do katedry, nieopodal stojącej. Nie zdołałem precyzyjnie się do pierwszego szeregu,

aliści między stłoczonymi gapiami, co wiwatowali na cześć miłościwie panujących, co nieco przecie zoczyłem z ich majestatycznego przemarszu. Królowa Elżbieta, młoda i precudna, pozdrawiała tłum wdzięcznymi skinieniami głowy. Niekiedy też uśmiechała się z owym osobliwym czarem francuskim, co nie zawsze w harmonii pozostawał z surową dworską etykietą. Wystrojona szła na modłę hiszpańską, w suknię z modrej satyny, zdobioną wcięciami srebrnymi i złotym haftem, w dłoniach niosła złoty różaniec i modlitewnik z masy perłowej, a na ramiona i oblicze spływała jej śliczna biała mantyla, perłami obrębiona. Wspierała się na ramieniu nader wytwornego króla Filipa Czwartego, jasnowłosego młodzieńca o białej kompleksji, jak zawsze wyniosłego i nieprzeniknionego. Ten z kolei odziany był w wyszywaną srebrem szatę z szarego aksamitu, krótką flamandzką koszulę, do tego na szyi miał złoty medalionik z Barankiem Bożym i sznur brylantów, za pasem pozłacany rapier, a na głowie kapelusz z białymi piórami. Na tle uroku i miłego uśmiechu królowej wielce surowo prezentowała się hieratyczna powaga jej dostojnego małżonka, zawsze posłusznego burgundzkiemu protokołowi, który z Flandrii był ściągnął cesarz Karol. Monarcha nasz nogą ruszał jeno podczas marszu, krom tego trzymał zawsze nieruchomo stopy, dłonie i głowę i w górę spoglądał, jak gdyby rachunku przed nikim poza Bogiem nie był zobowiązany zdawać. Nigdy dotąd ni później nie widziano, by tę nadzwyczajną flegmę swą postradał oficjalnie albo w zaciszu. Ja sam – lubo przecie anim śnił owego popołudnia, że mnie los pośle, bym naszemu Habsburgowi służył i kompanii dotrzymywał w chwilach trudnych i dla niego, i dla całej Hiszpanii – przyświadczyć mogę, że zawsze umiał zachować tę swoją legendarną, niczym niezmaconą zimną krew. Atoli nie był królem odstręczającym, widzieliśmy w nim wielkiego amatora poezji, komedii i zabaw literackich, sztuk wszelakich i popisów kawaleryjskich. Odznaczał

się także znaczną odwagą, chociaż na polu bitewnym pojawiał się jeno w sporej odległości od zmagania, a i to dopiero potem, w czasie wojny w Katalonii – wszelako podczas polowania, w którym osobliwe miał upodobanie, dokonywał czynów rozsądkowi sprzecznych, potrafił nawet samotnie dzika ubić. Jeźdźcem był zawołanym, a razu pewnego, jakom to już był waszmościom opowiadał, podziw u gawiedzi sobie zaskarbił, kładąc byka na madryckim placu Mayor celnym strzałem z arkebuza. Do słabych jego stron należały niejaka miękkość charakteru, skutkiem której całość spraw monarchii powierzył w ręce hrabiego–diuka de Olivares, oraz niezmierna skłonność do niewiast. Przy jednej sposobności – co wyłuszcę dokładnie w następnej części tych wspomnień – omal go ta ostatnia życia nie kosztowała. A co najważniejsze, nigdy nie posiadał ani energii swego pradziada cesarza, ani wytrwałej mądrości dziada Filipa Drugiego. Atoli – lubo zabawiał się stanowczo ponad miarę, głuchy na skargi zgłodniałego ludu i na oburzenie podległych ziem i królestw źle rządzonych tudzież ślepy na rozkład odziedziczonego imperium, na upadek jego wojskowej i morskiej potęgi – godzi się rzec, że dobroduszne usposobienie jego nijakiej niechęci w innych nie wywoływało i że do samego końca był władcą miłowanym przez lud, który w faworytach, ministrach i doradcach upatrywał winnych większości nieszczęść, jakie spadły na ową nadmiernie rozrośniętą Hiszpanię, co zbyt wielu wrogów miała i tak bardzo zdana była na łaskę nikczemnej ludzkiej natury, że i sam Chrystus Zmartwychpowstały nie zdołałby jej zachować w całości i zdrowiu.

Dostrzegłem w orszaku imponującą postać wszechpotężnego hrabiego–diuka de Olivares, którego władza z każdego ruchu emanowała i spojrzenia. Także młodego syna diuka de Medina Sidonia, hrabiego de Niebla, młodzieńca wielce wytwornego, co pospołu z kwiatem sewilskiej szlachty Ich Wysokościom towarzyszył. W owej epoce de Niebla liczył dwadzieścia

parę wiosen i jeszcze dużo wody w Gwadalkiwirze miało upłynąć, nim jako dziewiąty już diuk domu Medina Sidonia, ścigany przez zawistną nieprzychylność Olivaresa, dosyć mając łączywości, z jaką królewski fiskus dobiera się do jego dóbr – a wartość tych wzrosła znacznie, gdy Sanlúcar de Barrameda znalazło się na szlaku indyjskim – dał się zwieść pokusie paktowania z Portugalią i oderwania Andaluzji od Korony. Skutkiem pamiętnego spisku popadł w infamię, ruinę i niełaskę. Na razie tuż za nim postępował cały orszak dam i kawalerów, w tym także dworki królowej. Ledwie na nie wzrok swój obrócił, serce aż mi wywinęło koziołka w piersi, bo Angélica de Alquézar była wśród nich. Przecudnie była ubrana, w żółty aksamit ze złotymi naszytami, i rączką wdzięcznie przytrzymała rąbek spódnicy, uwydatnionej przez obszerną krynolinę. Pod mantylą z misternej koronki połyskiwały w zachodzącym słońcu owe złociste loki, które jeszcze kilkanaście godzin wcześniej muskały me lica. Nieprzypadkiem usiłowałem precyzyjnie się wśród cizby i ku mej umiłowanej przybliżyć, wszelako drogę zagroził mi szeroki grzbiet żołnierza gwardii burgundzkiej. Angélica przeszła o parę kroków ode mnie, nawet mnie nie widząc. Szukałem jej modrych oczu, ale te oddaliły się już, nie wyczytawszy ni wyrzutu, ni wzgardy, ni miłości, ni szaleństwa, jakie w głowie mej się kłębiły.

Aliści zmienmy nastrój, wszak przyrzekałem opowiedzieć waszmościom o wizycie w więzieniu królewskim i o czuwaniu przy Nicasiu Ganzúii. Rzeczony Ganzúa był sławetnym zabijaką z dzielnicy Heria, najprzedniejszym z sewilskich infamisów i zacnym przedstawicielem tutejszej ulicy, wielce szanowanym w swej profesji. Nazajutrz mieli go wyprowadzić w procesji, przy wtórze turkoczających bębnow i z krzyżem na przedzie, by na końcu tej drogi tchu go pozbawić powrółem. Przeto na

ostatnią wieczerzę łajdaka stawili się najwyborniejsi członkowie łotrowskiego bractwa, przybywając stosownie do okoliczności z powagą, zawodową pokorą i współczuciem na gębach. Owa osobliwa forma pożegnania kumotra nazywana była w mowie oprychów „ponurym talarkiem”. A leżało to we zwyczaju, bo snadź każdy, od najmniejszego po największego zawadiakę, wiedział, że profesja zarabiania na życie żelazem albo inną podstępłą metodą, zwana tu „szemranym dopustem”, zazwyczaj kończyła się głaskaniem sardynek po grzbietach krzepko ściskanymi wiosłami galernicznymi pod świszczącym batogiem nadzorcy, a jeżeli los mniej łaskawym się okazywał, delikwent zapadał na śmiertelną chorobę sznura, nader zaraźliwą wśród ludzi tego pokroju.

Rychło pętlę czas zaplata.

Krótki zawadiaki żywot,

*Gdy ma sprawę zdać u kata.*⁵⁴

Z tuzin opitych gorzałką, grubych głosów śpiewało z cicha powyższe słowa, kiedy to w porze najsmaczniejszego snu sprawiedliwych strażnik pewien, któremu Alatryste posmarował był rękę i humor ośmioma realami, prowadził nas ku izbie chorych, tam bowiem skazańcy na śmierć czekali. Inne części owej turmy, trzy sławetne bramy, kraty, korytarze i malownicze środowisko miejscowe – wszystko to zostało już opisane przez znamienitsze pióra niżli moje, a kto ciekaw, niechaj zajrzy do mości Miguela de Cervantes⁵⁵ do Matea Alemana⁵⁶ albo Cristobala de Chaves⁵⁷. Ja skupię się jeno na tym, com sam widział w trakcie naszych odwiedzin, kiedy to wrota wszelkie już zawarte były, a więźniowie, co dzięki łasce naczelnika albo dozorców mogą łązić po całym przybytku jak jaśniepaństwo, już grzecznie powrócili do swych ciemnic – krom tych kilku

uprzywilejowanych, którzy za sprawą stanowiska swego albo sakiewki spali, gdzie tylko upodobanie mieli. Wszystkie niewiasty, kochanice i krewne osadzonych takż przybytek już opuściły, cztery przypadające na tę zakratowaną parafię gospody i winiarnie (gdzie oberżysta sprzedawał wodę, a wino naczelnik więzienia) zamknęły odrzwia aż do następnego ranka, podobnie stoliki do gry i kramy ze strawą i zieleniną. Mówiąc pokrótce, owa Hiszpania w miniaturze, jaką było królewskie więzienie w Sewilli, spać się pokładła – wszystko, co żywe, pospołu z pluskwami w szparach, pchłami w derkach najlepszych nawet cel, takich, które co majątniejsi więźniowie wynajmowali po sześć reali miesięcznie od zastępcy naczelnika. Ów zastępca kupił stanowisko za czterysta dukatów od samego naczelnika, łotra, co się zowie, który ze swej strony nabijał kabzę dzięki przemytowi i przekupstwu wszelakiego autoramentu. Podobnie bowiem jak w całym kraju, tak i tu wszystko można było swobodnie kupić i sprzedać i łatwiej na protekcję pieniądza niżli na sprawiedliwość liczyć tu mogłeś. Osobliwa to ilustracja starego powiedzenia hiszpańskiego, że głód mi w oczy nie zajrzy, gdy noc przede mną, a figowiec nade mną. Po przybyciu do turmy mieliśmy dość nieoczekiwane spotkanie. Właśnieśmy minęli wielką kratę i korytarz tudzież więzienie niewieście, co zaraz w lewo od głównego wnijscia się znajduje. Tuż wedle budy, gdzie trzymano skazanych na galery, stało za ogrodzeniem kilku w pogawędce pograżonych parafian, którzy na widok nasz łby unieśli. Nieopodal na ścianie jarzyła się żagiew, światło na tę część korytarza rzucając, skutkiem czego jeden z rzeczonych rozpoznał mego pana.

– Albom podfajczony w cztery drzazgi – ozwał się – alboć to kapitan Alatryste.

Przystanęliśmy przy kracie. Bydlę z niego było imponujące, brwi czarne miał i tak gęste, iż jedną się zdawały. Odziany był w brudną koszulę i

portki ze zgrzebnego sukna.

– Do diaska, Cupamagna – odparł kapitan. – A cóż waszmość porabiasz w Sewilli?

Waligóra uśmiechał się od ucha do ucha, kontent z siurpryzy, jaką nam sprawił. W miejscu, gdzie inni mają górne siekacze, ziała u niego czarna dziura.

– Ano, sam pan kapitan widzi. Na galery mnie wysyają. Przyjdzie sześć latek petwy sardynkom czesać po bajorach różnych.

– Ostatniom waszmość widział, jakieś się pod Świętego Ginesa chronił.

– Dawne czasy. – Bartolo Cupamagna wzruszył ramionami z zawodową rezygnacją. – Sam pan kapitan wie, że życie nie piści.

– A cóż waszmości tym razem uszyli?

– Uszyli za mnie i za jeszcze paru. Powiadają, że z kamratami wypatroszył – tu rechot owych kamratów się rozległ, kontentych, że o nich mowa – kilka loszków z winem przy Cava Baja i jeszcze paru podróżnych w karczmie Bubillos, opodal Przystani Źródlanej...

– I?

– I nic. Nie stao brzęczącej, żeby pisarczykowi pofolgować, mnie zakuli w kołki i sznurki, jakby ze mnie była jaka parciana gitara, i takiego mnie oto pan kapitan widzi. Grzbiet ćwiczę.

– Od kiedy tu jesteś?

– A będzie szósty dzionek. Szmat krajum zwiedził, sidemdziesiąt pińć dużych mil, jako żywo. W obrączkach, gęsiego, pichotą, otoczony przez strażników, wyzimbiony... W Adamuz próbowałem dać drapaka, akurat lao jak z cybra, ale ta zaraza była szybsza, dorwali nas i zatargali aż tu. W ponidziaek odstawią nas do Puerto de Santa María.

– Smutne to wieści.

– A nichże się wielmożny pan kapitan nie smuci. Jam do pirnatów nienawykły, takem sobie pościlił, tak się i wyśpię. Gorszy los mógł mnie spotkać, niejednemu tu wiosełka zamienili na kopalnie rtyni w Almadén, a to chyba gdzieś, gdzie diabeł dobranoc gada. Stamtąd niewielu wraca.

– Mogę waszmości pomóc jakoś?

Tu Cupamagna głos zniżył:

– Jakby pan kapitan miał trochę nadmiaru w trzosiku, byłbym nader wdzinczny. Suga uniżony i moi kamraci cinko tu przyńdziemy.

Alatriste z sakwy cztery srebrne eskudy wydobył i wsunął je w łapsko olbrzyma.

– A jak przędzie Blasa Pizorra?

– Zmarło jej się, bidulce. – Cupamagna niepostrzeżenie całe trzydzieści dwa reale za pazuchę wepchnął, zerkając z ukosa na kompanów. – Jak zanimogła, zabrali ją do szpitala w Atocha. Wrzodów miaa pełno, za to włosów zgoa wcale, aż żal byo patrzeć na niboraczkę.

– Coś waszmości ostawiła?

– Ulgę. Tak się w robocie zapamiętaa, że france złapaa, cud, żem ja od niej ni podłapał.

– Łączę się z waszmością w bólu i ukontentowaniu.

– A Bogu dzinka.

Alatriste uśmiechnął się lekko.

– Nie wiadomo – rzucił – może karta się odwróci, waszmością galere zdobędą Turcy, zapragniesz zaprzeć się wiary i skończysz waszmość w Konstantynopolu jako pan na haremie...

– Nawet syszeć o tym ni chcę. – Wielkolud w rzeczy samej na urażonego wyglądał. – Jedno wszak to jedno, a drugie to drugie. I zaprawdę ni król, ni Chrystus sam winien nie jest, żem w takie terminy się zapaścił.

– Święta racja, Cupamagna. Szczęścia waszmości życzę.

– I ja panu, mości kapitanie Alatryste.

Spoglądał za nami, o kratę wsparty, gdy oddalaliśmy się w głąb korytarza. Jak już wspominałem, ze szpitala dobiegały rozśpiewane głosy przy akompaniamencie gitary, której więźniowie z sąsiedniej ciemnicy towarzyszyli, bijąc to nożem po prętach, to kawałkiem laski, to w dłonie klaszcząc. W sali, gdzie odbywało się czuwanie, stało parę ław, ołtarzyk z krucyfiksem i jedną gromnicą, a pośrodku na tę noc ustawiono stół z kagankami łożowymi i kilka taboretów. Wszędy porozsiadała się najprzedniejsza śmietanka łotrowskiego narodu sewilskiego. Przybywali tu już od zapadnięcia zmroku, ale i teraz wciąż napływali nowi, wszyscy poważni na licu, bez niestosownych min, owinięci płaszczami wokół bioder, i siła było wokół starych napierśników, kaftanideł bardziej podziurawionych niżli cnota starej bajzelmamy, kapeluszy z zawiniętym z przodu rondem, wąsisk groźnie nastroszonych, blizn, plastrów, serc z imionami kochanic i innych znaków na ramionach grynszpanem kłutych, bród bisurmańskich, ryngrafów i medalików ze świętymi, różańców z czarnymi paciorkami na karkach zawieszonych, a także i cały skład snycerski: wybornie zdobione sztylety i rapiery oraz masarskie noże o żółtych trzonkach, co ze sztylp i butów wystawały. Cała owa zgraja złowrogich rekinów uwiesiła się dzbanów z winem, co na stole stały śród misek z mięsistymi oliwkami, kaparami, jako i plastrami smażonego boczku tudzież sera flamandzkiego. Wszyscy zwracali się do siebie nie inaczej, jak „wasza miłość”, „mości panie”, „panie kumie” i „miłościwy druhu”, a wymowa ich, osobliwie przy esz, es, zet i żet, wielce łajdacko brzmiała. Mówili przeto „tfeba”, „ulwyć fobie”, „wałatwić”, „wdrowie” i „facunek”, wznosili toasty za duszę Escamilli, Escarramana i samego Nicasia Ganzui, nadal śród nich przytomnego w swej doczesnej powłoce. Przepijano także i do niego: „Za honor waszeci, druhu miłościwy” – za

każdym razem wszyscy obecni szklanice do gęb przysuwali, by się w picciu nie poszkapić. Czegoś podobnego nie uświadczyłby ni przy czuwaniu żałobnym w Biskajach, ni na cygańskim weselu. Jak urzeczony ślepiec wybałuszałem, dziwując się, jakiż wielki honor Ganzui być musi, skoro tyle zań wychylają.

*Triumfy różne są w tej talii,
Kto chce wygrać, niechaj Złotem zagra,
Kto gra szpadą, ten niechybnie Łeb postradał.*⁵⁸

Mijał czas na tę modłę wśród kupletów, haustów i pogwarek, i wciąż dochodzili mężowie nowi. Wspomniany zasię Ganzúa był chwatem, co czterdziestu wiosen dobiegał, jak chart dobiega zająca: wejrzenie miał nieprzytulne i złowrogie, łapska i oblicze szerokie, a końce wąsów na piędź długich i suto natłuszczonychomalże pod same oczy mu sterczały. Z uwagi na okoliczności przyodział się jak na procesję wielkopostną: fioletowy kaftan, tu i ówdzie pocerowany, koszula z rozciętymi rękawami, pludry z zielonego płótna, trzewiki do przechadzki i na cztery cale szeroki pas ze srebrną sprzączką. I aż oczy się śmiały do jego postaci pysznej, wspaniałej, otoczonej godną kompanią współczujących mu braci, z których każdy na łbie miał kapelusz z koronką wzorem grandów Hiszpanii. Wszyscy tego winem zapijali, niejeden od tego już wedle stołu polegiwał, innych to wciąż czekało, ci zasię mogli być pewni swego, albowiem nie ufając cienkuszowi przez naczelnika sprzedawanemu, towarzystwo posłało już było po kolejne dzbany i karafy do gospody przy ulicy Cordoneros. Sam Ganzúa nie wydawał się przejmować nadmiernie czekającym go nazajutrz spotkaniem z katem i szyku zadawał z werwą, namaszczeniem i godnością.

– Śmierć to jeno fraszka, mości panowie – powtarzał raz za razem dobitnie.

Kapitan Alatryste, wyborne rozeznanie w całej materii posiadający, wielce politycznie zbliżył się do Ganzui i całej kompanii, by się przedstawić i przekazać pozdrowienia od Juana Jaquety, który z tej racji, że przebywa na Dziedzińcu Drzewek Pomarańczowych, sam stawić się nie mógł, by druhowi towarzystwa tej nocy dotrzymać. Oczajdusza zasię z podobną dwornością mu odpowiedział i zaprosił, byśmy pospołu z resztą zasiedli, co Alatryste zaraz uczynił, przywitawszy się wprzód z kilkoma znajomkami, którzy tam popasali. Ginesillo Nadobniś, wytworny zawadiaka o uprzejmym spojrzeniu, uśmiechu złowrogim i płowej czuprynie, którą nosił z mediolańska – długie jedwabiste włosy spływały mu aż do ramion – podniósł się i serdecznie kapitana uściskał, kontent, że go w dobrym zdrowiu i w Sewilli widzi. Jak powszechnie wiadomo, ów Ginesillo zniewieściałym był człekiem, czyli na poletko Wenery niezbyt chętnie spozierającym, atoli ikry nikomu zazdrościć nie musiał, postrach sięjąc niczym skorpion w sztuce fechtunku biegły. Innym ludziom jego pokroju Fortuna mniej przychylną była – trafiali za kraty pod byle pozorem, a tam przez wszystkich, takż przez pozostałych więźniów, traktowani byli z najwyższą bezwzględnością, która zwyczajnie na stos całopalny wieść powinna. Albowiem w ówczesnej Hiszpanii, jakże pełnej zepsucia i hipokryzji, bywało, że mąż kładł się z własną siostrą, córkami swymi albo babką i nic się nie działo, aliści grzech haniebny bez uchyby kończył się w płomieniach. Morderstwo, grabież, deprawacja, przekupstwo – nie były to ciężkie przestępstwa. Ale tamto i owszem. Podobnie jak i bluźnierstwo czy herezja.

Owóz zająłem tam taboret, pociągnąłem z dzbana, skubnąłem kilka kaparów i w konwersację się zasłuchałem, osobliwie zasię w mocne

argumenty, jakie niejeden wytaczał, by Nicasiowi Ganzui już to pociechę nieść, już to otuchy dodać. Konsyliarz więcej dusz do nieba pośle niżli kat – powiadał jeden. Inny stołownik dodał, że niepomyślny obrót w sądzie jednego ma sprzymierzeńca, a jest nim głuchy całun, to znaczy pisarz sądowy. Kolejny dorzucił, że śmierć, lubo przykra, niechybnie dopada nawet diuków i papieży. Ktoś z dalszego miejsca złorzeczył całej rasie kauzyperdów, snadź tak lichego pomiotu, jak z mocą zapewniał, nie znajdziesz wśród bisurmanów czy schizmatyków. Daj nam, Boże, łaski od sędziego – dogadywał jeszcze inny – i najbardziej maluczkiemu sprawiedliwości nie skąp, skoro jej wygląda. A przy drugim końcu stołu ktoś bolał nad wyrokiem, który świata pozbawia tak zacnego członka łotrowskiego bractwa.

– A ja znieść tego nie mogę – ozwał się więzień, co też kompanii skazańcowi dotrzymywał – że mój wyrok jeszcze niepodpisany, a czekam go każdego dnia... I prawem kaduka nie uczyniono tego dzisiaj, a wielce bym sobie chwalił, móc udać się jutro w drogę z takim chwatem, jak waszeć.

Wszyscy przyklasnęli tak wybornej zacności, jakże na miejscu i trafnie wyrażonej, wynosząc pod niebiosa Ganzuę i zaświadczając, jako to druhowie estymą go ogromną darzą i za wielki honor sobie poczytują, mogąc być blisko w tak doniosłych momentach jak ten, co nazajutrz przyjsć miał, a przytomność swą na placu San Francisco zapowiedzieli wszyscy, którzy bez nijakiej obawy mogli paradować przed nosem dowódcy straży miejskiej. Dzisiaj ten, jutro każdy inny, a cierpiącemu kompanowi zostają jeno przyjaciele.

– Radziśmy widzieć, że w obecnych terminach swoich takż kontenansu nie tracisz, waszmość, jak przez całe życie – oznajmił osobnik o pokaleczonym obliczu i kudłach równie tłustych, co kołnierz jego koszuli.

Tego zwali Śmiałkiem z Galeonów, a był on w istocie wielce przemyślnym zawadiaką i pochodził z Chipiony.

– Na wieczny spokój dziada mego, nie mogłeś prawdziwszych słów wyrzec – odparł ze spokojem Ganzúa. – Nie zdarzyło się, by kto nie zapłacił za to, co mi był uczynił. A jeśli z kimś nie zdążyłem się porachować, to kiedy ciałem z martwych powstaniemy i ponownie stanę na tej ziemi, takiemu zaprawdę dusza w pięty pójdzie.

Przytaknęli posepnie kamraci jego, chwając szlachetną mowę skazańca, i wiedzieli, że nazajutrz na placu nikt nie będzie musiał ze sromoty oczu odwracać ni kazań prawić. Albowiem to snadź mąż niezrównany i nieodrodna sewilska latorośl, wszystkim zasię jest wiadome, że w Herii nie przychodzą na świat tchórze i niejeden już przed tym tutaj bez odrazy w podobną podróż się udawał. Któryś akcentem luzytańskim⁵⁹ zauważył z nutą pociechy, że wszak to trybunał królewski, czyli na swój sposób sam monarcha, na śmierć Ganzúę wysyła, a nie byle kto. Tak wyborny chwyt za dyshonor by poczytywał, gdyby go stracić miał jakiś przybłęda. Przedstawiony pogląd wielką zyskał aprobatę wśród zgromadzonych, a i sam zainteresowany węża podkręcił, kontent z takiego postawienia sprawy. Autorem konceptu był chwyt odziany w napierśnik, co aż kolan mu sięgał, szczupłej postury, za to osmaloną słońcem czaszkę przyozdobioną miał bujną, siwą czupryną. Jak powiadano, niegdyś teologiem był w Coimbrze, aliści niefortunny traf skazał go na obecną zuchwałą profesję. Cieszył się powszechnie renomą nie tylko świętego szermierza, ale i człeka w prawie i księgach obeznanego, zwany był Portugalczyk Saramago, nosił się z pańska i statecznie, a wedle tego, co o nim gadali, życia pozbawiał jeno w razie potrzeby, wszelkie dochody oszczędzał niczym jaki Hebrajczyk, by własnym sumptem wydać niepojętej długości poemat, nad którym pracował już ze dwa dziesiątki lat, a opisywał w nim, jak to Półwysep Iberyjski

oddziela się od Europy i płynie przez ocean na podobieństwo tratwy, którą powodują ślepcy. Czy coś takiego⁶⁰.

– I żal mi jeno tej mojej Maripizki – westchnął Ganzúa pomiędzy jednym haustem a drugim.

Maripizca Samarytanka była kochanicą naszego zucha i wedle jego mniemania, egzekucja przewidziana na dzień następny skazywała biedaczkę na samotność. Odwiedziła go była zresztą tego wieczoru, wielki zamęt i harmider czyniąc: niechże jeszcze raz popatrzę na światło oczu mych i na tego, któremu taką krzywdę robią, i tak dalej, a osuwała się przy tym bez zmysłów niemal co pięć kroków prosto w ramiona dwudziestu przytomnych tam łotrów, co kompana żegnali. Jak powiadano, w ostatnim nader czułym oświadczeniu Ganzúa duszę jej polecił, to jest dał na kilka mszy – spowiedzi żaden łajdak nawet w drodze na szafot nie uznawał, za niegodne prawdziwego śmiałka uważając, by Bogu wyrzaskiwać to, co się wprzódy na koźle zataiło – osobliwie zasię nakazał jej, by ugodziła się z katem, płacąc mu czy to w naturze, czy brzęczącą monetą, by nazajutrz wszystko odbyło się sprawnie i wytwornie, żeby i on sam sromotą się nie okrył w przytomności wielu znajomków, gdy otworzy się przed nim przesławny trakt, co początek swój ma na placu San Francisco. Nareszcie pożegnała się z nim owa dziewczka nader wykwintnie, pod niebiosą wynosząc dzielność swego łajdaka i głosząc, że „w takim zdrowiu i z takim szykiem masz mi się, kawalerze, pokazać i na tamtym świecie”. Ganzúa swych kompanów przy stole zapewnił, że Samarytance, niewieście poczciwej, schludnej, wielce przy tym robotnej i obrotnej, czasem jeno trzeba było łachy przetrząsnąć, czy czego nie chowa, a zresztą dłużej wychwalać jej przecie nie trzeba, skoro osoba to powszechnie znana wszystkim obecnym, całej Sewilli i połowie Hiszpanii. Co się tyczy zaś owego śladu po nożu na licach, objaśniał, że wcale jej tak bardzo nie

szpecił, a poza tym nie ma o czym deliberować, albowiem w dniu, gdy jej to był uczynił, znajdował się Ganzúa pod przemożnym brzemieniem słodkiego jerezu z Sanlúcar. Zresztą, ciągnął, do kroćset, nawet najlepsze pary mają swoje lepsze i gorsze dni, i nie ma w tym niczego, co by w zadziwienie wprowadzić mogło. Nie mówiąc już o tym, że taka szrama w porę uczyniona na jagodzie stawała się wielce dobroczynną oznaką czułości, jako i sprawiała, że i jemu samemu ślony w oczach stawały, ilekroć czuł się w obowiązku kijaszkiem swą niewiastę oćwiczyć. A nade wszystko Samarytanka objawiła się jako ładaczka nader miłosierna i wierna, albowiem przynosiła mu pokaźne kwoty do więzienia, które wprzódy zarabiała była, a praca jej wszak raczej ujmowała niżli dokładała grzechów na jej sumieniu, snadź grzechem byłoby, gdyby kompanii swemu lubemu dotrzymywała, miast troszczyć się oń tak, jak to czyniła. Com rzekł, tom rzekł i ani słowa więcej – tak mówiąc, rozczulił się lekko nasz dziarski skazaniec, nosem pociągnął, atoli jak na męża na schwał przystało, ukrył oblicze, godnie do dzbana zaglądnąwszy, inni zaś się pośpieszyli z wyrazami ukojenia. Bądźże waszmość spokojny, nijakiego utrapienia pocziwina mieć nie będzie, zadbam o jej mieszek jako żywo – rzekł jeden. Jako i ja – dodał drugi. Od tego ma się druhów – zapewnił trzeci. Kontent, że w tak dobrych rękach niewiastę ostawia, powrócił Ganzúa do swego dzbana, słuchając Ginesilla Nadobnisa, który skoczną segedillą wysławiał wspomnianą właśnie łotrowską nałożnicę.

– Takoż ani słówka waszmościom nie pisnę – ozwał się naraz Ganzúa – o tym, co mi tego kreta w paradę wpuścił.

I znów rozległ się chóralny protest. Bez nijakiej uchyby jęzor, co mości pana Ganzuę w takie był tarapaty władował, rychło przy pierwszej sposobności zastygnie w swej gębie na wieki, snadź to i dużo więcej kompani są winni skazanemu druhowi. Jak wiadomo, najbardziej haniebną

zbrodnią wśród łajdackiego ludu było chlapać ozorem przeciwko kamratom. Jeśli kto chciał być uważany za chwata pełną gębą, to nawet pod groźbą osobistej zniewagi albo innej krzywdy uważał za rzecz nieobyczajną zdradzić współpobratymca przed trybunałem. Wolał milczeć i pomstę szykować.

– O ile leży to w waszmościów mocy i kłopotów nie przysporzy, to zajmijcie się też, jeśli łaska, pachółkiem Mojarrillą, który wielce brutalnie się ze mną obszedł, nijakiego respektu nie okazując.

Tamci nuże go zaraz uspokajają, że może na nich liczyć. Bóg i wróg świadkiem, że Mojarrilla już się może meldować u spowiedzi.

– Nie byłoby od rzeczy – oznajmił łotr, podumawszy co nieco – pozdrowić ode mnie także i owego złotnika.

Zatem i złotnik trafił na listę. Za czym przytomni uzgodnili, że jeżeli nazajutrz kat nie odwdzieczy się za starania Samarytanki i miarę przebierze, siłę miast respektu przy zaciskaniu sznura garoty okaże – także i on pośmiertne błogosławieństwo od skazańca otrzyma. Albowiem jedna rzecz wykonać wyrok śmierci – ot, profesja jak każda inna – a inna zgoła, zdrajców i niewieściuchów godna, człeka honoru podle przy tym potraktować i tak dalej. I znów gwarnym „racja” i „jako żywo” końca nie było, co Ganzuę w ogromne ukontentowanie i przedni humor wprowadziło. Nareszcie i na kapitana Alatryste spojrzął z wdzięcznością w oku za kompanię, jaką pan mój w takich chwilach mu ofiarował.

– Nie mam chyba przyjemności znać waszeci.

– Wszelako niejedyn tutaj mnie zna – odparł kapitan z właściwym sobie spokojem. – I wielką radością napełnia mnie, iż mogę waszej miłości towarzyszyć w imieniu druhów, co przyjść tu nie mogli.

– Zacie powiedziane. – Ganzúa przypatrywał mi się przyjaźnie zwa swych ogromnych wąsisk. – Ten smyk z waszmością przyszedł?

Kapitan potwierdził, ja też przytaknąłem, głowę skłaniając na modłę wielce dworną, co z kolei wywołało pomruki aprobaty wśród stołowników. Snadź nikt tak wysoko nie uważa skromności i dobrego ułożenia młodzieży, jak właśnie świat występku.

– Cieszy oko taka młódź – rzekł zabijaka. – Oby jak najdłużej omijały go takie traktamenty.

– Amen – zaświadczył Alatryste.

Tu swoje trzy grosze wtrącił Portugalczyk Saramago, by mą obecność w tym miejscu pochwalić. Albowiem wielce to dla młodzieży budujące, kiedy widzi, jak z tego świata odchodzą ludzie wielkiej śmiałości i honoru – prawili, szeleszcząc z luzytańska – a osobliwie w obecnych, jakże nieszczęsnych czasach, gdy wszędy jeno sromota i nieobyczajność panują. Skoro fortuna komu nie sprzyja na tyle, by się mógł w Portugalii narodzić – a to w istocie nie każdemu mogło się przytrafić – najlepszą naukę na dalszy żywot wyciągnąć może, gdy się przypatrzy, jak zacie umrzeć, gdy będzie z mędrkami obcował, różne kraje pozna i należyłą pilność w czytaniu ksiąg okaże.

– Przeto – zakończył z poetyckim uniesieniem – za Wergilim powtórzy nasz panicz: *Arma, virumque cano*⁶¹ a *Plus quam civilia campos*⁶² za Lukanem.

I dalej gęby im się nie zamykały, chyba żeby kolejne hausty wina przełknąć. W którymś momencie Ganzúa upodobania nabrał, by rozegrać partię rentoya⁶³ – chcąc w taki oto sposób pożegnać się z kamratami. Co słysząc, Guzmán Ramirez, małomówny zawadiaka o mrocznym obliczu, wydobył zza pazuchy potłuszczoną talię i na stół ją rzucił. Zaraz też otwarły się stronice tej królewskiej księgi, do gry zasiadło ośmiu, pozostali jeno się przypatrywali, a wszyscyśmy tego popijali. W ruch poszły pieniądze i czy

to z nadmiaru szczęścia, czy że druhowie się nad delikwentem ulitowali, Ganzúa zgarniał najsowitsze sumy.

- Sześcioma jagódkami tu przydzwonię i żegnaj, żywocie.
- Do ręki gra pomyka, asandzieju.
- I ręka gotowa.
- I spada jastrząb na owieczki.
- Dawajże go tu, mam na niego widły.

I tak biegła karciana pogwarka, gdy raptem kroki w korytarzu się rozległy, za czym do kaplicy weszli, czarni jak kruki, pisarz trybunału, naczelnik turmy ze strażnikami i więzienny kapelan, by ostatni wyrok odczytać. Ginesillo Nadobniś gitarę odłożył, atoli nikt krom niego nawet oczu na przybyłych nie podniósł, głównemu skazańcowi oblicze ani nie drgnęło – wszyscy dalej otumanieni, każdy z graczy z trzema kartami w łapie, i pilne baczenie dawali na kartę bazową, którą była dwójka złotych. Odchrząknął tedy pisarz i jął czytać, że zgodnie z królewską sprawiedliwością tak i owak, wedle tego i owego, wobec odrzucenia założonej apelacji, rzeczony Nicasio Ganzúa zostanie stracony w dniu jutrzejszym, i temu podobne. Słuchał tego delikwent nieporuszony, kartami swymi zajęty, i dopiero gdy sentencja została do końca odczytana, rozwarł usta i spojrzał na swego kompana w grze, unosząc brwi do góry⁶⁴.

- Licytuję – powiedział.

I gra jak gdyby nigdy nic toczyła się dalej. Portugalczyk Saramago zagrał waletem pałkowym, następny rzucił takiegoż króla, trzeci położył asa pucharów.

– Złoty skurwiel – oznajmił jeden, co go zwali Rudzielcem Carmoną, kładąc waleta na bazie.

- Wicek⁶⁵ – inny na to, grając rzeczoną kartę.

Ganzui fortuna wielce sprzyjała owej nocy, bo oświadczył, że ma baranka, który przebija wicka, i na poparcie słów swoich położył jedną ręką czwórkę złotych, w drugiej bowiem ścisnął dzban z winem, podpierając się do tego z wielkim szykiem pod bok. I dopiero podówczas, zgarniając monety i ustawiając z nich spory słupek, wzrok na pisarza podniósł.

– Czy mógłbyś acan powtórzyć ostatnie słowa, bom uwagę miał czym innym zaprzątniętą?

Żachnął się na to pisarz i odparł, że takie rzeczy jeden raz się czyta i że, patrzcie no, co za człek ten Ganzúa, świeczkę mu zdmuchną, a on nawet nie będzie wiedział, na czym cała sprawa polega.

– Dla człeka mego pokroju – skazaniec na to z niebywałą flegmą – co klękał jeno do komunii, a i to kiedym był dziecięciem, i który później walczył w pięciuset pojedynkach, wziął udział w tyluż niespodzianych potyczkach, a ponad tysiąc razy bił się na ślepo zgoła, drobiazgi także mają znaczenie, jak dla acana cztery miedziaki... Chciałem się jeno upewnić, czy będzie sznur, czy nie.

– Będzie. O ósmej rano.

– A któż sentencję podpisał?

– Sędzia Fonseca.

Popatrzył łotr znacząco na swych kamratów, ci zaś odpowiedzieli mu mrugnięciami i milczącym potakiwaniem. Wedle przewidywań kapuś, pacholek i złotnik mogli dostać czwartego kompana do podróży.

– Jak widzę, rzeczony tu sędzia – zwrócił się Ganzúa do pisarza z miną filozofa – woli wydać taki właśnie wyrok i za jego pomocą wyzuć mnie z żywota... Ale niechże ów człek pokaże, że ma choć tyle honoru, by wyjść naprzeciw mnie z rapierem w rękę, a wtedy zobaczymy, kto komu życie skróci.

Ponownie pokiwali uroczyście głowami zawadiacy. W tych słowach zawarta była głęboka słuszność i prawdziwa ewangelia. Pisarz aliści ramionami wzruszył. Ku Ganzui zbliżył się teraz zakonnik, augustianin o łagodnym obliczu i brudnych paznokciach.

– Chcesz się wypowiadać?

Skazaniec spojrział nań, karty tasując.

– Nie zechce chyba wasza wielebność, żebym to, czego nie wyśpiewałem podczas jutrzni, wygadał przy komplecie.

– Miałem na myśli twą duszę.

Chwat dotknął różańca i medalików, które na szyi mu zwisały.

– O moją duszę sam staranie mieć będę – odrzekł nader powoli. – Jutro w innej dzielnicy pogadam na ten temat z kim zajdzie potrzeba.

Szemrani kawalerowie i tym razem skinęli głowami na znak aprobaty. Niektórzy z nich znali jeszcze sławnego zabijakę Gonzala Barbę, który zaczął niegdyś spowiedź od ośmiu zabitych za jednym razem, a widząc, że księżulo, rumiany i nieopierzony młodzian, nie posiada się z przerażenia, powstał z tymi słowy: „Dopierom zaczął od pomniejszych sprawek, a ksiądz już się obrusza... Jeżeli pierwszych ośmiu taką trwogą księdza nappełniło, ani ja tu dla waszej wielebności, ani wasza wielebność dla mnie...”. A że kapłan nastawał na dalszy ciąg, ten mu odparł: „Ostańże z Bogiem, ojcze, boś ty księdzem od przedwczoraj, a już chcesz spowiadać człowieka, co pół tego świata do piekła posłał”.

Owóz i karty znów w ruch poszły, a tymczasem augustianin z pozostałymi ku drzwiom się udali. Kiedy atoli w połowie drogi już byli, Ganzúa coś sobie przypomniał i zawołał na odchodzących: – Jedna rzecz, szanowny panie pisarzu. W zeszłym miesiącu, kiedy mój kompan Lucas Ortega gardziel w sznury wsadzał, jeden ze stopni na szafocie był rozchwierutany, przez co Lucas omal nie spadł, kiedy się wspinał... Mnie to

tam wszystko jedno, ale miejcież zmiłowanie nad tymi, co przyjdą po mnie, snadź nie każdy ma tak silne nerwy, jak ja.

– Będę pamiętał – uspokoił go pisarz.

– No to nic już nie gadam.

Precz odeszli frater i ichmościowie z trybunału, przy stole powrócono do rentoya i wina, a Ginesillo Nadobniś do swej gitary:

*Zgładził ojca, macierz zabił
I młodszego brata przy tem,
Że miał jeszcze dwie siostrzyczki,
Obie posłał na ulicę.*

*Gdy na drzewie wreszcie zawisł,
Lud sewilski nie lał łez,
Jedno życie się skończyło
Wcześniej tyle innych też.*⁶⁶

Padaly karty na stół w słabym świetle łożówki. Zbóje pili i grali w iście obrzędowej ciszy, dotrzymując kompanii swemu kamratowi częstymi „do kroćset”, „na mój honor” i „jest, jak mówię”.

– Nie było to podłe życie – ozwał się raptem zadumany skazaniec. – Pieskie, ale podłe to nie.

Przez okno doszły nas dzwony z pobliskiego kościoła Zbawiciela. Ginesillo, chcąc respekt okazać, urwał pieśń swoją, a wszyscy, pospołu z samym Ganzuą, łby odkryli, grę przerwali i przeżegnali się w milczeniu. Nadeszła godzina duchów.

Nazajutrz o świcie niebo nad Sewillą jak gdyby wyszykowało się, żeby malował je Diego Velázquez. Na placu San Francisco Nicasio Ganzúa z niespotykanym spokojem wstępował na szafot. Przybyłem tam wspólnie z Alatristem i kilkoma towarzyszami nocnego czuwania na tyle wcześniej, ażeby miejsce siedzące zająć, albowiem ciżba wypełniała plac do szczętu od wylotu ulicy Sierpes po sam amfiteatr, tłum tłoczył się wokół samego podestu, jako i na balkonach, a jak słyszałem, nawet zza żaluzji Trybunału Królewskiego popatrywać miała sama para królewska. Na najlepszych miejscach, od dawna zamówionych, aż lśniło od przepychu, damy w chusty odziane i w suknie z najprzedniejszych materiałów, panowie zasię w nieskazitelne koszule, miękkie kapelusze z piórami i złote łańcuchy na piersiach. Śród gawiedzi, co na dole się rozpychała, dostrzegłem siłą próżniaków, pospolitych łotrzyków i hultajów, a wyborni adepci akademii sztuk niepięknych używali sobie na całego, wsuwając w cudze kieszenie gołą dwójkę, by w mig wyciągnąć złotego asa. W naszą stronę precisnęła się mość Francisco de Quevedo, obserwujący całe wydarzenie z najwyższą atencją, bo właśnie, jak powiadał, pisze *Żywot młodzika niepoczciwego imieniem Pablos*, a do jednej sceny, którą akurat tworzył, pasowało jak ulał.

– Nie zawsze da się natchnienie czerpać z Seneki i Tacyta – wyjaśnił, poprawiając sobie szkiełka, by widok mieć lepszy.

Ganzúii ktoś musiał być szepnąć słówko o parze monarszej, bo kiedy wywozili go z więzienia na grzbiecie mulicy, okrytego kapotą i skrepowanego, wąsy podkręcił, unosząc obydwie dłonie ku twarzy, i nawet uklonił się gawiedzi na balkonach. Nasz zuch był uczesany jak się patrzy, umyty, spokojny i prezentował się niezwykle wytwornie, a niewątpliwe skutki nocnej biesiady ledwie znać było w jego oczach. I gdy tak jechał, jeżeli tylko znajome oblicze w tłumie dostrzegł, pozdrawiał nader

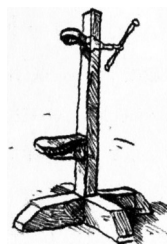
powściągliwie, jak gdyby udawał się na odpust na błoniach Świętej Justyny. Takiego szyku zadawał, że patrząc nań, aż ochota brała, by też na stracenie pójść. Kat oczekiwał go przy garocie. Kiedy Ganzúa z zimną krwią wspiął się po stopniach – ten feralny nadal był obluzowany, czym przytomny nieopodal pisarz zaskarbił sobie surowe spojrzenie skazańca – jak plac długi i szeroki wszyscy nadziwić się nie mogli jego manierom i odwadze. On zasię skinął swym kamratom i Samarytance, której w pierwszym rzędzie kompanii dotrzymywało z tuzin łotrów spod ciemnej gwiazdy, a która łyzy rześiste, owszem, roniła, ale także i z dumą spoglądała na swego umiłowanego, co z taką galanterią na ostatnią drogę wstępuje. Następnie Nicasio zamienił słów kilka z augustianinem, który go był nocą w kaplicy odwiedził, i z wyraźnym ukontentowaniem łbem przytaknął, kiedy frater szepnął mu jakieś słowa, co snadź trafnie dobrane i po jego myśli były. Kat jął się nieco niecierpliwić, nieprzyjazny grymas na twarz przywołując, na co Ganzúa odrzekł mu: „Zaraz i waszeci chwilę poświęcę, atoli niech ci tak pilno nie będzie, bo ani to koniec świata, ani Maurowie w granicach nie stoją”.



...kiedy zakładano mu pętlę na gardziel...

Za czym odmówił donośnym głosem swoje Credo od a do zet, ni jedną fałszywą nutą modlitwy nie mącąc, z uszanowaniem krzyż ucałował i poprosił kata, by mu ten, jak już będzie po wszystkim, wąsy ze śliny oczyścił i kaptur prosto na łbie ułożył, ażeby złego wrażenia nie robić. Kiedy tamten swą zwyczajną formułkę wyrzekł: „Wybaczyć, bracie, czynię jeno swą powinność”, chwyt mu odrzekł, że na razie jest mu wybaczone jak stąd do samej Limy, ale że robotę swą ma wykonać koronkowo, bo jeszcze się na tamtym świecie spotkają, a tam to już nie będzie dbać o to, czy mu ośmiu nieboszczyków w poczet zaliczą, czy osiemdziesięciu. Następnie

zasiadł bez mrugnięcia ni grymasu, a kiedy zakładano mu pętlę na gardziel, minę miał nieco znudzoną. Ostatni raz wąsy podkręcił i za drugim obrotem dźwigni zastygł w pozie pełnej dostojeństwa i jakby ukontentowania. Rzekłbyś, że jeno się zadumał.





VII. PO TUŃCZYKA I W ODWIEDZINY DO DIUKA.



Statki były coraz bliżej, tedy Sewilla i cała Hiszpania, a wraz z nimi także i Europa, gotowały się, by przyjąć kolejny strumień złota i srebra, spoczywający jeszcze w ładowniach. Potężna flotylla, od Azorów osłaniana przez okręty Floty Oceanicznej, przesłaniająca ciżbą żagli swych cały widnokrąg, już dotarła była do ujścia Gwadalkiwiru, a pierwsze galeony, wypełnione towarami i bogactwami tak, że ledwie się na wodzie utrzymywały, rzucały właśnie kotwice na wprost Sanlúcar albo w Zatoce Kadyksu.

Chcąc Bogu dziękczynienie złożyć za to, że uchronił statki od niepomysłnej pogody, piratów i Anglików, kościoły zwoływały wiernych na msze i nabożeństwa. Armatorzy i spedytorzy rachowali swe zarobki, kupcy rozstawiali kramy, by mieć gdzie nowe dobra pomieścić, i szykowali przewóz towarów w inne miejsca, bankierzy pisali do swoich agentów, by ci weksle przygotowywali, królewscy wierzyciele porządkowali faktury, które wkrótce czekała inkasa, a urzędnicy komór celnych łapy zacierali, obliczając w duchu rychłe tajemne korzyści. Całe miasto stroiło się na tę okoliczność, handel nowego nabierał wigoru, czyszczono kamienie probiercze i sztance do bicia monet, sprzątano składy w Złotej i Srebrnej

Wieży i kipiał życiem cały Arenal, pełen wozów, statków, gapiów oraz niewolników z Afryki i Arabii, co nabrzeża sposobili. Ludzie zamiatali i myli wnijscia do domostw i sklepów, oporzadzali zajazdy, gospody i lupanary, a wszyscy, od dumnego szlachcica po najnikczemniejszego żebraka i dziewczkę najniżej upadłą, kontentowali się samą myślą o fortunie, jaka niebawem mogła stać się udziałem także każdego z nich.

– Sprzyja wam szczęście – ozwał się Guadalmedina, na niebo popatrując. – W Sanlúcar będzie dobra pogoda.

Tego popołudnia, tuż przed rozpoczęciem naszej misji – o szóstej byliśmy umówieni z buchalterem Olmedillą przy moście z łodzi – Guadalmedina i mość Francisco de Quevedo zamierowali pożegnać się z kapitanem Alatryste. Spotkaliśmy się z nimi w niewielkiej winiarni na Arenalu, wzniesionej z desek i belek, pochodzących z leżącej nieopodal stoczni, i wspartej jedną ścianą o mur dawnego doku. Stoły i taborety stały na zewnątrz pod grubo ciosanym daszkiem. O tej porze marynarze zaglądali tu z rzadka, panował spokój, można było tedy swobodnie gawędzić. Cieszył też oko widok na cały portowy harmider, łącno dostrzegałeś tragarzy, cieśli i smarowników, co się uwijali wedle statków zacumowanych przy obydwu brzegach. Triana, skąpana w bieli, ugrach i ochrach, lśniła cudnie z przeciwnej strony Gwadalkiwiru, widoczna spoza masztów i wydętych przez wieczorną bryzę łańskich żagli kutrów sardyńskich i łodzi służebnych, skwapliwie między nabrzeżami kursujących.

– Za dobry łup – wzniósł szklanicę Guadalmedina.

Wszyscyśmy społem unieśli nasze wino z pokrytego szklivem blatu i wychyliliśmy do dna. Trunek nie należał do najprzedniejszych, aliści sama okazja jako żywo. Mość Francisco de Quevedo, który dla siebie jeno wiadomych przyczyn oskomy nabrał, by nam w wyprawie w dół rzeki kompanii dotrzymać, z oczywistych względów uczynić tego nie mógł, co

mocno go alterowało. Nasz poeta należał do ludzi czynu i nie myślał się wzbraniać przed nowym doświadczeniem, jakim miał snadnie być atak na „Niklaasbergen”.

– Ochotnie rzucę okiem na waszmościnyh nowozacieżnych – rzekł, przecierając sobie szkła chusteczką do nosa, co ją przed chwilą wydobył z kieszeni kaftana.

– Jako i ja – dorzucił Guadalmedina. – Zaprawdę, wielce malownicza to musi być gromada. Atoli nie wolno nam dłużej się wtrącać... Od tej chwili, Alatryste, bierzesz na się całą odpowiedzialność.

Poeta nałożył szkła i przekrzywił węża w sarkastycznym uśmiechu.

– Jakże to typowe dla postępowania Olivaresa... Jeśli wszystko pójdzie pomyślnie, nijakiego zaszczytu publicznego nie uświadczysz, wszelako jeżeli pójdzie źle, posypią się głowy.

Pociągnął parę tęgich łyków i zapatrzył się z zadumą w swoje wino.

– Niekiedy żałuję – dodał w przypływie szczerości – żem waszmości w to wplątał, kapitanie.

– Nikt mnie nie zniewolił – odparł Alatryste beznamiętnie, baczne spojrzenie wbijając w nabrzeże Triany.

Stoicki spokój kapitana wywołał uśmiech na obliczu Alvara de la Marca.

– Ponoć – mruknął nader znacząco – nasz Filip Czwarty poznał szczegóły przedsięwzięcia. Nie posiada się z radości, że może utrzyć nosa staremu Medinie Sidonii, i już nie może się doczekać miny, jaką tamten robi, ledwie nowiny go dojdą... Nie mówiąc o tym, że złoto jest złotem, a nasz katolicki władca potrzebuje go jak każdy wokoło.

– Nawet bardziej – westchnął Quevedo.

Guadalmedina wsparł łokcie na stole i jeszcze zniżył głos.

– Wczorajszej nocy, w okolicznościach, o których rozpowiadać tu się nie godzi, nasz miłościwie panujący zagadnął, kto będzie dowodzić atakiem... –

Tu zawiesił głos, chcąc, by waga jego przemowy dotarła do nas z większą siłą. – Zapytał o to twego druha, Alatryste. Pojmujesz?... A ten opowiedział mu o tobie.

– Mniemam, że w jak najlepszych słowach – rzekł Quevedo.

Magnat spojrział nań z ukosa, urażony owym „mniemam”.

– Skoro o przyjacielu gadałem, łącznie się waszmość domyślisz, do kroćset.

– I cóż na to wielki Philipppo?

– Z tej racji, że młody to człek i w przygodach rozmiłowany, najżywsze okazał zainteresowanie. Wspomniał wręcz, że pojawi się incognito dziś w nocy w miejscu zaokrętowania, by ciekawość swą nasycić... Ale Olivares jął wrzeszczeć wniebogłosy.

Krępująca cisza zapanowała wokół stołu.

– Tego tylko brakowało – zauważył w końcu Quevedo – żeby nam jeszcze jaki Habsburg na grzbiecie siadał.

Guadalmedina obracał w palcach swoją szklanicę.

– Niezależnie od wszystkiego – ozwał się po krótkim milczeniu – wszystkim nam przydałby się triumf.

Raptem coś sobie przypomniał, sięgnął za pazuchę i wy dobył złożony we czworo dokument. Widniała na nim pieczęć Trybunału Królewskiego i druga marszałka galer królewskich.

– Zapomniałbym o glejcie – rzekł, wręczając papier kapitanowi. – Zezwala na podróż w dół rzeki aż do Sanlúcar... Wybacz, że o tym wspomina, ale masz go spalić zaraz po przybyciu na miejsce. Potem, jeżeli ktoś będzie cię niepokoił, musisz sam eksplikację wymyślić naprędce... – Magnat gładził się z uśmiechem po bródce. – Zawsze możesz posłużyć się starym powiedzonkiem, że płyniesz do Sanlúcar po tuńczyka i w odwiedzinie do diuka⁶⁷.

– Zobaczymy, jak się będzie sprawiał Olmedilla – zauważył Quevedo.

– Jakkolwiek będzie, zgoła nie musi wchodzić na pokład. Jego zadanie polega jeno na przejęciu złota. Ty zaś masz dbać o jego zdrowie, Alatryste.

Kapitan lustrował dokument.

– Zrobimy, co się da.

– Liczymy na więcej.

Kapitan wsunął papier pod otok kapelusza. Był opanowany jak zwykle, ja wszelako ażem się wzdrygnął na taborecie. Król, hrabia–diuk – za dużo tego dobrego, by prosty giermek mógł spokój zachować.

– Naturalnie protestować będą armatorzy statku – powiedział Álvaro de la Marca. – Medina Sidonia w szal wpadnie, aliści nikt wtajemniczony słówkiem nawet nie będzie śmiał pisać... Flamandowie to inna sprawa. Ozwą się słowa sprzeciwu, listy będą kursować, w kancelariach pomruk się ozwie. Tedy niezbędnym jest, aby całość przypominała zwyczajną napaść rabunkową: rozbójnicy, piraci, rozumiesz... – Uniósł szklanicę do ust, nie przestając uśmiechać się złośliwie. – Niezależnie zaś od wszystkiego, nikt nie będzie żądał zwrotu złota, które oficjalnie nie istnieje.

– Ale nie zapominaj waszmość – Quevedo pochylił się ku kapitanowi – że jeżeli coś się nie powiedzie, nasi bliźni umyją ręce.

– Nawet mość Francisco i ja – uzupełnił Guadalmedina, nie bawiąc się w subtelności.

– Otóż właśnie. *Ignoramus atque ignorabimus.*⁶⁸

Poeta i magnat nie spuszczały wzroku z Alatrystego. Kapitan atoli, nadal wpatrzony w przeciwległy brzeg Triany, skinął jeno lekko głową i ani słowa nie wyrzekł.

– W takim razie – ciągnął Guadalmedina – radzę ci dobrze, miej na wszystko oko otwarte, bo opaly szykują się wyborne. I nie kto inny, a ty

sam zapłacisz za zbite naczynia.

– O ile ktoś ci przyjdzie z pomocą – uzupełnił Quevedo.

– Prawdę mówiąc – dodał Álvaro de la Marca – z pomocą nie wolno przyjść nikomu... – Tu zerknął także na mnie.

– Nikomu.

– Co oznacza – zakonkludował Quevedo, zawsze obdarzony niezwykłą łatwością w cyzelowaniu konceptów – pozostają jeno dwie możliwości: albo odnieść triumf, albo dać się posiekać jak czosnek.

I powiedział to tak wyraźnie, że gdyby wymamrotał, mniejszą udrękę bym odczuwał.

Pożegnawszy się z przyjaciółmi naszymi, kapitan i ja ruszyliśmy w dół Arenalem aż do mostu pontonowego, gdzie oczekiwał nas już jak zwykle punktualny i skrupulatny buchalter Olmedilla. Dalszą drogę szedł pospołu z nami, oschły, żałobnie odziany, z szorstkim obliczem i gębą na kłódkę. Słoneczne promienie padały na nas niemal poziomo, gdy przemierzaliśmy most, kierując się ku złowrogim murom zamczyska inkwizycji, którego widok najgorsze we mnie wspomnienia budził. Szliśmy gotowi do podróży: Olmedilla w czarnej, długiej kapocie, kapitan wyposażony w płaszcz, kapelusz, rapier i lewak, ja zaś dzwigałem na grzbiecie toból, gdzie zmyślnie schowane miałem nieco zapasów, dwa wełniane koce, dwa bukłaki wina, parę pistoletów, mój sztylet – rękojeść wyrychtowałem byłem na ulicy Vizcaínos – proch i kule, kurtę po strażniku Sanchezie, bawoli napierśnik, własność mego pana, i drugi, lżejszy, całkiem nowy, z wybornej, grubej skóry łosia, któryśmy byli za dwadzieścia eskudów kupili u kaletnika przy ulicy Francos. Zmierzaliśmy na spotkanie na podwórku del Negro, nieopodal krzyża przy placu Altozano, i rychło po tym, jak ostawiliśmy za sobą most i mnogość długich statków, galer i łódek, które

cumowały jak brzeg długi aż do portu poławiaczy krewetek – wraz z zapadnięciem zmroku osiągnęliśmy cel. Triana obfituje w niedrogie zajazdy, winiarnie, szulernie i schroniska żołnierskie, dzięki czemu widok zabijaków czy zbrojnych mężów niczyjego zadziwienia nie budził. Podwórzec ów był w rzeczywistości parszywą oberżą pod gołym niebem, nad nim jeno w słotne dni wysłużoną płachtę rozpościerano. Goście siadywali tu, nie zdejmując płaszczy ni kapeluszy, z przyczyny bowiem nocnego chłodu i otoczenia ludzi specjalnego pokroju każdy wolał się tu po czubek głowy okryć i jeno sterczące pod odzieniem sztylety i rapiery nieco więcej zdradzały na temat przybyłych parafian. Społem z Olmedillą i kapitanem zajęliśmy stół w kącie, kazaliśmy podać sobie jadła i napitków i z najwyższą obojętnością rzuciliśmy okiem wokół. Kilku naszych zawadiaków zjawilo się już wcześniej. Przy jednym ze stołów rozpoznałem Ginesilla Nadobnisia, tym razem bez gitary, za to z okazałym rapierem u pasa, i Guzmana Ramireza. Obaj kapelusze nacisnęli głęboko na oczy, a oblicza zasłonięte mieli zarzuconymi z przodu płaszciami. Zaraz też pojawił się Portugalczyk Saramago, przyszedł sam i rychło jął książkę, z kieszeni wydobył, przy świetle łuczywa pochłaniać. Nareszcie przybył i Sebastián Copons, nieduży, krzepki i milczący jako zawsze, za czym siadł z dzbanem wina, nawet na własny cień nie spojierając. Na pozór nikt nikogo zdawał się nie rozpoznawać. Z wolna, samotnie lub też parami, nadchodzili i pozostali, krocząc koślawo i spode łba łypiąc, żelazem dzwoniąc i to tu, to tam siadając, z nikim słowa nie zamieniwszy. Najliczniejsza grupa liczyła trzech chłopca: zarośnięty na gębie Juan Jaqueta, jego kum Sangonera i Mulat Campuzano, którzy staraniem kapitana, dzięki pomocy Guadalmediny, zdołali bezpiecznie opuścić swe przykościelne schronienie. Na przekór obyczajom właściciel oberży pilne baczenie dawał na taką mnogość gromadzących się zbrojnych, przeto kapitan zobligowany był

ciekawość jego uśmierzyć paroma sztukami srebra, który to środek na zbawienną modłę czyni najbardziej wścibskiego oberżystę niemym, ślepym i głuchym – osobliwie zaś, gdy towarzyszyła temu jeszcze groźba, że w przeciwnym razie łatwo się delikwentowi przyjdzie z gardłem pożegnać. Także i przed upływem następnej pół godziny cała kompania została skompletowana. Jakież było me zadziwienie – snadź rzecz tę Alatryste całkiem przede mną przemilczał – gdy ostatni zjawił się Bartolo Cupamagna we własnej osobie, w czepku nad swą jedyną brwią i z szerokim uśmiechem na mrocznej, szczerbatej gębie. Ten mrugnął porozumiewawczo do kapitana i jął przechadzać się pod arkadami blisko nas, i nie rzucał się w oczy zgoła, jak nie przymierzając niedźwiedzica na mszy żałobnej. I lubo pan mój ni słowa mi w tej materii nie nadmienił, miarkuję, że ów łotr, co sprawniej papierem niżli rapierem machać potrafił (ni chybi można było zaciągnąć kogoś, co lepiej żelazem włada), został przez kapitana od galer wybawiony raczej z przyczyn sentymentalnych – o ile takie względy miały w przypadku Alatrystego zastosowanie. Krótko mówiąc, oto Cupamagna był pospołu z nami i z wielkim trudem poskramiał dziką radość. Nie dziwota, do diaska, wszak kapitan oszczędził rudzielcowi sześć grzecznych latek w sakramentalnym związku z wiosłkiem, które ten mógł spędzić na poklepywaniu sardynek po grzbietach w miarowy rytm „raz, ciągnij”.

Owóz i grupka prześliczna się zebrała, wszyscy się snadź na spotkanie stawili. Ja baczenie dałem, jaką minę robi Olmedilla, widząc, co za kompanię udało się kapitanowi zwerbować – i lubo buchalter nieodmiennie odpychającą postawę zachowywał, obojętny i milczący, zdało mi się, iżem dostrzegł błysk aprobaty. Krom już wymienionych pojawili się także – wedle znanych mi ich nazwisk, przezwisk i wyzwisk – Murcjaniń Pencho Jazgotek, dwóch starych wiarusów Mańkut Enriquez i Andresito

Pięćdziesiątka, dalej Śmiałek z Galeonów o pokierszowanej i tłuszczem ociekającej gębie, pewien marynarz z Triany nazwiskiem Suárez i drugi, niejaki Mascarúa, jeden blady jegomość o podkrążonych ślepiach i wyglądzie podupadłego mościpana, którego wołano Kawaler z Illescas, i pochodzący z Jaén ryży i roześmiany brodac, w ramionach krzepki i o czaszce wygolonej, zwący się Juan Eslava. Ten ostatni od lat utrzymywał się z czterech czy pięciu ladacznic sewilskich – troszczył się o nie jak o własne córki, no, niemalże... – co tłumaczy jego dzielnie wywalczony przydomek Fircyk z Alamedy⁶⁹. Wystawcie sobie waszmościowie cały obraz, wszystkich owych osobników spod ciemnej gwiazdy, zgromadzonych na podwórku del Negro, którym przy każdym poruszeniu dzwoniło złowrogo pod płaszczami całe mnóstwo pistoletów i rapierów. I gdyby kto z nich nie wiedział, że pozostali są w tej samej drużynie – przynajmniej na razie – z trudem by się na wodzy utrzymał, lubo by ją ile sił zaciągał. Tedy skoro taki wyborny oddział stawił się w komplecie, Diego Alatryste – ku wielkiemu odetchnieniu oberżysty – rzucił na stół kilka monet, za czym we trzech z Olmedillą powstaliśmy i ruszyliśmy w dół ku rzece, skroś uliczek ciemnych jak wilcza paszcza. Zbytkiem skrupulatności byłoby popatrywać za siebie. Ze stukotu butów za naszymi plecami snadnie zmiarkować można było, że nowo zaciężni jeden po drugim przemykali przez drzwi i postępowali w nasze ślady.

Triana pogrążona była we śnie i mroku, a wszystko, co tylko jeszcze czuwało, starało się nam przezornie z drogi schodzić. Księżyc w nów niemalże wkraczał, ale jeszcze służył nam odrobiną swego światła na tyle, by móc dojrzeć zarys łodzi z żaglem ściągniętym wokół masztu. Palły się dwie latarnie, jedna na dziobie, druga na stałym lądzie, na pokładzie zasię oczekiwały nas dwie niekształtne sylwetki szypra i marynarza. Alatryste zatrzymał się na nabrzeżu wspólnie ze mną i Olmedillą, a podążające za nami

cienie z wolna gromadziły się wokoło nas. Mój pan posłał mnie po latarnię, którą zaraz też postawiłem na ziemi u stóp jego. Spowijała nas bijąca od żagla niemrawa, posępna poświata. Ledwie mogłem ujrzeć oblicza, majaczyły jeno czubki wąsisk i bród, maski, kapelusze na oczy naciśnięte i zgaszony, metaliczny odbłask przypasanej broni. Rychło jęli pomrukiwać między sobą i szemrać, rozpoznawać jedni drugich, atoli kapitan zaraz uciszył ich jednym oschłym słowem.

– Popłyniemy w dół rzeki w celu, który objaśniony zostanie, kiedy dotrzemy tam, dokąd dotrzeć nam trzeba... Każdy część swego zarobku dostał, tedy nikomu nie wolno już kroku wstecz uczynić. I wybaczcie, waszmościowie, że to przypominam, ale ani mru–mru.

– Niech przepadnie, kto śmie wątpić – ozwał się któryś. – Niejednego z nas tu przytomnych w koźle próbowano i żaden słówka nie pisnął, jak na rycerza przystało.



Owóz i grupka prześliczna się zebrała...

- Kontent jestem, że to oczywiste... Jakież pytania?
- Kiedy dostaniemy resztę? – rozległ się głos w tłumie.
- Kiedy dopełnimy naszej powinności. Mniemam, że pojutrze.
- Takóż w złocie?
- Czystym i świetlistym. Obustronnie bite dublony, takie same jak te, coście otrzymali wprzód.
- Przyjdzie duszyczki jakie z ciała wyzwolić?

Zerknąłem na posępną i czarną postać buchaltera Olmedilli i spostrzegłem, że snadź w ogromną alterację popadł, skoro usiłuje czubkiem buta dziurę w ziemi wygrzebać z miną, jakby myślami był gdzieś hen, daleko. Miarkowałem, że człek to nawykły do papierów i inkaustu, a nie do srogich stron życia.

– Ludzi tego pokroju – odrzekł Alatryste – nie zwołuje się do odtańczenia chacony.

Tu i ówdzie śmiech się rozległ, „do kroćset” i „jakem taki owaki”. Gdy już głosy ucichły, pan mój wskazał na łódź.

– Na pokład, rozsiądźcie się, waszmościowie, jak kto może. I od tej pory pamiętajcie, żeście na służbie wojskowej.

– A co to ma oznaczać? – ozwał się jakiś głos.

W mętym świetle latarni wszyscy łącznie dostrzegli, że kapitan niby to niedbale położył swą lewicę na rękojeści rapiera. Oczy jego świdrowały otaczający mrok.

– To ma oznaczać – wycedził – że kto nie posłucha rozkazu albo będzie sarkał, tego zabiję.

Olmedilla wbił w kapitana wzrok. Już nikt nie szemrał, nawet pomruk nijaki nas nie dobiegał. Każdy snadź usłyszaną rzecz we własnym przeżuwał jestestwie, rachując, jak najlepiej na przedstawionych warunkach wyjść. Raptem w tej niezwykłej ciszy, bardzo blisko, wedle statków opodal przycumowanych, słyszeć się dał chlupot wiosła. Cała grupa w jednej chwili zwróciła oblicza w tamtą stronę: nadpływała niewielka szalupa. Na tle mrugających na drugim brzegu światełek wyraźnie odcinała się łódź, pół tuzina wiosłarzy i trzy wyprostowane postacie na dziobie. I oto szybciej, niżli na opowieść o tym zmitrężyć trzeba, Sebastián Copons nuże w ich kierunku skoczył i w przybyszów mierzył z dwóch wielgachnych

pistoletów, które nie wiedzieć kiedy i skąd wyszarpnął. A w dłoni kapitana Alatryste zabłysła obnażona głownia rapiera.

– Po tuńczyka i w odwiedzinach do diuka – ozwał się znajomy głos w ciemnościach.

Te słowa, niby umówione hasło i odzew, uspokoiły kapitana i mnie także, który przecie już, już miałem za sztylet sięgać.

– W pokoju przybywają – powiedział na głos Alatryste.

Szalupa podpływała z wolna, mój pan tymczasem i Copons chowali z powrotem broń. Tamci przybili za dziobem naszej łodzi i już po chwili trzech wyprostowani mężczyźni znaleźli się w kręgu słabego światła latarni. Alatryste minął Coponsa i skierował się ku brzegowi. Podreptałem za nim.

– Nie przystoi druha bez pożegnania puścić – rzekł ten sam głos.

Ja również rozpoznałem hrabiego de Guadalmedina. Podobnie jak jego kompani, okutany był w płaszcz i kapelusz nisko miał nasunięty. Za nimi, wśród wiosłarzy, spostrzegłem mającące rozpalone lonty dwóch arkebuzów. Towarzysze Álvaro de la Marca byli snadź ludźmi ostrożnymi.

– Nie mamy dużo czasu – rzucił sucho kapitan.

– Nie zamierzamy wam przeszkadzać – odrzekł Guadalmedina. Cała trójka wciąż stała na pokładzie. – Ruszajcie, gdzie trzeba wam ruszać.

Alatryste przyglądał się zamaskowanym mężom. Jeden był potężnej postury, płaszcz owijał mu mocarne ramiona i pierś. Drugi jawił się człkiem mizerniejszej budowy, kapelusz miał bez piór, a płaszcz otulał go szczelnie od stóp po oczy. Kapitan jeszcze chwilę przypatrywał się przybyłym. Latarnia na dziobie naszej łodzi oświetlała go z boku, czerwieniał nad wąsami jego jastrzębi nos, łyskały badawcze oczy spod runda, a dłoń bawiła się niedbale lśniąca gardą rapiera. W półmroku posępne i groźne wrażenie wywierał i zmiarkowałem, że od strony szalupy

wyglądać musi podobnie. Nareszcie odwrócił się do Coponsa, który zatrzymał się w pół drogi, i do całej kompanii, co czerniała nieco dalej.

– Na pokład – rozkazał.

Copons ruszył, w ślad za nim wszyscy pozostali minęli Alatristego i w blasku latarni dziobowej widać było, jak wstępują na łódź, szcękając przy tym niemożebnie targanym na sobie żelazem. Niemal każdy zasłaniał sobie oblicze, ledwo blisko światła się znalazł, niektórzy aliści – czy to wyzywająco, czy przez niedbałość – śmiało szli z podniesionymi głowami. Jeden wręcz przystanął, by rzucić zaciekawione spojrzenie na trzech zamaskowanych mężczyzn, co obserwowali ową dziwną defiladę, ni razu gęb nie otwarłszy. Buchalter Olmedilla zatrzymał się na chwilę u kapitańskiego boku i zerknął na trójkę w szalupie z widowym wahaniem, jak gdyby deliberował, czy ma się do nich odezwać, czy też nie. Snadź postanowił to drugie, dał krok przez burtę naszej łodzi i omal do wody nie wpadł, tak się we własną kapotę zaplątał, ale go chwyciły czyjeś mocne ręce i wciągnęły na pokład. Pochód zamykał Bartolo Cupamagna, niosąc w łapie drugą latarnię, którą podał mi, gdy wstępował na łódź z takim rumorem, jakby za pasem i po kieszeniach targał ze sobą całe Biskaje. Mój pan dalej stał nieporuszony i patrzył na pasażerów szalupy.

– Takich mamy – rzekł oschle.

– Oddział zacny zgoła – zauważył ten masywny.

Alatriste zwrócił nań swe oczy, usiłując przebić wzrokiem ciemności. Już gdzieś słyszał ten głos. Trzeci przybysz, szczuplejszy i niższej postury, stojący pomiędzy nim a Guadalmediną, dotąd w milczeniu przyglądał się był okrętującym się zabijakom, teraz atoli baczenie spojrzał w twarz kapitanowi.

– Jak mi życie miłe – powiedział – trwogę budzić potrafia.

Głos był bez wyrazu, aliści zdradzał człeka dobrze ułożonego. Głos nawykły do tego, by nikt się mu nie sprzeciwiał. Usłyszawszy go, Alatryste zastygł niby kamienny posąg. Przez chwilę słyszałem jeno oddech jego, spokojny i nader powolny, za czym pan mój położył mi dłoń na ramieniu.

– Wchodź na pokład – nakazał mi.

Co też uczyniłem, wnosząc do łodzi nasz ekwipunek i latarnię. Przeskoczyłem przez burtę i udałem się na dziób, by tam się umościć. Przepisnąłem się pomiędzy owiniętymi w płaszcze ciałami, cuchnącymi potem, żelazem i skórą. Gdy Copons zrobił mi miejsce, natychmiast opadłem na nasze toboły i znów spojrzałem na kapitana Alatryste, który wciąż stał na nabrzeżu i przyglądał się gościom. Nareszcie uniósł dłoń, jak gdyby kapelusz zdjąć zamierował, atoli ruchu nie dokończył, przytknął jeno palce do ronda, złożył płaszcz na ramieniu i sam wszedł na łódź.

– Pomyślnych łowów – rzucił Guadalmedina.

Nikt nic nie odrzekł. Szyper zwolnił cumy, a marynarz wprzód odepchnął nas od brzegu wiosłem, a następnie zajął się stawianiem żagla. Wkrótce też za sprawą prądu i słabej bryzy, co od brzegu ciągnęła, nasza łódź ruszyła cichutko w dół rzeki, przecinając niby czarny topór odbicia rzadkich światełek Sewilli i Triany.

Niebo uskrzone było gwiazdami, drzewa i krzaki po obydwu stronach odpływały w tył na podobieństwo gęstych, czarnych cieni. Posuwaliśmy się wodami Gwadalkiwiru, Sewilla ostała już daleko w tyle, za załomem krętej rzeki, a nasze odzienie i deski pokładu z wolna przesiąkały nocną rosą. Wyciągnięty obok mnie buchalter Olmedilla szczękał zębami z zimna. Ja spozierałem w nocne niebo, podciągnąwszy koc pod samą brodę, a głowę na tobole wsparłszy – i tylko raz po raz zerkałem na nieruchomą postać kapitana Alatryste, który zasiadł na rufie wedle szypra. Jasna połać żagla

nade mną poruszała się miarowo, zgodnie z kołysaniem nurtu, co chwila przesłaniając i odsłaniając świetliste punkciki, od których lśnił cały nieboskłon.

Prawie wszyscy na pokładzie milczenie zachowywali. Oddział czarnych cieni leżał stłoczony w środku wąskiej łodzi i odpoczywał. Pluskowi wody wtórowało rytmiczne sapanie i ciężkie chrapanie, i czasem jeno odzywał się pojedynczy szept nielicznych czuwających. Ktoś pod nosem nucił falsetem cichą romancę. Wedle mego boku, szczelnie okutany płaszczem i z kapeluszem na oblicze nasuniętym, Sebastián Copons spał jak niemowlę.

Sztylet wrzynał mi się w krzyż, przeto nareszcie go odpasalem. Przez chwilę, wytrzeszczając oczy w niebiosa, usiłowałem pomknąć myślą ku Angelice de Alquézar, atoli jej obraz zacierał się i znikał pod przemożnym wpływem tego, co nas czekało w dole rzeki. Słyszałem pouczenia, jakich Álvaro de la Marca udzielił był kapitanowi, jako i rozmowy, które pan mój toczył z buchalterem Olmedillą, znałem tedy w ogólnym zamyśle plan ataku na flamandzki galeon. Należało dokonać abordażu w czasie, gdy tamci osiadą na ławicy w Sanlúcar, przeciąć im cumy i spożytkować prąd tudzież pływy morskie, które w nocy winny nam sprzyjać, żeby sprowadzić ich statek ku brzegowi, tam go osadzić na mieliźnie i przenieść łup na ląd, gdzie już miały czekać, wprzódzy zawiadomione, siły pomocnicze – pikiet straży hiszpańskiej, który już zapewne docierał do Sanlúcar drogą lądową i miał się zacząć pierwiej na miejscu. Załoga zasię „Niklaasbergen” składała się z prostych marynarzy, a nie wojska, poza tym mieliśmy ich wziąć z zaskoczenia. Ich los rozstrzygało kategoryczne pouczenie: wszystko miało jawić się jako zuchwały napad piracki. Wszak jednego w życiu można być pewnym – że martwi nie gadają.

Jeszcze większy ziąb chwycił o brzasku, gdy ciemne sylwetki białych i czarnych topól, co wschodni brzeg rzeki porastały, jęły rysować się na tle jaśniejszego nieboskłonu. Gromada leżących jeszcze bliżej się przeto ku sobie przysunęła, by ni odrobiny ciepła nie uronić. Niektórzy, co zgoła byli przebudzeni, jęli gwarzyć z cicha dla zabicia czasu, w ruch poszedł też bukłak z winem. Trzech, może czterech gadało całkiem blisko miejsca, gdzie sam spoczywałem, snadź mniemali, że śpię. Był wśród nich Juan Jaqueta, jego druh Sangonera i jeszcze ktoś. A rozprawiali o kapitanie Alatryste.

– Nic a nic się nie zmienił... – powiada Jaqueta. – Spokojny i małomówny jak jego mać taka owaka.

– A dowierzać mu można? – inny na to.

– Jak papieskiej bulli. Mieszkał jakiś czas w Sewilli i zarabiał rapierem tak, że jeno pozazdrościć. I nieraz pospołu z nim pod ołtarz i drzewko pomarańczowe się chadzało... Potem miał ponoć przygodę w Neapolu. Ktoś zginął.

– Mówią, że to stary wiarus, że we Flandrii wojował.

– Tak – Jaqueta ściszył nieco głos. – Społem z tym Aragończykiem, co tam śpi, i z chłopakiem... Ale on już wcześniej na wojnie bywał, pod Nieuwpoort i pod Ostendą.

– W ręku pewny?

– Do kroćset! A na domiar wszystkiego jeszcze przebiegły jak bazyliszek... – Tu Jaqueta poniechał na chwilę gadki, by za bukłak chwycić, bom usłyszał ciurkanie wina prosto w gardziel. – Jak na ciebie spojrzę tymi swoimi oczami, co jakby z lodu są uczynione, od razu możesz brać nogi za pas. Widziałem, jak siecze i jak tnie, pistolet w odzieniu mniejsze robi spustoszenie.

Znów nastąpiło krótkie milczenie, bo kompani łaskę swą winu okazać chcieli. Zmiarkowałem, że nasi zaciężni przyglądają się memu panu, który nadal siedział nieruchomo na rufie obok szypra, co sterem powodował.

– Naprawdę jest kapitanem? – zagadnął Sangonera.

– Raczej nie – odparł mu kompan. – Ale wszyscy wołają nań kapitan Alatryste.

– Zaiste, do gaduł nie należy.

– O, nie. On z tych, co to zamiast ozorem młócić, wolą to samo brzytwką czynić. A mogę przysiąc, że milczeć potrafi, ale bić się jeszcze lepiej... Jeden człek znajomy był z nim na neapolitańskich galerach, będzie już z dziesięć albo piętnaście lat, robili zwiad w Bosforze. I słyszałem, że Turczyn zaatakował, prawie wszyscy na pokładzie polegli, ale Alatryste i jeszcze tuzin naszych wycofali się, walcząc o każdą piędź, za czym siły odzyskali na mostku, jęli siec bisurmanów jak dzikie bestie, aż zabili albo ranili wszystkich co do jednego... I tak zdołali pokonać spory kawałek cieśniny, kiedy nareszcie fortuna im dopisała, bo dwie galery maltańskie wzięły ich na pokład. Inaczej kto wie, jak daleko by zapłynęli.

– Ma tedy człek ikrę – ozwał się któryś.

– Możesz waszeć być spokojny, jako żywo.

– A i w czepku urodzony.

– Tego akurat nie wiem. Teraz bez uchyby wiedzie mu się znośnie...

Skoro z łap królewskich nas oswobodził i grzecznym *noli me tangere*⁷⁰ obdarzył, sam snadź nie narzeka.

– Kim byli ci zamaskowani w szalupie?

– Zabij, nie wiem. Ale czuć było wysoko urodzonych. To pewno oni szafują tu złotem.

– A czarnulek?... To znaczy, ten safandula, co omal do wody nie wpadł.

– O tym to i na spowiedzi nic nie wydukam. Ale jeśli on z naszych, to ja się nazywam Luter.

Posłyszałem kolejne hausty i pełne ukontentowania beknięcia.

– Gadajcie, co chcecie, ale zacna to awanturka – ozwał się jeden po chwili. – I złoto jest, i przednia kompania.

Jaqueta zaśmiał się z cicha.

– Tak. Aleś słyszał acan, co pan dowódca był gadał. Pierwej zasłużyć się trzeba... I nie będzie to niedzielna przechadzka po głównej alei.

– W każdym razie – zawyrokował inny – mnie to odpowiada, jak Bóg na niebie. Za tysiąc dwieście reali wybrałbym się i jutrenkę na niebie w dyby wziąć.

– Jako i ja – wtrącił drugi.

– Krom tego, dobre triumfy w tej grze się objawiły: złote asy, czyściutkie jak słońko na niebie. Identyczne jak na talii, co ją mam w kieszeni.

Dobiegły mnie chichoty. Ci, co rachować umieli, już pod nosem dodawali to i owo.

– A suma jest już utwierdzona? – spytał Sangonera. – Czy całość podzielą między tych, co przeżyją?

I ponownie ozwał się stłumiony śmiech Jaquety.

– Tego przed wetami nikt nam nie wyjawi... W ten sposób wybornie zapobiec można, byśmy się w czas bitwy, z zamieszania korzystając, nawzajem nie pozabijali.

Horyzont różowił się za osłoną drzew, zza których wyraźnie przezierały już zarośla i miłe ogrody, niekiedy ku samej rzece schodzące. Poderwałem się wreszcie i omijając zaspane ciała, na rufę się udałem, do kapitana. Szyper, osobnik odziany w sztaamentową kapotę i spłowiały beret, odmówił,

gdy go winem częstował, w skórzanej flaszy dla pana mego przyniesionym. Wsparty łokciem o drążek steru, pilnie baczył, by stosowną odległość od obydwu brzegów utrzymywać, wiatr w żagiel zacnie łapać i pływające tu i ówdzie bale drzewne omijać. Lico miał bardzo od słońca ściągnięte, a słowa nijakiegom nie usłyszał, by z ust jego padło, ni przedtem, ni potem. Alatryste pociągnął łyk wina i jął przeżuwać skibkę chleba z wędzonym mięsem, com mu przyniósł. Sam zasię położyłem się z boku i przypatrywałem się, jak niebo coraz bardziej jaśnieje, zgoła z chmur wyzute. Tu na rzece wciąż jeszcze szaro było i niemrawo, a śpiących na pokładzie mężów nadal cień otulał.

– Co robi Olmedilla? – zapytał kapitan, zwrócony w stronę, gdzie leżał buchalter.

– Śpi. Całą noc z chłodu umierał.

Na twarzy mego pana zatańczył uśmieszek.

– Nienawykły.

Ja także się uśmiechnąłem. My, na ten przykład, byliśmy nawykli. On i ja.

– Pójdzie z nami na hukier?

Alatryste wzruszył lekko ramionami.

– Kto wie? – odparł.

– Trzeba go będzie pilnować – wymamrotałem z troską.

– Każdy niech sam siebie pilnuje. Jak przyjdzie pora, zajmij się sobą.

Zamilkliśmy, popijaniem wina zajęci. Mój pan przez dłuższą chwilę żuł jedzenie.

– Wyrosłeś – rzucił między jednym kęsem a drugim.

Spoglądał na mnie z zadumą, a ja poczułem, jak krew rozgrzewa mi delikatna fala ukontentowania.

– Chcę zostać żołnierzem – wypaliłem.

– Sądziłem, żeś pod Bredą miał już dosyć.

– Chcę. Tak jak mój ojciec.

Przestał przeżuwać, lubo jeszcze chwilę przyglądał mi się uważnie, za czym wskazał podbródkiem pokot na pokładzie uśpiony.

– Nie czeka cię wielka przyszłość – zawyrokował.

Znów czas jakiś nic nie gadaliśmy, kołysani przez rzeczny nurt. Krajobraz za drzewami jął z wolna kolorów nabierać, a cienie postradały swą dotychczasową szarość.

– Będzie, jak będzie – rzekł raptem Alatryste. – Jeszcze brakuje ci kilku lat, nim się zdołasz zaciągnąć pod sztandar. No i zaniedbaliśmy twoje nauki. Tedy począwszy od pojutra...

– Czytam książki – przerwałem mu. – Już całkiem zacnie piszę, umiem deklinować po łacinie i znam cztery działania.

– To nie wystarczy. Klecha Pérez to człek poczciwy i w Madrycie zajmie się tobą.

Ponownie zamilkł i obrzucił wzrokiem leżących. W promieniach wschodzącego słońca blizny na jego obliczu widać było jeszcze wyraziściej.

– Na tym świecie – ozwał się wreszcie – pióro czasem dalej sięga niżli rapier.

– Wielce to niesprawiedliwe – odparłem.

– Może.

Zwlekał, nim powiedział to słowo, i zdało mi się, że słyszę w jego głosie nutkę goryczy. Sam wzruszyłem ramionami pod kocem. W wieku szesnastu lat łatwo uwierzyć, że bez trudu dotrzesz wszędzie tam, gdzie przyjdzie potrzeba. I pies trącał Klechę Pereza, jeśli miał mieć w tym swój udział.

– Jeszcze nie nadeszło pojutra, panie kapitanie.

Wyrzekłem to niemal z ulgą, wyzywająco, ze wzrokiem wbitym w rzekę przed nami. Nie musiałem się odwracać, by wiedzieć, że Alatryste bacznie mi się przygląda. A kiedy wreszcie zwróciłem ku niemu swe oblicze, ujrzałem czerwone refleksy słońca w jego jasnych oczach.

– Słusznie gadasz – kiwnął głową, podając mi bukłak. – Jeszcze kawał drogi przed nami.





VIII. ŁAWICA W SANLÚCAR.



łonce świeciło już niemal pionowo, kiedyśmy minęli zajazd w Tarfii, w miejscu, gdzie Gwadalkiwir skręca na zachód i z dala widać już po prawej mokradła ziem Jej Wysokości Anny. Żyzne pola Aljarafe i bujnie porośnięte brzegi wedle Corii i Puebli z tyłu się ostały, ustąpiwszy miejsca piaszczystym wydmom, sosnowym zagajnikom i krzewom, spomiędzy których raz po raz wyskakiwał daniel albo dzik. Skwar narastał, nabrał wilgoci, na łodzi tymczasem wszyscy, ściśnięci jak śledzie w beczce, jęli związywać koce i rozpinać płaszcze, napierśniki tudzież kaftany. W świetle dnia lepiej widać było ich nieogolone gęby, szramy, brody i wąsiska, do których jakże pasowała licznie zgromadzona i pod ręką trzymana broń na skórzanych pasach i pendentach: rapiery, lewaki, topory i pistolety. Pobrukane odzienie i ciała zaniedbane skutkiem trudnych warunków, marnej nocy i podróży wydawały z siebie ostry, cierpki zapach, którym już był we Flandrii poznał. Zapach zbrojnych mężów. Zapach wojny.

Na stronie przygotowałem co nieco strawy społem z Sebastianem Coponsem i buchalterem Olmedillą. Nad tym ostatnim, lubo miłych wrażeń nie wzbudzał, przecie poczułem się w obowiązku opiekę roztoczyć wśród parafian podobnego autoramentu. Podzieliliśmy się winem i prowiantem, a

ja – mimo że ni wiarus z Hueski, ni urzędnik skarbu królewskiego za wiele (lub choćby mało zgoła) nie gadali – trzymałem się z nimi, bo mnie poczucie lojalności ku temu skłaniało. Z Coponsem dla miesięcy pospołu we Flandrii spędzonych, a z Olmedillą z uwagi na obecną sytuację. Kapitan Alariste zasię przez dwanaście mil podróży trzymał się na uboczu, cały czas wedle szypra na rufie, przysypiając jeno na krótkie momenty, a kiedy to czynił, zasłaniał oblicze kapeluszem, jak gdyby w obawie, że go ktoś na chrapaniu przyłapie – poza tym aliści oka ze swoich ludzi nie spuszczał. Po kolei każdemu się przyjrzał, może usiłując przeniknąć jego cnoty i ułomności i tą drogą poznać go lepiej. Baczenie dawał, jak jedzą, jak ziewają, jak śpią, jakich słów używają, gdy karty w kółeczku miętoszą, obstawiając niezarobione jeszcze pieniądze talią Guzmana Ramireza. Karbował w pamięci, który dużo, a który mało pije, który gada, który się przechwala, a który gębę na kłódkę trzyma. Wsłuchiwał się w bluźnierstwa Mańkuta Enriqueza i ogłuszający śmiech Mulata Campuzano, obserwował także nieruchomego Portugalczyka Saramago, co całą podróż z kamiennym spokojem spędził na lekturze, wyciągnięty na swym płaszczu. Byli wśród nich milczki, jak Kawaler z Illescas, marynarz Suárez albo Biskajczyk Mascarúa, był nieokrzesany wyrzutek Bartolo Cupamagna, co nikogo tu nie znał, a wszelkie próby nawiązania przezeń konwersacji po kolei spełzały na niczym. Byli zabawni i paradni w gębie, jak na przykład Pencho Jazgotek albo znany łajdak Juan Eslava. Ten osobliwie, zawsze wyśmienitym humorem obdarzony, nieodmiennie swym kamratom ze szczegółami powierzał wiedzę – osobiście przez niego wypróbowaną w praktyce, ma się rozumieć – na temat zbawienego wpływu na męskość sproszkowanego rogu nosorożca. Były także drażliwe typy, jak Ginesillo Nadobniś o gładkim obliczu, zagadkowym uśmiechu i groźnym wejrzeniu albo Andresito Pięćdziesiątka, spluwający przez zęby co chwila, lub wręcz

złośliwe, jak Śmiałek z Galeonów o gębie pokierszowanej bliznami, których bynajmniej nie pozostawił po sobie golibroda. Owóz łódź nasza płynęła w dół rzeki, a tymczasem jeden opowiadał o swych wyprawach na niewiasty albo po złoto, drugi klął w żywe kamienie, rzucając kości dla zabicia czasu, a jeszcze inny sypał anegdotami prawdziwymi i zmyślonymi ze swego życia żołnierskiego, gdzie miejsce i na bitwę w wąwozie Roncesvalles się znalazło, i na parę kampanii Viriatusa⁷¹. A wszystko to, rzecz jasna, okraszone mnogimi „do diaska”, „jakem taki owaki”, rodomontadami⁷² i hiperbolami.

– Na rany Chrystusa, klnę się, zem stary chrześcijanin, krwi tak czystej i szlachetnej jak sam nasz król – posłyszałem zapewnienia jednego.

– A ja mam lepszą jeszcze – odparł mu na to drugi. – Nie tajemnica to, że król w połowie jest Flamandem.

Tak przysłuchując się ich gadkom, mógłby kto pomyśleć, że ma do czynienia z najdorodniejszymi synami Aragonii, Nawarry i obojga Kastylii⁷³. A przecie przechwałki owe były wszechobecne jak moneta obiegowana. A nawet na tak ograniczonej przestrzeni i w tak skromnej kompanii jak nasza zapalczywie podkreślano różnice między różnymi ziemiami Królestwa, jedni trzymali się z dala od drugich, Estremadurczyk lżył Andaluzyjczyka, a Biskajczyk Walencjanina, wytykając sobie nawzajem słabostki krajanów przeciwnika, i jedna bodaj rzecz zdołała ich zjednoczyć, a mianowicie nienawiść do Kastylijczyków, którą wyrażali grubymi drwinami i krotochwilami, a żaden nie poniechał owej przekomarzanki, dopóki sam nie wypadł w oczach innych na stokroć zaciejszego, niżli był w istocie. Albowiem cała ta pośpiesznie tu przeze mnie naszkicowana hałastra stanowiła wszak Hiszpanię w miniaturze. Powaga, honor i duma narodowa, cnoty opiewane przez Lopego, Tirsa i innych poetów w komediach, odeszły już w przeszłość wraz z minionym

stuleciem i żyły li tylko na deskach teatru w podwórcach. A nam się ostały jeno buta i okrucieństwo. Zważywszy przeto, że każdy tu w najwyższym poważaniu miał własną osobę, a nikczemne obyczaje pogardliwie wytykał innym prowincjom i krajom, łącno zmiarkować, że słusznie nas darzono nienawiścią w całej Europie i połowie szerokiego świata.

Co się zaś tyczy naszej ekspedycji, niosła w bagażu wszelkie możliwe przywary, a cnota nie bardziej tu pasowała, niżli czartu harfa, aureola i białe skrzydła. Ale lubo łajdacy z nich byli, fanfaroni i barbarzyńcy, atoli jedną cechę nasi towarzysze wspólną mieli: płynęli z chciwości po obiecane złoto, pendenty, pasy i pochwy mieli wybornie nasmarowane, a broń ich lśniła wspaniale, gdy wysuwali ją, by naostrzyć albo ochędożyć jeszcze lepiej w promieniach słońca. Bez uchyby zasię stojący na ich czele opanowany i chłodny kapitan Alatryste, nawykły do takiej kompanii i takiego żywota, porównywał tych tutaj z innymi, których zdołał już poznać w innym miejscu i czasie. I tą miarą starał się zgadywać albo przewidzieć, jak każdy z nich zachowa się, gdy zmrok zapadnie. A mówiąc wprost – komu może zaufać, a komu nie.

Było jeszcze dobrze jasno, kiedyśmy minęli ostatni wielki zakręt rzeki, na brzegach której piętrzyły się białe góry soli. Śród piaszczystych łąch i gajów sosnowych dojrzeliśmy port Bonanza, gdzie w zatoczce stało już siła galer i innych statków. W szarzejącej oddali zasię majaczyły wieża katedry i najwyższe domostwa Sanlúcar de Barrameda. Naówczas marynarz zrzucił żagiel, a szyper posterował łodzią ku przeciwnemu brzegowi, trzymając się prawego skraju szerokiego nurtu, co jakie półtorej mili dalej wpadał już do szerokiego oceanu.

Wysiedliśmy, nogi mocząc, by dostać się na wielką wydłużoną, która wrzynała się swym piaszczystym jęzorem głęboko w rzekę. Na nasze spotkanie wyszło trzech ludzi, co zaczęli się pod pobliskim zagajnikiem.

Odziani byli z myśliwska w bure stroje, aliści ledwie się zbliżyli, zmiarkowaliśmy, że ich broń zgoła nie jest na króliki. Jeden, co wyglądał na dowódcę, o rudych wąsach i żołnierskich ruchach, których gminny przyodziewek nie był w stanie ukryć, został rychło rozpoznany przez buchaltera Olmedillę. Zaraz też obydwaj odeszli na stronę, by uciąć pogawędkę, my zaś jęliśmy się gromadzić w cieniu sosen. Leżeliśmy tak dłuższą chwilę na piasku przykrytym suchymi igielkami i gapiliśmy się na Olmedillę, który gadał z tamtym i raz za razem głową beznamiętnie kiwał. Chwilami rozmówcy rzucali okiem na spore wzniesienie, wypiętrzone nieco niżej, jakie pięćset kroków w dół rzeki – owóż ów rudowąs snadź wiele o tym miejscu miał do powiedzenia, bo prawił coś ze szczegółami. Nareszcie i Olmedilla pożegnał się z szemranymi myśliwymi, którzy badawczymi spojrzeniami nas obrzuciwszy, odeszli w głąb sosnowego lasu, buchalter zaś ku nam powrócił, a w tym piaszczystym krajobrazie wyglądał jakoby wielka, ruchoma plama inkaustu.

– Wszystko jest tak, jak ma być – rzekł.

Zaraz też wziął na bok mego pana i z nim teraz po cichu deliberował. Alatryste co rusz niechał patrzenia na swe buty i przyglądał się nam z oddali. W końcu Olmedilla przerwał i widziałem, jak kapitan zadaje mu dwa pytania, a tamten dwukrotnie kiwa na potwierdzenie głową. Za czym ukucnęli, Alatryste dobył lewaka i jął nim rysować coś na ziemi, a za każdym razem, gdy wzrok na buchaltera podnosił i pytał go o coś, ten nieodmiennie przytakiwał jego słowom. Trwało to dobrą chwilę, po której kapitan zastygł i trwał jakiś czas w zadumie. Wreszcie wrócił i powiedział nam, jak mamy szturm na „Niklaasbergen” przypuścić. Objasniał to w krótkich słowach, bez zbędnych upiększeń ni komentarzy.

– Dwie grupy, w szalupach. Pierwsza zaatakuj od strony kasztelu, starając się mnóstwo hałasu czynić. Ale nijakiej strzelaniny nie chcę.

Pistolety ostawiamy tutaj.

Zaszemrała kompania, ten i ów zamienił niekontente spojrzenia. Jeden strzał mógł zgładzić przeciwnika łatwiej niżli rapier, a na domiar wszystkiego z większej odległości.

– Bić się nam przyjdzie – rzekł kapitan – po ciemku, w nieładzie, tedy nie chcę, żebyśmy się sami powybijali jak kaczki... Poza tym jeśli któremuś przedwcześnie wyrwie się z pistoletu, ci z galeonu wezmą nas pod arkebuzy, nim na pokład wejdziemy.

Tu urwał i popatrzył nader spokojnie na całe zgromadzenie.

– Kto z waszmościów służył pod królewskim sztandarem?

Niemal wszyscy łapy unieśli. Alatryste, zatknąwszy kciuki za pas, zlustrował ich poważnym wzrokiem. Gdy się ozwał, głos miał równie lodowaty, jak spojrzenie.

– Mam na myśli takich, co naprawdę byli żołnierzami.

Niejeden zawahał się i nieswojo rzucił okiem z ukosa na innych. Paru opuściło ręce, a inni poszli w ich ślady dopiero, gdy Alatryste na nich oczy swe skierował. Krom Coponsa do wojskowej przeszłości przyznali się jeszcze Juan Jaqueta, Sangonera, Mańkut Enríquez i Andresito Pięćdziesiątka. Alatryste wskazał jeszcze Eslavę, Portugalczyka Saramago, Ginesilla Nadobnisia i marynarza Suareza.

– Ta dziewiątka pójdzie od dziobu. Wejdziecie dopiero wtedy, kiedy grupa z kasztelu będzie już toczyć walkę, ażebyśmy załogę wzięli z zaskoczenia od tyłu. Macie wejść cichaczem po łańcuchu kotwicznym, wypchnąć pokład od spodu i spotkać się z nami na rufie.

– Czy każda grupa będzie miała dowódcę? – zagadnął Pencho Jazgotek.

– Owszem. Sebastián Copons na dziobie, ja na rufie, a pod moimi rozkazami będzie wasza miłość oraz panowie Cupamagna, Campuzano, Guzmán Ramírez, Mascarúa, Kawaler z Illescas i Śmiałek z Galeonów.

Zerknąłem na jednych i na drugich, zrazu skonfundowany. Co do gliny, z jakiej każda grupa ulepiona była, trudno mówić o sprawiedliwym podziale. Ale rychło zmiarkowałem, że Alatryste najlepszych powierzył dowództwu Coponsa, sobie przeznaczając tych mniej posłusznych i mniej wiarygodnych. Może krom Campuzana, a także Bartola Cupamagny, który – lubo nie zuchem, a podlizuchem raczej mógł się mienić – ani chybi na oczach kapitana sromałby się walczyć mizernie. To oznaczało, że oddział dziobowy miał rozstrzygnąć o powodzeniu szturmie, a rufowy jako mięso armatnie najcięższe miał wziąć na siebie zatrudnienia. Jeżeli zaś niepowodzenie miało nas spotkać albo grupa dziobowa zbyt się spóźniała, ci z rufy siła ludzi musieliby postradać.

– Wedle planu – ciągnął Alatryste – trzeba nam przeciąć linę kotwiczną, żeby statek zdryfował ku brzegowi i osiadł na jednej z piaszczystych ławic na wprost cypla San Jacinto. Gwoli tego dzieła grupa dziobowa pójdzie w dwa topory zaopatrzona... Wszyscy pozostajemy na pokładzie do czasu, aż statek zaryje w dno ławicy... I dopiero wówczas schodzimy na ląd, do którego stamtąd można dotrzeć w bród, woda jest po pierś, a resztę pozostawiamy w rękach innych ludzi, którzy już powiadomieni zostali.

Spojrzeli po sobie. Z sosnowego zagajnika dobiegało jednostajne szemrzenie cykad. Krom bzyku much, co nas rojami całymi osaczały, jedyny był to dźwięk, jaki dało się słyszeć. Każdy w duchu rzecz całą rozważał.

– Czy opór silny stawiać będą? – zapytał Juan Jaqueta, przygryzając w zadumie bokobrody.

– Nie wiem. Niemałego spodziewać się należy.

– Ilu heretyków jest na pokładzie?

– To nie heretycy, jeno flamandzcy katolicy, ale wszystko jedno. Rachujemy, że będzie ich nie więcej niżli dwudziestu, trzydziestu, lubo

niejeden wyskoczy do wody... Jedna rzecz jest ważna: dopóki choćby jeden członek załogi żyw się ostał, dopóty żaden z nas nie może słowa po hiszpańsku powiedzieć. – Alatryste zerknął na posągową, pociągłą postać Portugalczyka Saramago, który przysłuchiwał się uważnie. Książka, jak zwykle, wystawała tamtemu z za pazuchy. – Wybornie by było, gdyby ten tam mościpan zakrzyknął co w swojej mowie, a jeśli kto zna jakieś słowa angielskie albo flamandzkie, też może językowi pofolgować... – Kapitan pozwolił sobie na słaby uśmieszek pod wąsem. – Wedle planu udawać mamy piratów.

To ostatnie poprawiło humory, śmiechy się rozległy, a najemni popatrzyli po sobie z rozbawieniem. W tym zgromadzeniu podobna supozycja nie wyglądała zgoła na odległą od rzeczywistości.

– A co z tymi, którzy do wody nie wyskoczą? – dopytywał się Mascarua.

– Żaden do suchego piasku żyw nie dotrze... Im więcej uda nam się wprzód przepłoszyć, tym mniej nam ostanie do zgładzenia.

– A jak kto ranny będzie albo pardonu wołać będzie?

– Tej nocy nie ma pardonu.

Ten i ów zagwizdał przez zęby, niektórzy zaklaskali z ukontentowania, rozległy się ciche śmiechy.

– A co z naszymi rannymi? – spytał Ginesillo Nadobniś.

– Zejdą z nami, a opatrzeni zostaną na łądzie. Tam też wszyscy zapłatę otrzymamy i każda srocza za swoje morze leci.

– A jeśli ktoś z naszych padnie?... – Śmiałek z Galeonów uśmiechnął się pokiereszowaną bliznami gębą. – Dostajemy to, co z góry przewidziane, czy dzielimy wszystko między żywych?

– Okaże się.

Zawadiaka po kamratakach się rozejrzał i jeszcze szerzej się uśmiechnął.

– Przydałoby się wiedzieć to już teraz.

Alatriste nader powoli ściągnął z głowy kapelusz, przygładził dłonią włosy, za czym włożył go z powrotem. Sposób, w jaki patrzył na tamtego, nie pozostawiał nijakiej wątpliwości.

– A komuż to by się przydało?

Mówił, przeciągając sylaby i prawie szeptem, z uprzejmością, której nie dowierzałoby nawet ufne niemowlę. A co dopiero Śmiałek z Galeonów – snadnie pojął rzecz całą, bo wzrok opuścił i słowa już nie rzekł. Tu buchalter Olmedilla podszedł do kapitana i coś mu do ucha zagadał. Mój pan przytaknął.

– Ten tu jegomość przypomniał mi właśnie o jednej ważnej rzeczy... Nikt, pod jakimkolwiek pozorem – Alatriste przesuwając swój lodowaty wzrok po kolei po wszystkich zgromadzonych – absolutnie nikt nie będzie schodził do ładowni statku. Nijakich łupów osobistych ani podobnych korzyści nie będzie.

Sangonera uniósł rękę zaintrygowany.

– A jak ktoś z załogi na dół pierzchnie?

– Gdyby się tak stało, ja wskażę tego, co się nim zajmie.

Śmiałek z Galeonów skrobał się z zadumą po przetłuszczonej czuprynie, upiętej na karku w grubą kitę. Wreszcie wyrzekł to, co wszystkich nurtowało.

– A cóż takiego jest w owym tabernakulum, czego zobaczyć nam nie wolno?

– A to nie waszmościna sprawa. Takoz i nie jest to sprawa moja. Mam nadzieję, że nie trzeba mi będzie przypominać tego nikomu.

Tamten zaśmiał się butnie.

– Jakbym słyszał śmiertelne groźby...

Alatriste skierował nań baczne spojrzenie.

– Takie właśnie słyszysz.

– Do kroćset, tego już za wiele... – Zabijaka kiwał się wyzywająco z nogi na nogę. – Jakem ten, którym jestem, zapamiętaj sobie acan, że my tu nie jesteśmy stadkiem baranków, co każdą pogrózkę potrafią ścierpieć. Ja i kamraci moi, co do jednego...

– Co tam wasza miłość ścierpi albo nie ścierpi, nie obchodzi mnie doprawdy zgoła nic – nader oschłym tonem przerwał mu Alatryste. – Taka jest zasada, wszyscy zostali uprzedzeni i nie ma już kroku w tył.

– A jeśli przestało nam się to podobać?

– Bardzo buńczucznie brzmi ta liczba mnoga... – Kapitan przesunął dwoma palcami po wąsach, za czym wskazał pobliski zagajnik. – Atoli co do waszej pojedynczej miłości, z rozkoszą podyskutuję tam, w sosenkach. We dwóch.

Zuchwalec milcząco szukał wsparcia wśród kompanów. Jedni spoglądali na niego z niemrawą przychylnością, inni zaś nie. Tymczasem, zmarszczywszy swą wielgachną brew, Bartolo Cupamagna powstał i przybliżył się z marsową miną, by kapitanowi ochroną służyć. I ja także za plecy sięgnąłem, by sztylet zmacać. Większość zgromadzonych albo odwróciła wzrok, albo uśmiechała się niepewnie, albo wpatrywała się w dłoń Alatrystego, która właśnie nader spokojnie gładziła rękojeść rapiera. Żaden mierziaczki nie odczuwał na myśl, że oto świadkiem będzie wybornego pojedynku, w którym kapitan wystąpi w roli mistrza fechtunku. Ktokolwiek znał jego życiorys, zaraz oświecał pozostałych. A i Śmiałek z Galeonów, co na nikczemnego pyszałka wychodził i strojąc się w piórka przedniego rzeźnika, wielce nosa zadzierał – na taką chełpliwość nawet ta czereda krzywo patrzyła – nie był jakoś osobliwie lubiany.

– Porozmawiamy sobie o tym kiedy indziej – zapowiedział w końcu zuchwalec.

Przedeliberował snadź sobie wszystko, nie chciał atoli utracić twarzy. Niektórzy skrzywili się, zawiedzeni, albo tręcali się łokciami. Szkoda. Sosenek tego wieczoru nie będzie.

– Porozmawiamy – odparł łagodnie Alatryste – kiedy tylko waszmość zechcesz.

Nikt już więcej nie dyskutował, o nic się nie dopraszał ani nawet pozorów takich czynić nie chciał. Wszystko się uspokoiło, Cupamagna przegnał z czoła mars i każdy pokwapił się do swoich zajęć. I wtedy ujrzałem, jak Sebastián Copons zdejmuje powoli dłoń z kolby pistoletu.

Cała chmara much buczała nad nami i na głowach nam siadała, kiedyśmy ostrożnie wyjrżeli spoza wielkiej wydmy. Zachodzące słońce pięknie oświetlało przed naszymi oczyma całą ławicę Sanlúcar. Od zatoczki Bonanza po o jaką milę od nas leżący cypel Chipiony, gdzie Gwadalkiwir otwiera się ku morzu, rzeka wyglądała jak las ustrojonych masztów i żagli, hukierów, galeasów, karawel, statków małych i dużych, żaglowców oceanicznych i przybrzeżnych maleństw, co kotwiczyły wśród piaszczystych łach albo poruszały się w dół i w górę rzeki. Widok ten roztaczał się zresztą dalej na wschód w kierunku Roty i ku Zatoce Kadyksu. Jedne czekały na przyptyw, by do Sewilli ruszyć, inne wyładowały towary na kutry pomocnicze albo gotowały się, by zakończyć podróż w Kadyksie, jak tylko urzędnicy królewscy wejdą na pokład, ażeby załadunek sprawdzić. Po drugiej stronie podziwialiśmy syte miasteczko Sanlúcar, rozłożone na lewym brzegu, dostatnie domostwa ku samej wodzie schodzące i starą dzielnicę za murami na szczycie wzgórza, zwieńczoną wieżami zamku, pałacem diuka, katedrą i gmachem dawnej komory celnej, gdzie tylu ludzi niegdyś wzbogaciło się dzięki takim dniom jak ten. W wyłocnym promieniami słonecznymi dolnym mieście i wśród wyciągniętych na piach

łódek rybackich roilo się od ciżby, a na wodzie od żaglowych czółen, co w tę i z powrotem kursowały między brzegiem a dużymi statkami.

– Tam stoi „Virgen de Regla” – powiedział buchalter Olmedilla.

Mówił ściszym głosem, jak gdyby lękał się, że go po drugiej stronie rzeki kto usłyszy, i ocierał pot z oblicza przemokniętą chusteczką. Jeszcze bledszą miał kompleksję niżli kiedykolwiek. Wędrówki i czołganie się po wydmach i krzakach nie leżały w jego naturze, już ledwo zipał od wysiłku i gorąca. Jego powalany inkaustem palec wskazywał wielki galeon, zakotwiczony między Bonanzą i Sanlúcar wedle sporej łachy, którą odpływ właśnie odsłaniał. Dziobem zwrócony stał ku południu, pod wiatr, który delikatnie muskał powierzchnię wody.

– A tamten – dodał, pokazując inny, bliższy statek – to „Niklaasbergen”.

Podążyłem wzrokiem za spojrzeniem Alatrísteego. Spod ronda, nisko na oczy spuszczonego dla osłony przed słońcem, kapitan uważnie przyglądał się niderlandzkiemu galeonowi. Nawa stała nieco z boku, bliżej naszego brzegu, nieopodal cypla San Jacinto i strażnicy, co się tam wznosiła, by ostrzegać przed piratami berberyjskimi, niderlandzkimi i angielskimi. „Niklaasbergen” był czarnym od smoły hukierem, żagle miał zwinięte na rejach trzech masztów. Krótki i szkaradny, zdawał mi się statkiem opornym, wysoko uniesioną rufę miał pomalowaną pod latarnią na biało, czerwono i żółto. Ot, statek, jakich wiele, frachtowiec, który nijakiej zgoła uwagi nie zwracał. Dziobem takż był na południe zwrócony, a otwory działowe miał otwarte gwoli przewietrzenia dolnego pokładu. Na górnym ruch widzieliśmy znikomy.

– Stał na kotwicy tuż wedle „Virgen de Regla”, dopóki świt nie nadszedł – objaśnił Olmedilla. – Potem przestawił się w to miejsce.

Kapitan lustrował baczenie każdy szczegół krajobrazu niby jastrząb, który zaraz na oślep runie w dół, by zdobycz w szpony pojmać.

– Całe złoto mają na pokładzie? – zapytał.

– Jednej części brakuje. Nie chcieli zbyt blisko drugiego statku się trzymać, bo to by podejrzenia wzbudziło... Resztę przewiozą po zmroku, szalupami.

– Ile czasu mieć będziemy?

– Kotwicy nie podnoszą aż do jutra, czekają na szczyt przypływu.

Olmedilla wskazał zrujnowaną kamienną szopę poławiaczy tuńczyków, widoczną na brzegu. Nieco dalej widać było dużą łacę, odsłoniętą przez odpływ.

– To tam – ozwał się. – Nawet przy wysokiej wodzie można się dostać w bród na sam brzeg.

Alatriste jeszcze bardziej oczy zmrużył. Czujnie obserwował czarne skały, co trochę dalej w wodzie sterczały.

– To mielizna zwana Cabo – powiedział. – Dobrze ją pamiętam... Galery zawsze starały się ją omijać jak najdalej.

– Nie zdaje mi się, abyśmy się mieli nią kłopotać – odparł Olmedilla. – O tej porze przychylne nam są pływy, wiatr i nurt rzeki.

– Tym lepiej. Bo jeżeli zaryjemy kilem w kamienie zamiast w piach, pójdziemy w te pędy na dno... Pospołu ze złotem.

Odczołgaliśmy się z powrotem, starając się głów nie unosić, i rychło stanęliśmy przed resztą kompanii. Leżeli na płaszczach i kapotach z właściwą temu rzemiosłu obojętnością i czekali. I lubo nikt niczego nie rzekł, widać było, że się byli instynktownie podzielili już na te dwie grupy, które wcześniej zostały im przypisane na czas szturmu.

Słońce pierzchało za sosnowy zagajnik. Alatriste siadł na płaszczu, dobył flaszki z winem i haust pociągnął. Ja swój koc rozciągnąłem na ziemi wedle Sebastiana Coponsa. Aragończyk drzemał na plecach, z obliczem chustką nakrytym gwooli ochrony przed muszkami, a dłonie skrzyżowane

trzymał na rękojeści sztyletu. Olmedilla podszedł do kapitana. Palce miał splecione i młynka kciukami wywijał.

– Ja też pójdę – rzekł.

Przypatrywałem się, jak Alatryste zerka nań badawczo, buklaka od ust nie odejmując.

– To nie jest przednia myśl – odparł po chwili.

Pobladła skóra, wąsiki i bródka zmierzwiona skutkiem podróży sprawiały, że buchalter jawił się jako człek nader delikatny. Atoli zęby miał zaciśnięte z uporem.

– To ma powinność – nalegał. – Jestem królewskim urzędnikiem.

Kapitan trwał czas jakiś w zadumie, ocierając wino z wąsów wierzchem dłoni. Nareszcie flaszkę odstawił i wyciągnął się na piasku.

– Jak waszmość wolisz – wypalił. – W sprawy powinności nigdy się nie mieszam.

Znów milczał przez moment z podejrzliwą miną, za czym wzruszył ramionami.

– Pójdiesz waszmość z grupą dziobową – zakonkludował.

– A czemu nie z waszą miłością?

– Nie pakujmy wszystkich ptaszków w to samo gniazdo.

Olmedilla rzucił mi spojrzenie, które wytrzymałem bez mrugnięcia.

– A chłopak?

Alatryste prześliznął się po mnie wzrokiem, niby to niedbale, za czym rozpiął klamrę pasa z rapierem i lewakiem i zwinął go tak, że broń znalazła się w środku. Wsunął całość pod złożony koc, co mu za poduszkę służył, i rozsznurował kaftan.

– Íñigo idzie ze mną.

I położył się, kapeluszem twarz nakrywszy, gotów zająć się jeno odpoczynkiem. Olmedilla krzyżował palce, podnosił na kapitana wzrok i

znów wywijał dłonie. Nie był już zgoła tak obojętny jak zazwyczaj, jak gdyby tłuła mu się po łbie myśl, której nie śmiał wypowiedzieć.

– A co będzie – odważył się nareszcie – jeżeli grupa dziobowa się opóźni albo nie zdoła oczyścić na czas pokładu?... Chodzi mi o to... No... Jeżeli, kapitanie, coś się stanie waszmości...

Alatriste ani drgnął pod kapeluszem, co mu lico okrywał.

– W takim razie – odparł – „Niklaasbergen” nie będzie już moją sprawą.

Usnąłem. Jak po tylekroć wcześniej we Flandrii przed wymarszem albo bitwą, zamknąłem powieki i spożytkowałem resztę czasu na to, by siły odzyskać. Zrazu ogarnął mnie niewyraźny półsen, co chwila odmykałem oczy i widziałem ostatnie blaski odchodzącego dnia i ciała uspione wokół, słyszałem oddechy i chrapanie, ciche pogwarki, rzucałem też okiem na nieruchomą postać kapitana, który nieopodal leżał z kapeluszem na twarzy. Z czasem senność coraz silniejsza mnie nachodziła, aż nareszcie odpłynąłem po ciemnych, leniwych wodach przez przestwór morza najeżonego niezliczonymi żaglami po sam widnokrąg. W końcu ukazała mi się Angélica de Alquézar, nie pierwszy to raz. I ponownie zanurzyłem się w błękicie jej oczu, ponownie uczułem dotyk ust jej na mych wargach. Rozglądałem się, czy znajdę kogo, komu mógłbym ogłosić całe moje szczęście, i we mgle, spowijającej jakiś flamandzki kanał, spostrzegłem cienie mego ojca i kapitana Alatriste. Pokwapiłem się ku nim, chlapiąc błotnistą wodą, w sam czas, by rapiera dobyć i czoło stawić wojsku uszykowanych widm, co z grobów wychodziło, poległych żołnierzy w zardzewiałych zbrojach i morionach, z bronią zaciśniętą w kościstych dłoniach. I gdy tak spoglądali na nas z czeluści pustych oczodołów, usta otwarłem, chcąc bezgłośnie wykrzyknąć słowa, które nijakiego sensu już nie miały, bo je czas po kolei z niego ogołacał.

Zbudził mnie kapitan Alatryste, klepiąc mnie dłonią po ramieniu. „Już pora” – szepnął bardzo cicho, niemal muskając mi ucho wąsami. Otwarłem oczy. Noc już zapadła, nikt ognia nie rozpałał, żadnego światła nie było. Księżyc bliski był nowiu, mizerny i bardzo skąpo blaskiem szafował, ale wystarczająco, bym mógł dostrzec zarysy czarnych postaci, co się wokół mnie krzątały. Słyszałem chrzęst broni w pochwach, trzask zapinanych pasów i kaftanów, krótkie zdania rzucane pod nosem. Zaciężni poprawiali na sobie odzienie, zmieniali kapelusze na chusty i gałgany na czołach obwiązywane i owijali broń szmatami, żeby przy lada zderzeniu hałasu zdradzieckiego nie wzniecić. Wedle kapitańskiego rozkazu wszyscy zostawili na miejscu pistolety, obok pozostałego dobytku. „Niklaasbergen” miał być zaatakowany jeno bronią białą.

Po omacku otwarłem toból z naszymi ubraniami i wbiłem się w mój nowy napierśnik łosiowy, wciąż wystarczająco twardy i gruby, by wyborną ochronę przed wrażliwymi sztychami zapewniać. Za czym mocno zawiązałem espadryle, przymocowałem sztylet do pasa sznurkiem obwiązanym wokół rękojeści i przytroczyłem pendent z rapierem sewilskiego strażnika. Wokół mnie pito ostatnie krople wina, sikano, by ciałom pofolgować, szeptano. Alatryste i Copons pochyłili ku sobie głowy i Aragończyk ostatnie otrzymywał pouczenia. Gdym o krok się cofnął, wpadłem na buchaltera Olmedillę, który snadź rozpoznał mnie od razu, bo klepnął mnie szybko w plecy. U tak szorstkiego typu mogło to uchodzić bodaj za przejaw żywego afektu. Zmiarkowałem, że on też ma za pasem rapier.

– Idziemy – powiedział Alatryste.

Ruszyliśmy, grzęznąć w suchym piachu. Niektóre z cieni, co szły obok mnie, zdołałem dopasować do imion i przezwisk: chudą i wysoką postać Portugalczyka Saramago, krępą Bartola Cupamagno, drobną Sebastiana

Coponsa. Ktoś żart szeptem rzucił, na co rozległ się zduszony śmiech Mulata Campuzany, a zaraz potem przyduszony rozkaz kapitana, by wszyscy zamilkli. Poskutkowało, nikt się więcej nie odezwał.

Gdyśmy mijali zagajnik sosnowy, dobiegło nas rzenie muła. Kiedym zerknął tam zaintrygowany, dojrzałem skryte wśród drzew wierzchowce i stojące przy nich niewyraźne zarysy ludzkich postaci. Ani chybi byli to ludzie, którzy potem, kiedy już galeon stanie na ławicy, wezmą się za przenoszenie złota. Jak gdyby na potwierdzenie mych domysłów trzech ludzi wychynęło nieco z lasu, zaraz też Olmedilla i kapitan podeszli do nich na poufną pogawędkę. Zdało mi się, że rozpoznaję rzekomych myśliwych, co się byli po południu pojawili. Rychło zresztą znikli, Alatryste rzucił kolejny rozkaz i wznowiliśmy marsz. Teraz wspinaliśmy się stromym zboczem rozległej wydmy, grzęznąc w niej po kostki, i całą kolumnę łatwiej było dostrzec na jasnym tle piasku. Kiedyśmy dotarli na szczyt, dobiegł nas z oddali ryk morza, a bryza owionęła nam policzki. Przed nami rozpościerała się czarna płachta, wśród której na podobieństwo gwiazd na firmamencie jaśniały punkciki latarni na zakotwiczonych statkach. Można by pomyśleć, że to niebo odbija się w wodzie. A dalej, na drugim brzegu, jaśniały światła Sanlúcar.

Zeszliśmy na plażę, piach tłumił nasze kroki. Za mymi plecami głos Portugalczyka Saramago deklamował po cichu:

Porém eu, cos pilotos, na arenosa Praia, por vermos em que parte estou,
Me detenho em tomar do Soi a altura E compassar a universal pintura... ⁷⁴

Ktoś zapytał, co to jest, u licha, na co Portugalczyk z niezmaconym spokojem odrzekł swym wyuczonym akcentem i przeciągając głoski s, że to Camões, że świat nie kończy się na tych sakramenckich Lopach i Cervantesach, że on przed bitwą zawsze recytuje to, co mu w kiszkach gra,

a jak komuś nie podobają się *Luzytanie*, to chętnie takiego sztyletem nauczy moresu i jeszcze jego taką owaką matulę na dokładkę.

– Mało nas było, jeszcze Tag musiał swój dać pomiot⁷⁵ – mruknął ktoś.

Tu ucichły komentarze, Portugalczyk do swych oktav powrócił, a my wszyscy w dalszą ruszyliśmy drogę. Wedle więcierzy w wodzie zastawionych czekały na nas dwie szalupy, a w każdej z nich jeden człek. Ustawiliśmy się w szyku na brzegu.

– Moja grupa do mnie – rzekł Alatryste.

Był bez kapelusza, miał na sobie bawoli napierśnik, a za pasem rapier i lewak. Ludzie w mig jęli się rozdzielać na grupy wedle wcześniejszej umowy. Rozległy się ciche pożegnania, słowa otuchy, jeden czy drugi żarcik i zwyczajne w takich razach przechwałki co do liczby dusz, jakie każdemu przyjdzie z powłoki cielesnej uwolnić. Aliści ten i ów źle swój niepokój taił, wpadali jeden na drugiego, nie zabrakło i „do kroćset”. Sebastián Copons przeszedł mimo wraz ze swym oddziałem.

– Daj mi chwilę – rzekł mu kapitan szeptem – ale nie za długą.

Tamten skinął głową w milczeniu, jak to miał we zwyczaju, i zastygł na brzegu, gdy jego ludzie ładowali się do szalupy. Na końcu wsiadł do niej buchalter Olmedilla w czarnym odzieniu, które nocą zdawało się czarniejsze niżli kiedykolwiek. Bohatersko wlaźł do wody, a reszta pomogła mu dostać się na pokład łodzi, bo mu się rapier między nogi zaplątał.

– I zadbaj też o niego, jak możesz – rzekł Alatryste do Coponsa.

– Pies go trącał, Diego – burknął Aragończyk, obwiązując sobie głowę chustą. – Za dużo kłopotów jak na jedną noc.

Alatryste zaśmiał się cicho przez zęby.

– Kto by przypuszczał, co?... Wyrzynać Flamandów w Sanlúcar.

Copons chrząknął.

– Za jedno. Jeśli mam wyrzynać, miejsce nie odgrywa roli.

Grupa rufowa też już mościła się w szalupie. Dołączyłem do nich, zmoczyłem stopy, przesadziłem nogę przez nadburcie i usadowiłem się na ławeczce. Nie minęła chwila, gdy i kapitan był też z nami.

– Do wiosła – rzucił.

Wsunęliśmy sznurki w dulki i jęliśmy wiosłować, oddalając się od brzegu. Marynarz siedział na rufie i sterował w kierunku pobliskiego światełka, co się odbijało w pomarszczonej od lekkich podmuchów wiatru wodzie. Ci z drugiej łodzi trzymali się nieopodal, z największą ostrożnością zanurzając i wysuwając pióra z rzeki.

– Powoli... – powiedział Alatryste. – Powoli.

Wsparłszy stopy o ławkę przede mną, گیاłem grzbiet obok Bartola Cupamagny, by zaraz potem prostować się przy kolejnym krzepkim machnięciu. Na koniec każdego ruchu zerkałem w górę, ku gwiazdom wyraźnie skrzącym się na sklepieniu niebieskim. Gdy się z kolei pochylałem do przodu, zerkałem czasem poza siebie, pomiędzy głowami kompanów. Latarnia galeonu przybliżała się coraz bardziej.

– Tak czy owak – mamrotał Cupamagna przy swoim wiosle – od galer się nie wywinąłem.

Druga szalupa jęła się od nas oddalać, a wraz z nią szczupła postać Coponsa, prężąca się na dziobie. Rychło też całkiem pochłonęła ją ciemność i teraz słyhać było raptem odgłos ich wiosłowania. A chwilę później i to się zatarło. Wietrzyk większym teraz chłodem przenikał, woda falowała lekko, bujając naszą łodzią, skutkiem czego pilniejsze baczenie dawać nam przyszło na rytm naszych ruchów.



Od potężnej rufy dzieliło nas mniej niżli dwadzieścia łokci.

Gdyśmy połowę drogi osiągnęli, kapitan kazał nam się przegrupować, ażeby każdy znajdował się w należytym miejscu w chwili, gdy trzeba będzie dokonać abordażu. Pencho Jazgotek zajął moje miejsce, a Mascarúa usiadł tam, gdzie wcześniej był Cupamagna.

– Cicho i bardzo ostrożnie – przypomniał Alatryste.

Byliśmy już niemal przy samym galeonie. Teraz z większą wyrazistością dostrzegałem szczegóły jego mrocznej, masywnej bryły i odcinające się od nocnego nieba maszty. Latarnia na kasztelu zapalona wskazywała nam

dokładnie, gdzie jest rufa. Na pokładzie znajdowała się też i druga, co oświetlała wanty, takielunek i kolumnę głównego masztu, do tego jeszcze blask sączył się przez dwa otwory działowe z boku. I ani żywej duszy.

– Wiosła stój! – szepnął Alatryste.

Wszyscy poniechali wiosłowania i szalupa kołysała się teraz swobodnie na powierzchni. Od potężnej rufy dzieliło nas mniej niżli dwadzieścia łokci. Latarnia odbijała się w wodzie niemal przed naszym nosem. Z boku, bliżej końca pawęży, unosiło się na fali małe czółno, do którego z góry schodziła drabinka sznurowa.

– Przygotować harpuny.

Załoga wydobyła spod ławek cztery haki do abordażu, umocowane do lin z licznymi węzłami.

– I znów do wiosł... Po cichu i powolutku.

Podpłynęliśmy jeszcze ociupinę, marynarz zasię kierował nas ku czółnu i drabince. Opłynęliśmy piętrzącą się w czerni rufę, bacząc przy tym, by światło latarni dosięgnąć nas nie zdołało. Wszyscy popatrywaliśmy w górę i oddech wstrzymywaliśmy w trwodze, że lada chwila ukaże się tam czyjeś oblicze, zaczną larum wołać, a zaraz potem spadnie na nas grad kul albo i huk armaty. Nareszcie wiosła zrzucone zostały na dno szalupy, która stuknęła lekko o deski kadłuba galeonu, tuż obok czółna i akuratnie u stóp drabinki. W panice pomyślałem, że odgłos tego stuknięcia całą zatokę obudzi, atoli ani krzyku nikt nie podniósł, ani oznak alarmu nijakich nie dostrzegłem. Zatrzęsła się jeno szalupa, kiedy nasi jęli broń ze szmat wydobywać i do wspinaczki się sposobić. Ja także zaciągnąłem dobrze haftki napierśnika. Przez chwilę lico kapitana Alatryste znalazło się tuż wedle mojego. Oczu jego nie widziałem, wiedziałem wszak, że na mnie spogląda.

– Każdy sobie rzepkę skrobie – uprzedził mnie szeptem.

Skinąłem głową, lubo tego nie mógł zobaczyć. Poczułem, jak ściska mi ramię dłonią gestem krzepkim a krótkim, uniosłem wzrok i przełknąłem ślinę. Pokład znajdował się jakie pięć, może sześć łokci nad naszymi łbami.

– Do góry! – rozkazał kapitan.

Tym razem zdołałem dostrzec jego orli profil w dalekim świetle latarni, kiedy jał się po drabince wspinać ze wzrokiem utkwionym w górze. Rapier i lewak dzwoniły mu leciutko przy każdym ruchu. Niewiele myśląc, podążyłem za nim, a tymczasem pozostali, już bez nijakiej krępacji, zarzucili haki, które ze zgrzytem szurały po deskach pokładu i chwytaly się nadburcia. Teraz rzecz polegała na tym, by żwawo przebierać nogami po linach i nie poddać się dojmującej boleści, co ściskała mi mięśnie i kałdun, kiedym szarpanymi skokami posuwał się w górę, stopień po stopniu, ślizgając się przy tym po zawilgłych deskach burty.

– O w dupę przenajświętszą – ozwał się któryś.

Od potężnej rufy dzieliło nas mniej niżli dwadzieścia łokci. I w tym momencie ktoś larum wszczął nad naszymi głowami, a kiedym oczy podniósł, spostrzegłem jakieś oblicze, na poły przez latarnię rozświetlone. Człek ów z widocznym lękiem wpatrywał się w naszą wspinaczkę, jak gdyby wiary nie mógł dać w to, co widzi. I może nie zdążył zgoła uwierzyć przed śmiercią, bo kapitan Alatryste, który właśnie znalazł się na samej górze, wraził mu lewak w gardziel po samą rękojeść, za czym tamten przepadł mi z horyzontu. Aliści więcej głosów ozwało się na pokładzie, jako i tupot nóg we wnętrzu nawy. Kilka głów ostrożnie wychynęło przez otwory działowe i zaraz schowało się, wrzeszcząc po flamandzku. Ja po twarzy oberwałem butami kapitańskimi, gdy pan mój przez nadburcie przeskakiwał. W tej samej chwili ponad okrężnicą, nieco bliżej kasztelu, pojawiło się kolejne oblicze, ujrzałem także lont zapalony, zaraz też wystrzelił arkebuz, błysnęło coś i smyrgnęło między nami i w okamgnieniu

usłyszałem chrupnięcie kości i skwierczenie mięsa. Ktoś z boku, co również z szalupy się wdrapywał, grzbietem na dół spadł do wody, nawet gęby nie otwarłszy.

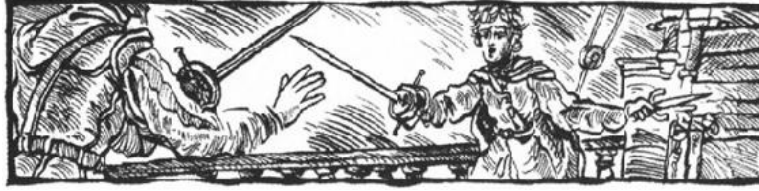
– Do góry!... Do góry! – naglili ci, co po mnie następowali, przepychając się, by jak najrychlej na górze stanąć.

Zacisnąłem tedy zęby, głowę schyliłem, jakby chcąc ją w ramionach przed tamtymi ukryć, i co sił w nogach szparko na szczyt się wspiałem, przeprawiłem się przez nadburcie i ledwie stanąłem na pokładzie, zaraz się pośliznąłem na wielkiej kałuży. Poderwałem się, cały powalany ludzką posoką i oszołomiony, wsparłem o znieruchomiłe ciało zadźganego marynarza, a tymczasem w moje ślady na górze pojawiła się zmierzwiona broda Bartola Cupamagny, wyłazące z orbit od wysiłku ślepiec, wyszczerbiony groźny grymas, tym straszliwszy, że łajdak w zębach miał zatknięty ogromny pałasz. Znajdowaliśmy się u stóp bezanmasztu, tuż obok drabinki, co na górę kasztelu wiodła. Coraz więcej naszych dostawało się na pokład po linach abordażowych i zaiste cud to był, że do tej pory nie wyszedł nam na spotkanie cały galeon, ażeby grzecznie nas powitać całym owym rejwachem, tupotem, palbą z arkebuzów i zgrzytem, jaki rapiery wydają, gdy wewnątrz pochew opuszczają.

Prawicą dobyłem swego, lewicą za plecy sięgnąłem, by za sztylet chwytać, i wokoło się rozglądałem z pomieszaniem, usiłując jakiego wroga zoczyć. I naówczas zobaczyłem, że zmierza ku nam cała chmara zbrojnych, co z głębin statku przybywała, że siła ich było wielkiej postury i płowe włosiska mieli, jakich już byliśmy we Flandrii widzieli, że drugie tyle nadchodziło od strony rufy i z kambuza, że ciżbę stanowili niezmierną, że kapitan Alatryste już jak czart sam ciosy na prawo i lewo rozdawał, byle jeno drogę ku drabince na kasztel sobie utorować. Pośpieszyłem w sukurs

panu memu, nie bacząc, czy Cupamagna i reszta idą w ślad za nami, czy też nie. A prąc naprzód, mamrotałem pod nosem imię Angeliki jako mą osobliwą ostatnią modlitwę. Bo w mgnieniu jasności umysłu, kiedym się z dzikim rykiem przed się rzucił, zdołałem jeszcze pojąć, że jeżeli Sebastián Copons na czas nie przybędzie, na „Niklaasbergen” zakończą się nasze przygody.





IX. STARZY PRZYJACIELE I STARZY NIEPRZYJACIELE.



łóż i ramię także zabijaniem mogą się znużyć. Diego Alatryste gotów był oddać resztę życia – która nie musiała być zgoła tak znaczna – za to, by móc opuścić broń, paść gdzie w kąt i wytchnąć. W tym momencie bił się już jeno siłą fatalności i z obowiązku, a na wynik tego starcia zubożniał, lubo może właśnie dzięki temu dotąd żyw jeszcze pozostał wśród całego nocnego zamętu. Walczył ze swym zwykłym spokojem, nie myśląc, ufny w bystrość oka swego i siłę ręki. Ludzie jego pokroju byli zdania, że im szybciej w takich terminach wyobraźnię precz pognasz, a w czucie się przyodziejiesz, tym łacniej oddalisz niepomyślny wyrok losu.

Właśnie kolejnego człeka przedziurawił i odepchnął go od siebie nogą, by rychlej rapier z ciała wrażego wyswobodzić. Wokół rozbrzmiewały krzyki, bluźnierstwa i jęki, a raz po raz także wystrzał z pistoletu lub arkebuza flamandzkiego, który rozświetlał mrok i pozwalał dostrzec tłum skłębionych, kłujących się nawzajem mężczyzn i lśniące, czerwone kałuże, co ciekły po pokładzie ku spływnikom.

Przedziwna jasność go wzięła w posiadanie, dzięki której zdołał sparować cios handzarem, uchylił się i zadał raptowny sztych w powietrze,

niewiele robiąc sobie z tego, że przeciwnika nie sięgnął. Tamten skrył się już gdzieś i jął ścierać się z innym, co go od tyłu zaatakował. Alatryste wykorzystał ów moment, by oddech złapać, rapier na grodzi oparłszy. Drabinka na kasztel wiodąca była tuż przed nosem, oświetlona od góry przez latarnię, a droga wyglądała na wolną. Trzech chłopca musiał obalić, by się tu dostać, a nikt go nie był uprzedził, że aż tyłu przyjdzie im na pokładzie napotkać. Wysoki kasztel rufowy był wyborną twierdzą do obrony w oczekiwaniu, aż Copons nadejdzie ze swoimi ludźmi. Aliści gdy Alatryste rzucił wokół spojrzeniem, zmiarkował, że większość jego oddziału walczy na śmierć i życie, i to na domiar złego niemal wszyscy akurat w tym samym miejscu, w którym weszli na pokład.

Poniechał tedy myśli o kasztelu i zawrócił. Natrafił na czyjś grzbiet, może należący do tegoż samego człeka, co mu się był chwilę wcześniej wymknął, wraził mu przeto lewak w krzyż, przekręcił kułak, by głównia w ciele tamtego kółko zakreśliła i jak najwięcej spustoszenia uczyniła, za czym wydobył broń z powrotem. Przeciwnik upadł, wyjąc jak opętaniec. Jakiś wystrzał z bliska oślepił go na chwilę, że jednak żaden z jego ludzi pistoletu mieć przy sobie nie mógł, natarł natychmiast w stronę, skąd błysk go dobiegł, zadając ciosy na oślep. Wpadł na kogoś, zwarł się z nim ramionami, obalił na ziemię i jął grzmocić go czołem w twarz, dobywając zarazem lewaka i zadając krótkie pchnięcie. Flamand zakwilił od dojmującej rany i na czworakach odpełzł na stronę. Ledwie Alatryste odwrócił się, a już spadło nań czyjeś cielsko, mamroczące po hiszpańsku: „Matko Przenajświętsza, Jezusie, Matko Przenajświętsza”. Nie miał czasu sprawdzać, któż to taki, strząsnął z siebie nieboraka i powstał z rapierem w prawicy i lewakiem w drugiej dłoni. Ciemność wokół z wolna przybierała kolor czerwieni. Ludzie wrzeszczeli przeraźliwie i nie sposób było dać trzech kroków po pokładzie, by w kałużę posoki nie wdepnąć.



...zmiarkował, że większość jego oddziału walczy na śmierć i życie...

Kling, klang. Wszystko odbywało się tak powoli, że aż dziwował się, czemu pomiędzy dwoma ciosami, jakie zadaje, nie spada nań dziesięć albo i tuzin wrażeń. Ktoś bardzo krzepko zdzielił go w twarz, zaraz też w ustach poczuł znajomy, metaliczny smak krwi. Przyjął gardę, osłaniając czoło rapierem, by odpowiedzieć sztychem w kierunku pobliskiego oblicza – bladej, niewyraźnej plamy, która zaraz też przepadła gdzieś z wrzaskiem

boleści. Pasując się z kolejnymi wrogami, Alatryste na powrót znalazł się pod kasztelem, gdzie i więcej światła było. Naówczas zmiarkował, że pod lewą pachą zaciska rapier, odebrany komuś całe wieki temu. Upuścił go, obrót czyniąc z uniesionym sztyletem, bo zdało mu się, że ktoś z tyłu atakuje, i już miał go poczęstować wypadem swego rapiera, gdy ujrzał w półmroku straszliwą, zarośniętą gębę Bartola Cupamagny, co siał wokół spustoszenie, nikogo nie rozpoznając, i toczył pianę z rozchylnych ust. Alatryste rzucił się tedy w inną stronę w poszukiwaniu przeciwników i dokładnie w tym momencie tuż przed nosem spostrzegł harpun piki abordażowej. Uchylił się, sparował uderzenie, ciął i wszedł w związanie. Aż go palce zabolaly, gdy zrobił wypad do przodu i punta rapiera napotkała czyjeś kości. Szarpnął łokciem w tył, by broń uwolnić, atoli gdy dał jeszcze krok w tył, potknął się o leżące zwoje lin i przewrócił się plecami na drabinkę. Trach. Au. Zdało mu się, że aż kręgosłup złamał. Ktoś walił weń teraz kolbą arkebuza, skulił tedy głowę w ramiona. Zaraz ktoś inny się pojawił, a kapitan, nie wiedząc, czy to przyjaciel, czy nieprzyjaciel, zawahał się, zadał cios, za czym poniechał na wszelki wypadek. Grzbiet mocno mu dolegał, chciał nawet zajęczeć, by pofolgowanie poczuć – jęk długi przez zęby najlepszym był sposobem, by ból oszukać i pogrążyć – ale nie zdołał z gardła nijakiego dźwięku dobyć. W głowie miał zamęt, w ustach ciągle czuł smak świeżej krwi, a palce mdlały mu już od ciągłego zaciskania rapiera i lewaka. Raptem nabrał chęci, by wyskoczyć za burtę. Jestem już snadź – pomyślał z rozpaczą – za stary na takie hazardy.

Odetchnął wszelako i z rezygnacją do batalii powrócił. Tutaj umrzesz – powiedział w duchu. I w tym momencie, kiedy u stóp drabinki się znajdował, w samym środku kręgu światła, przez latarnię rzucanego, ktoś zawołał go po nazwisku. Głos ów zdjęty był i nienawiścią, i zdumieniem. Skonfundowany Alatryste obrócił się ku owemu człękowi z rapierem

gotowym do walki i zaraz też z wysiłkiem ślinę z krwią przełknął, bo nie mógł uwierzyć. Niech mnie na Golgocie ukrzyżują – pomyślał – jeżeli przede mną nie stoi Gualterio Malatesta.

Pencho Jazgotek poległ u mego boku. Murcjanin szermował z jakimś Flamandem, gdy raptem tamten wypalił mu w głowę z pistoletu z tak bliska, że szczękę mu odstrzelił, prask, bryzgając na mnie jej kawałkami. Zanim aliści przeciwnik broń zdążył opuścić, już mu przeciągnąłem rapierem po gardzieli nagłym, suchym i mocnym ruchem, po którym padalec zwałił się na ciało Jazgotka, szwargocząc coś bełkotliwie. Ja zaś zaraz młyńca jąłem wywijać, by nikt się do mnie przybliżyć nie ważył. Drabinka kasztelu za daleko się znajdowała, bym jej dopaść był w stanie, postanowiłem przeto czynić to, co wszyscy – utrzymywać się przy żywocie w nadziei, że Sebastián Copons przyjdzie z odsieczą. Już nie stało mi siły, bym wzywał imienia Angeliki ani Chrystusa Miłosiernego, każdy oddech oszczędzałem, by skórę ratować. Dłuższą chwilę musiałem uchylać się przed zadawanymi zewsząd ciosami, a i oddawałem, gdy tylko mogłem. Raz po raz zdało mi się, że dostrzegam kapitana Alatryste wśród zamętu i wrzawy, aliści daremnie usiłowałem podejść ku niemu. Między nim a mną zabijano się tłumnie i na potęgę.

Nasi bili się z desperacją i wytrwałością jak zawodowi karciarze, co wszystko stawiają na atutową szpadę – wszelako ci z galeonu byli z lepszej gliny ulepieni, niżli nam powiedziano, i z wolna przypierali nas na powrót do nadburcia, przez któreśmy tu byli wleźli. Dobrze przynajmniej – rzekłem w duchu – że umiem pływać. Pokład usłany już był nieruchomymi ciałami albo czołgającymi się z jękiem w ustach, co wielce ruchy nam utrudniało. Na domiar wszystkiego jeszcze trwoga mnie opadła. Nie tyle trwoga przed śmiercią – śmierć to fraszka, jak oznajmił był w sewilskiej

turmie Nicasio Ganzúa – jeno przed wstydem. Przed okaleczeniem, przegraną i klęską.

Ktoś natarł. Nie jawił mi się płowowłosym wielkoludem jak większość Flamandów, ale smagłym brodaczem. Ciął po kilkakroć oburącz, lubo bez powodzenia. Głowy szczęśliwie nie postradałem, rychło przeto ustawiłem się, zaparłem stopami i gdy tamten trzeci czy czwarty raz wyprostował ramię, by mnie dosięgnąć, lotem sarny dopadłem rapierem jego piersi, zatapiając go aż po jelce. Omal zresztą nie zderzyliśmy się twarzami, kiedym to czynił, poczułem aż jego tchnienie na jagodach, za czym obaliliśmy się na ziemię, ja bronni ni na moment nie puściłem i zaraz też usłyszałem, jak się moja stal toledańska łamie o deski pokładu pod jego grzbietem. Leżąc tak na przeciwniku, jeszczem mu pięć, może sześć ciosów sztyletem zadał w kałdun. Zrazu zdumiało mnie, że krzyczy po hiszpańsku, zląkłem się tedy, że się ochybił i swego zadźgał. Atoli w świetle z kambuza padającym ujrzałem jego gębę, której zgoła znikąd nie znałem. i pojąłem, że na pokładzie są też Hiszpanie. A miarkując z zachowania i napierśnika tego tu dzwońca, są to Hiszpanie zbrojni.

Powstałem oszołomiony. To zmieniało sytuację, do kroćset, i to bynajmniej nie na lepszą. Usiłowałem wydumać, co to oznacza, aliści wrzawa i gorączka na pokładzie nie dozwalały, by teraz do łba po rozum chadzać. Rozejrzałem się, czy nie ma gdzie bronni grzeczniejszej od mego sztyletu, w końcu spostrzegłem handzar do abordażu – głownia szeroka, krótka, do tego olbrzymia garda u rękojeści. A i słusznego ciężaru, co mi niejaka pociechę niosło. Inaczej niżli rapier, który klingę ma smukłą i punktę do ranienia sposobną, taki handzar wybornie służył gwoli wyrąbywania sobie drogi wśród ludzkiej gęstwy. Co też uczyniłem, ciach, ciach, sam zadziwiony chrzęstem, jaki rozlegał się za każdym machnięciem. Dotarłem nareszcie do niewielkiej grupki, którą tworzyli Mulat Campuzano z czołem

rozciętym i obficie krwawiącym oraz Kawaler z Illescas, co utrudzony walczył z niewielkim już przekonaniem i łypał jeno, czy znajdzie się gdzie dziura, by się do wody rzucić.

Tuż przed mym nosem zalśnił wraży rapier. Uniosłem handzar, by sparować sztych, i jeszcze nie dokończył ruchu, kiedy w nagłym a przeraźliwym olśnieniu błąd swój pojąłem. Ale było już za późno: pod bokiem uczułem, że coś ostrego i metalicznego dopada mego napierśnika, dziurawi go i w ciało się zagłębia. I dreszcz aż do szpiku mnie przeszedł, gdy stal ze zgrzytem przejechała mi między żebrami.

Wszystko się zgadza – przemknęła myśl przez głowę Diega Alatryste, gdy przyjmował gardę. Złoto, Luis de Alquézar, obecność Gualteria Malatesty w Sewilli i teraz tu, na pokładzie flamandzkiego galeonu. Włoch pilnował przeładunku, co tłumaczyło, skąd tak gwałtowny opór na „Niklaasbergen”: większość tych, co stawili im czoło, była nie marynarzami, a hiszpańskimi najemnikami, jak zresztą oni sami. Cała zawierucha okazała się utarczką pomiędzy wilkami z tej samej watahy.

Nie miał czasu deliberować nad tym dłużej, bowiem po pierwszym zaskoczeniu – Malatesta wyglądał na równie zadziwionego jak on sam – Włoch już nań nacierał, czarny, złowrogi i w ostry rapier zbrojny. Jak za dotknięciem różdżki całe znużenie raptem kapitana odeszło. Nic wszak nie uśmierza tak humorów krwi, jak zapiekła, stara nienawiść. A w nim rozgorzała, co się zowie, z wielką gwałtownością i żarem. Żądza zabijania wzięła w nim górę nad wolą przetrwania. Alatryste wypadł naprzód nawet szybciej niżli jego przeciwnik i gdy tamten pierwszy cios zadał, on już pozycję zdołał przyjąć, parując krótkim ruchem, a jego rapier ledwo o cal minął twarz Sycylińczyka, który aż się potknął, unik robiąc. Do tego doszło

– zmiarkował kapitan, ruszając do przodu – skurwysyn oskome postradał, by gwizdać swoje *tiruri-ta-ta* czy jakieś inne paskudztwo.

Nim się łajdak pozbierał, Alatryste już podchodził blisko, osaczał go nogami i miąższyną głowni rapiera, trącając przy tym lewakiem, skutkiem czego Malatesta jeszcze jeden krok wstecz dać musiał, chcąc miejsce zyskać, by ze swojej strony sztych zadać. I ponownie się zwarli ze szczękiem pod samą drabinką na kasztel wiodącą, by zaraz potem rozpocząć bliski taniec ze sztyletami, stukając się przy tym gardami rapierów, aż ich pod wanty z przeciwnej burty zaniosiło. Raptem Włoch wpadł na klin celowniczy stojącego za nim działa z brązu i stracił równowagę. Alatryste mógł tedy przez mgnienie rozkoszować się widokiem przerażenia, jakie z miejsca się w oczach Malatesty pojawiło, gdy on wyprowadził natychmiast prosty cios lewakiem i rapierem na odlew. Atoli fortuna nie zechciała mu sprzyjać, bo przy tym ostatnim sztychu broń kapitańska uderzyła płazem, co wywołało okrzyk dzikiej radości u Sycylińczyka, który z iście węzową zwinnością wyprowadził tak silne pchnięcie, że gdyby Alatryste nie zdołał w swym zaskoczeniu w tył odskoczyć, już by ducha ni chybi oddał.

– Ale ten świat mały – mruknął Malatesta, oddech z trudem łapiąc.

Rzekłbyś, ciągle nie posiada się ze zdumienia, że starego wroga przed sobą ogląda. Kapitan wszelako ni słowa nie odrzekł, stanął jeno znowu pewnie na nogach i gardę przyjął. Przez chwilę stali tak, bacznie siebie obserwując, z bronią gotową do dalszej potyczki, schyleni i spięci do ataku. Wokół bitwa wcale nie gasła, przy czym oddział Alatrystego wyraźne cięgi dostawał. Malatesta rzucił okiem w bok.

– Do diaska, kapitanie, tym razem... Porwaliście się z motyką na słońce.

Włoch uśmiechał się przy tym z niebywałą butą, czarny jak Parka, a blizny i dzioby na jego twarzy jeszcze bardziej się uwydatniły w mętym

światle latarni.

– Ufam – dodał – żeś małego nie przyprowadził do tej rzeźni.

Owóz i jedna z jego słabych stron – uznał Alatryste, zadając mu cios od góry – gada za dużo, dla której to przyczyny nad obroną nie panuje. Punta jego rapiera trafiła Włocha lekko w lewe ramię, aż zaklął i sztylet z ręki wypuścił. Wówczas natarł nań kapitan od tej strony, ufny we własną siłę, i zaatakował w dole, aliści uderzenie, lubo straszliwe, chybiło i lewak roztrzaskał się o lufę armaty. Przez chwilę obydwaj z Malatestą mierzyli się wzrokiem z bardzo bliska, za czym odskoczyli z rapierami do tyłu, ażeby przestrzeń zyskać i cios zadać pierwej niżli ten drugi. Różnica była taka, że kapitan, wsparty swobodną – i obolałą – dłonią o działo, wymierzył Włochowi tak silnego i brutalnego kopniaka, że tamten aż poleciał na nadburcie i wanty. W tym samym momencie zza pleców Alatrystego, od strony kambuza, dobiegła donośna wrzawa, a zaraz potem szczęk nowego żelaza. Kapitan ani się obejrzał, wołał pilne baczenie na swego wroga dawać. Atoli z miny tego ostatniego, raptem ponurej i przestraszonej, łącno wyczytał, że Sebastián Copons zdołał nareszcie dokonać abordażu „Niklaasbergen” od strony dziobu. I jak gdyby na potwierdzenie tego, Włoch głowę otworzył i wytoczył z niej straszliwe bluźnierstwo w ojczystej mowie. Coś w rodzaju *cazzo di Cristo* i *sporca Madonna*.

Zaciskając ranę dłońmi, podczołgałem się do zwojów lin, co wedle nadburcia leżały, i wsparłem się o nie plecami. Rozpiąwszy odzienie, jąłem dziury w prawym boku szukać, atoli w ciemności nijak jej zobaczyć nie mogłem. A i bólu prawie nie czułem, krom w żebrach w miejscu, gdzie został trafiony. I tylko krew łagodnie przeciekała mi skroś palców, spływała po boku i udach, by na koniec zmieszać się z tą, co już zbrukała deski pokładu. Muszę coś zrobić – rzekłem w duchu – inaczej wykrwawię się tu

jak jaki kiernoz. A że sama ta myśl do omdlenia mnie doprowadziła, żwawo tchu zaczerpnąłem, byle tylko przytomność zachować – jej utrata najłacniejszym była sposobem, by do cna żywotnych płynów się pozbawić. Walka toczyła się wokół w najlepsze, wszyscy tak byli zatrudnieni, że nie śmiałybym kogokolwiek o sukurs prosić, osobliwie z trwogi, czy na wroga bym nie trafił, co by mnie akuratnie do reszty w talarki posiekał. Postanowiłem tedy gębę na kłódkę trzymać i radzić sobie samemu. Niespiesznie przewróciłem się na zdrowy bok i palec w ranę wraziłem gwoli sprawdzenia, jak głęboko sięga. Z mej rachuby wynikało, że nie więcej nad dwa cale – łosiowy napierśnik z nawiązką wynagrodził mi dwadzieścia eskudów, jakiem był zań zapłacił. Oddychałem swobodnie, płuca snadź miałem nienaruszone, aliści krew bez ustanku wypływała, a wraz z nią i siły. Zmiarkowałem, że albo jakoś dziurę obwiążę, albo przyjdzie mi się polecić Panience. Gdzie indziej wystarczyłaby garść ziemi, by z jej pomocą skrzep poczynić, tu wszakże ani ziarenka nie uświadczyłem. Podobnie ni śladu czystej szmatki. Jakimś cudem przytargałem ze sobą sztylet, leżał teraz między moimi nogami. Uciałem tedy skrawek poły koszuli i przycisnąłem mocno do rany. Od razu zapiekło. Aż musiałem usta przygryźć, ażeby z bólu nie zawyc.

Z wolna jęły mnie zmysły odchodzić. Com mógł, tom zrobił – powiedziałem do siebie, mając nadzieję pociechy sobie nieco przynieść, nim wpadnę w czarną studnię, co się już pod moimi nogami otwierała. Nie myślałem o Angelice ni o niczym innym. Coraz większą słabością ogarnięty, wsparłem łeb o okrężnicę i zdało mi się, że ta się porusza. Wniosłem z tego, że już mi się w głowie kręci. Aliści wtem dotarło do mnie, że zgiełk bitwy opada w moim pobliżu i że wielka wrzawa i rwetes podnosi się nieco dalej, od strony kambuza i dziobu. Jacyś ludzie przebiegli po mnie, omal mnie w pośpiechu nie zdeptawszy, i do wody się rzucili.

Dobiegł mnie ciężki chlupot i ich paniczny krzyk. Spojrzałem oszołomiony w górę i zdało mi się, że ktoś wspiął się na marsreję grotmasztu i musiał bencle poprzecinać, bo grot raptem opadł, wydymając się w locie pod wpływem wiatru. Naówczas wykrzywiłem usta w głupawym grymasie radości. Grymas ten w zamyśle miał być uśmiechem, bom zmiarkował, żeśmy zwyciężyli, że grupa dziobowa łańcuch kotwiczny przeciąć zdołała i że galeon dryfuje poprzez nocne wody w stronę łachy San Jacinto.

Mam nadzieję, że ma to, co mieć winien, i że nie będzie się poddawał – pomyślał Diego Alatryste, zaciskając na nowo rapier. Ufam, że to sycylijskie bydlę nie postradało resztek godności i nie zechce teraz zmiłowania wołać, bo zabiję go tak czy owak, a nie chcę tego czynić, gdy będzie bezbronny. Tak postanowiwszy, a kwapiąc się dokończyć dzieła bez popełniania w ostatniej chwili zbytecznych błędów, zebrał się w sobie, by spuścić na Gualteria Malatestę wściekły grad ciosów tak prędkich i bezlitosnych, po jakich najlepszy szermierz na świecie musiałby się poddać i wyciągnąć kopyta. Tamten cofnął się, z trudem osłonę stawiając, atoli znalazł w sobie tyle zimnej krwi, by po ostatnim pchnięciu kapitańskim zadać przeciwnikowi ukośny sztych z góry, który ledwie na grubość włosa minął się z twarzą Alatrystego. Zyskał wszelako chwilę wytchnienia, dzięki czemu mógł bystro rozejrzeć się po pokładzie, zmiarkować, jak się rzeczy mają, i że galeon dryfuje ku przeciwległemu brzegowi.

– Prostuję swe słowa, Alatryste. Tym razem ty wygrywasz.

Jeszcze mówić nie skończył, gdy kapitan pchnął punktą rapiera prosto w oczy Włocha. Ten zasię zaraz zacisnął zęby i jęk z siebie wydał, wierzch lewej dłoni przyciskając do oblicza, z którego ciekła mu struga krwi. Aliści i wtedy zdobył się na bezpardonowy sztych, na oślep zadany, i kapitan musiał się trzy kroki cofnąć, by dziury w napierśniku nie obaczyć.

– W piekle przepadnij – wybełkotał Malatesta. – Ty i to złoto.

I rzucił rapierem, usiłując trafić kapitana w twarz jak dzidą, wspiął się na wantę i skoczył w mrok. Alatryste podbiegł do nadburcia, tnąc powietrze na plastry, wszelako jeno plusk czarnej wody usłyszał. Znieruchomiał tedy wyczerpany i wpatrywał się bezmyślnie w morze ciemności.

– Wybacz mi to opóźnienie, Diego – usłyszał za plecami.

Sebastián Copons już był przy nim, dysząc z wysiłku, z głową chustą obwiązaną i rapierem w dłoni, czerwoną maską z krwi okryty. Alatryste skinął głową, wciąż z nieobecny wyrazem oblicza.

– Ilu padło?

– Połowa.

– A Íñigo?

– W porządku. Drobna rana z boku... Ale ducha nie wyzionie.

Alatryste kiwnął głową ponownie, nadal patrząc w złowrogą czerń nocy. Za jego plecami rozlegały się triumfalne wrzaski jego ludzi i ryk ostatnich obrońców „Niklaasbergen”, którym właśnie gardziele podrzynano, ledwie się poddali.

Skoro tylko krew przestała mi lecieć, poczułem się lepiej, a i w nogach sił jakby przybyło. Sebastián Copons zawiązał mi naprędce opatrunek na ranę, za czym z pomocą Bartola Cupamagny dołączyłem do pozostałych u stóp drabinki kasztelu. Nasi uprzętały trupy z pokładu i wyrzucali je za burtę, pozbawiwszy je wprzód wszelkich, choćby najmniej cennych przedmiotów. Polegli wpadali ze złowieszczym chlupotem, a ja nigdy nie zdołałem się wywieść, ilu padło owej nocy na galeonie Flamandów i Hiszpanów. Piętnastu, może dwudziestu, kto wie, może więcej. Pozostali pierzchli do wody w trakcie walki i teraz płynęli albo tonęli gdzieś z tyłu w

ciemnym kilwaterze, jaki pozostawiał za sobą dryfujący w poprzek rzeki galeon, popychany bryzą z północnego wschodu.

Na pokładzie, wciąż jeszcze śliskim od krwi, spoczywały ciała naszych zabitych, spowite światłem latarni. Nasz oddział dziobowy największe straty poniósł. Leżeli nieruchomo ze zmierzwionymi czuprynymi, oczami otwartymi lub zamkniętymi, w pozach, w jakich ich Parka zaskoczyła – Sangonera, Mascarúa, Kawaler z Illescas i Murcjanin Pencho Jazgotek. Guzmana Ramireza pochłonęła woda, a Andresito Pięćdziesiątka dogorywał, jęcząc z cicha, skulony na lawecie działa i okryty kaftanem, który ktoś nań rzucił, by przykryć patrochy, co mu aż do kolan wyłaziły z rozciętego kałduna. Schodzili się i nieco lżej ranni Mańkut Enríquez, Mulat Campuzano i Portugalczyk Saramago. W innym miejscu pokładu spoczywał jeszcze jeden nieboszczyk, na widok którego ślepią wytrzeszczyłem, bom się go żadną miarą nie spodziewałem: buchalter Olmedilla leżał z powiekami nieco przymkniętymi, rzekłbyś, do końca starał się dopilnować, by wszystko przebiegało prawidłowo i zgodnie z życzeniem tych, którzy opłacali jego urząd. Był jeszcze bledszy niżli zazwyczaj, a na obliczu pod szczurzym wąsikiem malował mu się grymas niezadowolenia, jak gdyby bolał nad tym, że nie ma już czasu, by rzecz całą skrupulatnie opisać w oficjalnym dokumencie, posługując się należycie inkaustem, papierem i zgrabnym pismem. Maską śmierci sprawiała, że jeszcze mniej się w oczy rzucał, wyglądał jeno na człeka wielce cichego i nader samotnego. Opowiadano mi potem, że dokonał abordażu wspólnie z grupą dziobową, pnąc się z rozbrajającą niezdarnością po linowej drabince, że machał oburącz na oślepie rapierem, którego snadnie nawet użyć nie umiał, i że rychło padł bez jednego krzyku ni skargi, umierając za złoto, które doń nie należało. Za króla, którego może kiedy widział był z dala, a

który bez uchyby nawet imienia jego nie znał i który, gdyby kiedykolwiek spotkali się w jakimś gabinecie, nie skierowałyby doń ni jednego słowa.

Na mój widok Alatryste zbliżył się, obmacał delikatnie mą ranę, za czym dłoń mi na ramieniu położył. W słabym świetle widziałem, że wzrok ma nieobecny, jakby myślami był daleko od tego wszystkiego, od całej batalii.

– Raduję się, że cię widzę, chłopcze – rzekł.

Aliści wiedziałem, że to nieprawda. że może uraduje się później, kiedy już puls w skroniach odzyska swój dawny rytm, a wszystko na swe miejsce wróci, bo teraz słowa były jeno słowami. Głowę nadal zaprzętał mu Gualterio Malatesta, a także zbliżające się z wolna piaski San Jacinto. Ledwie spojrzeniem omiółł naszych poległych, atoli i Olmedilli też poświęcił jedno mgnienie. Nie zdawał się być zaskoczony, miarkował bowiem, że wciąż żyje, a jeszcze czekają go różne sprawy do załatwienia. Posłał Fircyka Eslavę na zawietrzną, ażeby ostrzegał, czy osiadamy na ławicy, czy też na skalistej mieliźnie Cabo, Juanowi Jaquecie nakazał przepatrzyć, czy się gdzie na pokładzie jaki wróg nie ukrywa, i przypomniał, by pod żadnym pozorem nikt do ładowni nie schodził. Pod karą śmierci – powtórzył posepnie, na co Jaqueta popatrzył nań uważnie i skinął głową. Za czym, wzięwszy do kompanii Sebastiana Coponsa, sam zszedł pod pokład. Za nic w świecie nie przegapiłbym takiej sposobności, skorzystałem tedy z mej uprzywilejowanej pozycji i pomimo bólu w zranionym boku ruszyłem ich śladem, bacząc, by nazbyt gwałtownych ruchów nie wykonywać, co by groziło ponowną utratą krwi.

Copons niósł latarnię i pistolet, który znalazł był na pokładzie, a Alatryste obnażony rapier. Spenetrowaliśmy tak poszczególne kabiny i ładownie, na nikogo nie natrafiając – widzieliśmy jeno stół, tuzin nakryć i nietknięte jedzenie – aż nareszcie dotarliśmy do schodków, co jeszcze niżej, w zupełne ciemności wiodły. U ich stóp były drzwiczki zawarte pokaźną

sztabą żelaza i dwie kłódki. Copons podał mi latarnię i poszedł po topór, co przed abordażem ma bronić, i po kilku chwilach drzwi leżały już na ziemi. Zaświeciłem do środka.

– Chryste w dupę – stęknął Aragończyk.

Przed nami leżało owo złoto i srebro, o któreśmy się byli wyrzynali dopiero co na górze. Usztauowane jak balast po całej powierzchni ładowni, spiętrzone w baryłkach i skrzyniach, jedna ciasno wedle drugiej. Rozłożone równomiernie sztabki i sztaby lśniły jak jakiś niewiarygodny sen Midasa. W odległych kopalniach Peru i Meksyku, z dala od słonecznych promieni, pod batogami nadzorców tysiące indiańskich niewolników stradało zdrowie i życie po to jeno, by ów cenny kruszec dopłynął aż tu i pozwolił opłacić długi imperium, żołd armii i wojny Hiszpanii przeciwko połowie Europy albo zasilił fortuny bankierów, urzędników, bezwzględnych magnatów lub też – jak w tym przypadku – szkatułę samego króla. Złoto odbijało się niewielkimi iskierkami w oczach kapitana Alatryste i w szeroko rozwartych ślepiach Coponsa. A i ja stałem oniemiały.

– Ależ z nas idioci, Diego – ozwał się Aragończyk.

W rzeczy samej. I widziałem, że kapitan powoli przytakuje na te słowa. Byliśmy idiotami, bo nie stawialiśmy wszystkich żagli – gdybyśmy jeno wiedzieli, jak to zrobić – i nie ruszaliśmy naprzód, nie w kierunku piaszczystej ławicy, ale ku otwartemu morzu, ku wodom omywającym ziemię zamieszkane przez ludzi wolnych, bez pana, boga ni króla.

– Święta Panienko – powiedział ktoś za naszymi plecami.

Obróciliśmy się. Na schodkach stali Śmiałek z Galeonów i marynarz Suárez, z opadłymi szczękami gapiąc się na skarby. Mieli w dłoniach broń, a na grzbietach worki, do których pakowali wszystko, co im się po drodze zdało cennym.

– Po coście tu przyszli? – zapytał Alatryste.

Ktokolwiek go znał, miałby się już na baczości, słysząc ton, jakim przemawia. Tamci dwaj wszakże nie znali go zbyt dobrze.

– Na przechadzkę – odparł nader bezczelnie Śmiałek z Galeonów.

Kapitan przesunął dwoma palcami po wąsach. Oczy miał nieruchome na podobieństwo szklanych paciorków.

– Rozkazałem, by nikt tu nie schodził.

– No – Śmiałek strzelił językiem. Jego pokryte krostami i znamionami oblicze wykrzywiał straszliwy uśmiech pożądliwości. – A teraz wiemy już dlaczego.

Bliskim obłędu wzrokiem przypatrywał się skarbowi błyszczącym w ładowni. Po chwili zamienił spojrzenia z Suarezem, który odłożył swój wór na schodki i skrobał się z niedowierzaniem po łbie, oniemiały skutkiem takiego odkrycia.

– Coś mi się widzi, druhu – zwrócił się doń Śmiałek z Galeonów – że trzeba by o tym z pozostałymi pogawędzić... Byłaby to tęga kpina, gdyby...

Słowa w gardzieli mu uwięzły, gdy Alatryste bez nijakiego ostrzeżenia przeszył mu pierś rapierem – tak szybko, że kiedy łajdak ze zdumieniem spojrzął w dół, żelazo już z powrotem z rany się wysunęło. Padł do przodu z otwartą gębą i bezradnym westchnieniem, zrazu na kapitana, który natychmiast się usunął, a potem po schodkach na sam dół, aż wylądował przy baryłce pełnej srebra. Co widząc, Suárez wezwał z przerażeniem imienia Chrystusa i uniósł trzymany w dłoni handzar. Poszedł snadź zaraz po rozum do łba, bo na pięcie się obrócił i co sił w nogach jął się wspinać po schodkach, krzycząc głucho z trwogi. I tak krzyczałby długo, gdyby Sebastián Copons sztyletu nie dobył, za nim nie pognał, za stopę nie ucapił i na dół z powrotem nie ściągnął. Co uczyniwszy, siadł mu na plecach, szarpnął za czuprynę, łeb do tyłu gwałtownie odciągnął i poderżnął gardło na amen.

Patrzyłem na to wszystko zdrętwiały. Nie śmiać choćby palcem kiwnąć, popatrywałem, jak Alatryste ociera rapier o ciało Śmiałka z Galeonów, którego krew brukała właśnie sztabki złota, co na podłodze uszykowane leżały. A potem uczynił coś przedziwnego: splunął, jak gdyby brud jakiś do ust mu się zaplątał. Splunął w powietrze, ot, niby tak sobie albo jak ktoś, kto ciska milczące bluźnierstwo. Gdy oczy nasze się spotkały, zadrzałem, bo patrzył, jakby mnie nie rozpoznawał, aż przez moment zląkłem się, że i mnie na swój rapier naszpikuje.

– Pilnuj schodów – rzucił Coponsowi.

Skinął głową Aragończyk, który też wycierał sztylet, klęcząc wedle bezwładnego trupa Suareza. Alatryste minął go, nawet nie zaszczyciwszy spojrzeniem martwego marynarza, i wrócił na pokład. Podążyłem za nim, z ulgą za sobą ostawiając koszmarny krajobraz w ładowni, a kiedyśmy już na wierzch wyszli, Alatryste odetchnął głęboko, jak gdyby łaknął powietrza, którego na dole mu zbrakło. Natenczas Fircyk Eslava krzyknął z burty i niemal w tym samym momencie poczuliśmy, jak kil galeonu wrzyna się w piach. Statek zatrzymał się, pokład zastygł na bok przechylony, a nasi jęli pokazywać światła na łodzi, które na nasze spotkanie się przybliżały. „Niklaasbergen” osiadł na łachach San Jacinto.

Podeszliśmy do nadburcia. W ciemności dały się zauważyć łodzie wiosłowe, co ku nam płynęły, i sznur lamp, który z wolna posuwał się w naszym kierunku po piaszczystym języku, jaśniejącym coraz bardziej w świetle płomieni. Alatryste rzucił okiem na pokład.

– Idziemy – powiedział do Juana Jaquety.

Tamten zawahał się na chwilę.

– Gdzie są Suárez i Śmiałek? – spytał z niepokojem. – Żałuję niepomnie, kapitanie, ale nie mogłem nic zrobić... – Tu urwał i z uwagą wpatrywał się w oblicze mego pana w słabym świetle, dobiegającym od

kambuza. – Zechciej mi waszmość wybaczyć... Musiałbym ich chyba zabić, żeby nie dozwolić im zejść.

Zamilkł znowu.

– Zabić – powtórzył cicho, skonfundowany.

Zabrzmiało to raczej jak pytanie niżli cokolwiek innego.

Odpowiedź wszelako nie padła. Alatryste nadal rozglądał się wokół.

– Opuszczamy statek – zwrócił się do swoich podkomendnych na pokładzie. – Pomóżcie rannym.

Jaqueta wciąż mu się przyglądał, jakby czekał jednak na jakieś słowa.

– Co się stało? – zapytał głucho.

– Oni nie schodzą z nami.

Obrócił się wreszcie obliczem do zawadiaki ze spokojem i chłodem. Tamten gębę rozwarł, ale snadź poniechał dalszych pytań. Stał jeno chwilę jeszcze, by w końcu skinąć na swoich ludzi i ponaglić ich do wykonania rozkazu. Łodzie i światła były już bardzo blisko, toteż nasi jęli schodzić po drabinie na piach, odsłonięty dzięki odpływowi. Bartolo Cupamagna i Mulat Campuzano z czołem przewiązanym, jak gdyby turban nosił, zeszli ostrożnie, podtrzymując Mańkuta Enriqueza, ten bowiem z nosa obficie krwawił i odniósł parę paskudnych ran w ramiona. Ginesillo Nadobniś z kolei pomagał Portugalczykowi Saramago, który utykał skutkiem pchnięcia na półtora cala w udo.

– Prawie mi klejnoty odcięli – biadolił.

Na końcu zeszli Jaqueta, wprzód zamknąwszy oczy swemu druhowi Sangonerze, i Fircyk Eslava. Andresitem Pięćdziesiątką nikt już się nie musiał opiekować, bo od kilku chwil nieborak nie żył. Wreszcie i Copons pojawił się u wyjścia z dolnego pokładu i na nikogo nie patrząc, ku drabinie podszedł. W tym samym momencie u jej szczytu wychynęła jakaś postać, w której rozpoznałem owego rudowąsego, który wieczorem

gawędził był z buchalterem Olmedillą. Nadal miał na sobie strój myśliwski, uzbrojony był po czubek głowy, a jego śladem przybywało jeszcze siła następnych. Mimo przebrania w każdym łącznie żołnierza można się było domyślić. Obejrzeni z zawodową ciekawością naszych poległych, pokład krwią powalany, a rudowąsy stanął i chwilę nad ciałem Olmedilli podumał. Za czym przybliżył się ku kapitanowi.

– Jak to się stało? – indagował, wskazując ciało buchaltera.

– Ano, stało się – odparł lakonicznie Alatryste.

Tamten przyglądał się bacznie memu panu.

– Dobra robota – rzekł beznamiętnie.

Alatryste nic nie odrzekł. Nadburcie przesadzali kolejni zbrojni. Niektórzy nieśli arkebuzy z zapalonymi lontami.

– Przejmuję statek – oznajmił rudowąsy – w imieniu króla.

Widziałem, że pan mój skinął głową i ruszyłem w ślad za nim do nadburcia, na którym Sebastián Copons siedział już okrakiem. Wówczas Alatryste odwrócił się ku mnie, ciągle z nieobecny wzrokiem, i wsunął mi ramię pod pachę, by mi pomóc. Wsparałem się na nim, wdychając zapach jego skórzanego odzienia, stali i krwi usieczonych tej nocy przeciwników. Zszedł tedy po drabince, podtrzymując mnie ostrożnie, i dopiero na dole puścił, stawiając na piasku. Woda omywała nam kostki. Po drodze na plażę jeszcze się nieco zmoczyliśmy, gdzieniegdzie bowiem rzeka sięgała mi aż do pasa, przez co i rana jęła mi na powrót dopiekać. Niebawem z pomocą kapitana dotarłem na sam brzeg, gdzie nasi zebrali się już w ciemności. Wokół majaczyło jeszcze więcej uzbrojonych cieni, dostrzegałem też niewyraźne zarysy mułów i wozów, gotowych na załadunek tego, co galeon krył w swych wnętrznościach.

– Zaiste – rzekł któryś – uczciwie zarobiliśmy swoją dolę.

Po tych wesoło wypowiedzianych słowach prysła bańka milczenia i napięcie, które wciąż jeszcze utrzymywało się po batalii. Jak zawsze po zmaganiach – po wielekroć widziałem to we Flandrii – z wolna wszystkim rozwiązywały się języki, zrazu padały pojedyncze, krótkie zdania, jęki i westchnienia, by po chwili ustąpić miejsca prawdziwej rzece słów. Już i pierwsze „diaski” padły, pierwsze śmiechy i przechwałki, „jak Bóg na niebie” i „na rany Chrystusowe”, jakem dokonał tego i owego, a tamten jeszcze czego innego. Co rusz któryś odgrywał starcia przy abordażu albo dopytywał się, jak zginął jego kompan. Nie słyszałem, by ktokolwiek lamentował po śmierci buchaltera Olmedilli – ów czarny, oschły jegomość nijakiej sympatii nie zdołał być wzbudzić, a na domiar wszystkiego bez uchyby nie należał do ludzi, którym takie hazardy mogły wychodzić na zdrowie. Wątpię, by któryś zapalił mu świeczkę na pogrzebie.

– A co się stało ze Śmiałkiem z Galeonów? – któryś zapytał. – Nie widziałem, żeby zginął.

– Żyw był do samego końca – zapewnił inny.

– Marynarz – dodał trzeci – też ze statku nie zszedł.

Nikt nie umiał tego wytłumaczyć, a ci, co się domyślali, woleli zamilknąć. Padły jakieś uwagi półgłosem powiedziane, aliści marynarz Suárez nie dochował się śród tej gawiedzi bliskiego kamrata, a Śmiałka nie cierpiała szczerze większość. Słowem – nikt nie rozpaczał, że go zbrakło.

– Więcej przypadnie dla nas, myślę sobie – rzucił ktoś.

Odpowiedział mu śmiech innego i sprawa uznana została za zamkniętą. A ja jąłem w głowę zachodzić – i zgoła nijakiej wątpliwości nie miałem w tej materii – czy gdybym to ja leżał teraz na pokładzie zimny i sztywny jak peklowany tuńczyk, też zasłużyłbym sobie na podobne epitafium. Nieopodal czerniała milcząca postać Juana Jaquety i lubo nie sposób było dostrzec czegokolwiek, wiedziałem, że wpatruje się w kapitana Alatryste.

Ruszyliśmy w stronę pobliskiej karczmy, w której wszystko już było gotowe, by nas na nocleg przyjąć. Karczmarzowi – łajdactwo patrzyło mu z gęby – wystarczyło ujrzeć nasze twarze, bandaże i żelaza, by przyjąć nas skwapliwie i usłużnie, jakbyśmy byli grandami Hiszpanii. Dla każdego wystarczyło jerezu i wina z Sanlúcar, ognia, by łachy podsuszyć, i obfitej strawy, której ni okruszyny nie darowaliśmy, bo po takiej bitce kałduny nam się potężnie skurczyły. Wniesiono dzbany i koźlę pieczone po królewsku, za czym jęliśmy wychwalać poległych kompanów i stosiki złotych monet, które każdy przed sobą na blacie zobaczył przed samym świtem, gdy je rudowąsy do karczmy przyniósł w towarzystwie felczera. Ten ostatni naszymi rannymi się zaopiekował, oczyścił moją pamiątkę po bitwie w prawym boku, dziurę sprawnie zszył w dwóch miejscach, położył maść i obwiązał czystym, świeżym opatrunkiem.

Z wolna niektórzy w sen zapadali, winem spojeni. Raz po raz jeszcze Mańkut albo Portugalczyk stękali, na rany wyrzekając, a wtórowało im miarowe chrapanie Coponsa, śpiącego na macie z tą samą flegmą, z jaką zasypiał w błocie flamandzkich okopów.

Ja skutkiem dolegającej mi rany snu przywołać nie mogłem. Była pierwszą, jaką w życiu odniosłem, i skłamałbym, gdybym zaprzeczył, że ból przyprawiał mnie o nową, niewypowiedzianą dumę. Dzisiaj, po latach, przybyło innych znamion na mym ciele i mej pamięci – ta jest jeno ledwo widocznym znakiem na skórze, drobiazgiem w porównaniu z tą raną, jaką zadano mi pod Rocroi, albo z tą, którą zawdzięczam sztyletowi Angeliki de Alquézar. Niekiedy wszelako przesuwam palcami po tej pierwszej i wspominam ową noc na ławicy Sanlúcar, jak gdyby to wczoraj było, walkę na pokładzie „Niklaasbergen” i krew Śmiałka z Galeonów, brukającą królewskie złoto.

I nie zapomnę także kapitana Alatryste, jak go widziałem owego poranka, kiedy cierpienie nie dozwalało mi zasnąć, a on siedział osobno na taborecie, plecami wsparty o ścianę, spoglądał na pierwszy brzask, co skroś szarości przez okno zaglądał, popijał wino niewielkimi, miarowymi haustami, aż nareszcie oczy zaszyły mu mgłą jak wychłodzona szyba, orli profil opadł z wolna na pierś, a sen, letarg śmierci podobny, przejął jego ciało i myśli we władanie. Przeżyłem u jego boku dostatecznie długi czas, żeby wiedzieć, że nawet śpiąc, Diego Alatryste brnie przez to osobliwe pustkowie, jakim jest życie jego własne, milczący, samotny i na sobie skupiony, zobojętniały na wszystko, co nie uświadamia człękowi, jak wąska miedza oddziela chwilę, kiedyśmy żywi, od tej, kiedyśmy martwi. Podobny każdemu, kto uprawia mordercze rzemiosło, by złapać oddech, by dostać ciepłą strawę. By desperacko przestrzegać reguł zadziwiającej gry, pradawnego rytuału, który ludzie jego pokroju poznawali od czasu, gdy powstał świat. Nienawiść, namiętność, sztandary – te rzeczy nie miały z owym rytuałem nic wspólnego. Aliści ani chybi znośniej by było, gdyby w miejsce owej gorzkiej jasności, z jaką dokonywał wszystkich swych czynów i podejmował kolejne decyzje, kapitana Alatryste obdarzono wspaniałym darem głupoty, fanatyzmu albo niegodziwości. Wszak jeno głupców, fanatyków i łotrów nie nękają upiory i wyrzuty sumienia.





EPILOG.



Wystrojony w żółto–czerwony mundur, w którym zaiste wybornie się prezentował, sierżant gwardii hiszpańskiej spozierał na mnie wściekły, bo mnie rozpoznał, kiedym przekraczał wrota Pałaców Królewskich pospołu z mości Franciskiem de Quevedo i kapitanem Alatryste. Był to ów krzepki, wąsaty jegomość, z którym wymieniłem parę dni wcześniej kilka zapalczywych słów nieopodal bramy. Niechybnie mocno się dziwował, widząc mnie teraz schludnie uczesanego, odzianego w nowy kaftan i niżli Narcyz bardziej galantego, gdy mość Francisco pokazywał mu papier, który upoważniał nas do udziału w przyjęciu, jakie para królewska wydawała na cześć Rady Miejskiej i konsulatu Sewilli, by uświetnić przybycie floty z Indii.

W tym samym czasie nadchodzili i inni goście: majątni kupcy z małżonkami, suto wyposażonymi w klejnoty, mantylki i wachlarze, szlachcice niższych rodów, którzy snadź musieli ostatnie dobra sprzedać, żeby się na ów wieczór wystroić, duchowni w sutannach i pelerynach oraz przedstawiciele miejscowych cechów. Niemal wszyscy rozglądali się wokół, w niepomierny zachwyty i zdumienie wpadali i podziwiali imponującą prezencją gwardii hiszpańskiej, burgundzkiej i niemieckiej, które nad przybytkiem pieczę sprawowały – jak gdyby w obawie, że raptem

usłyszą pytanie, co tu robią, za czym zostaną na ulicę wyrzuceni. Wszyscy co do jednego wiedzieli, że Ich Królewskie Moście będą mogli zobaczyć krótko i z daleka i że wszystko sprowadzi się do odsłonięcia głów, pochylenia ich, gdy dostojna para będzie przechodzić, i na tym właściwie koniec. Aliści móc stąpać po ogrodach dawnego pałacu arabskiego i wziąć udział w takim wydarzeniu, ustroiwszy się nobliwie i wytwornie na modłę grandów Hiszpanii, i jeszcze móc nazajutrz o tym opowiedzieć – schlebiało najskrytszej próżności, jaką każdy ówczesny Hiszpan, choćby i najnikczemniejszego autoramentu, w duszy pielęgnował. Owóż i następnego dnia, kiedy Filip Czwarty przedstawił Radzie Miejskiej do zaaprobowania nowy podatek, czyli nadzwyczajną taryfę od przywiezionych bogactw, Sewilla miała już usta stosownie karmelem nasycone, by tę gorzką pigułkę łatwiej przełknąć – snadź najboleśniejszy cios to ten, który kieszeń dziurawi – przeto i trzos bez nadmiernego utyskiwania poluźniła.

– Otóż i Guadalmedina – rzekł mość Francisco.

Álvaro de la Marca, zabawiający właśnie pogawędką kilka dam, takż z daleka nas dostrzegł. Zaraz też z największą wykwintnością przeprosił swe towarzyski i ruszył nam na spotkanie z łaskawym i wielce radosnym uśmiechem na obliczu.

– Do kroćset, Alatryste. Zaprawdę jestem kontent.

Tu z właściwą sobie swobodą powitał Queveda, pochwalił mój nowy kaftan i poklepał przyjaźnie kapitana po ramieniu.

– Jest jeszcze ktoś, kogo bardzo okazja ta raduje – dodał.

Odziany był jak zwykle nader wytwornie: w szatę barwy bladoniebieskiej ze srebrnymi pasamonami i w kapelusz z przepięknym piórem bazancim. Dworna prezencja w dużym kontraście pozostawała z powściągliwym strojem Queveda, całym czarnym, z czerwonym krzyżem

Świętego Jakuba na piersi – jako i z ubiorem pana mego. Ten bowiem włożył na się barwy bure i czarne, stary, ale pocerowany i wyczyszczony kaftan, płócienne pluderki, buty i wspaniały rapier, przypięty do świeżo wypolerowanego pasa. Z nowych rzeczy miał na sobie jeno kapelusz – szerokie rondo i czerwone pióro za otokiem – śnieżnobiałą i wykrochmaloną koszulę, pod szyją po żołniersku rozpiętą, i lewak, długi niemal na dwie piędzi, z gmerkami snycerza Juana de Orta, który kosztował dziesięć eskudów i zastąpił broń złamaną na statku podczas pojedynku z Gualteriem Malatestą.

– Nie chciał tu przyjść – mość Francisco pokazał głową na kapitana.

– Takem się spodziewał – odrzekł Guadalmedina. – Ale są rozkazy, z którymi się nie dyskutuje... – Mrugnął poufale okiem. – Tym bardziej, gdy się jest weteranem, Alatryste. A to właśnie jest rozkaz.

Kapitan nic nie mówił, rozglądał się jeno z zakłopotaniem i co chwila wyglądał odzienie, jak gdyby nie wiedział, co z rękami zrobić. Stojący obok Guadalmedina uśmiechał się raz po raz do przechodzących osobistości, pozdrawiał dłonią tego czy owego znajomego, głowę skłaniał przed żoną jakiegoś kupca albo kauzyperdy, te zasię rumieńce na jagodach skrywały za wachlarzami.

– Śpieszę ci donieść, kapitanie, że przesyłka dotarła do recypienta, wszyscy przeto przednią mają z tego tytułu zabawę... – Urwał nagle, uśmiechnął się i głos zniżył. – Po prawdzie, to niektórzy tę zabawę mają zgoła mniejszą niżli inni... Diuk de Medina Sidonia takiego nabawił się ataku, że omal ducha nie wyzionął. A gdy Olivares do Madrytu powróci, twój przyjaciel, sekretarz królewski Luis de Alquézar, będzie się musiał gęsto tłumaczyć.

Guadalmedina nie przestawał się cichutko śmiać, wielce zadowolony z własnego żartu, a przy tym nadal pozdrawiał przechodzących mimo,

rzekłbyś – wzór dwornego magnata.

– Hrabia–diuk przeżywa chwile glorii – ciągnął. – Zda się bardziej szczęśliwy, niżli gdyby Chrystus grom na Richelieu spuścił... I dlatego domaga się, żebyś dzisiaj był tu przytomny, bo chciałby cię pozdrowić, lubo i z daleka, kiedy będzie z parą królewską przechodził... I nie próbuj mi wmówić, że to nijaki zaszczyt. Osobiste zaproszenie od faworyta.

– Nasz kapitan – wtrącił Quevedo – tuszy, że największym zaszczytem byłoby, gdyby wszyscy wokół zapomnieli o całej awanturze.

– Swoją rację ma – oznajmił magnat. – Częstokroć łaska, jaką grandowie darzyć zechcą, niebezpieczniejszą się okazuje od niełaski... W każdym razie, Alatryste, masz szczęście, żeś wojak, bo jako dworzanin wypadałbyś katastrofalnie... Chwilami sam się zapytuję, czy mój urząd nie jest trudniejszy od twojego.

– Każdy – odparł kapitan – radzi sobie najlepiej jak umie.

– Święte słowa. Wracając aliści do dnia dzisiejszego, wyznam ci, że sam król wczoraj prosił Olivaresa, by mu ten całą rzecz opowiedział. Byłem tam przytomny, tedy wiem, że faworyt odmalował historię w wielce żywych barwach... I lubo jest ci wiadome, że nasz katolicki monarcha nie kwapi się uczuć okazywać, niechaj mnie jak nikczemnika z gminu powieszą, jeśli nie widział, jak zamrugał powiekami ze szczęścia albo i siedem razy w trakcie opowieści. Co jest objawem najżywszego wzburzenia.

– Czy to się przełoży na jakie namacalne efekty? – zadał praktyczne pytanie Quevedo.

– Jeżeli masz na myśli coś, co da się zmacać, brzęczy i ma reszkę i orła, to śmiem wątpić. Gdy w grę wchodzi wysupływanie czegokolwiek, o ile Olivares jest skąpcem, to nasz Najjaśniejszy Pan to półtora skąpca... Uznali, że przedsięwzięcie zostało już w swoim czasie zapłacone, do tego godnie zapłacone.

– Co jest prawdą – przyznał Alatryste.

– Zapewne, skoro ty to mówisz – Álvaro de la Marca wzruszył ramionami. – Dzisiaj mamy do czynienia, rzekłbym, z zaszczytnym zapieczętowaniem całej sprawy... Króla wprost pożerała ciekawość, gdy się zwiedziało, że to ty właśnie potykałeś się byłeś na podwórku Principe ramię w ramię z księciem Walii parę lat temu. Ma tedy wielką oskome, by ujrzeć cię z bliska... – Magnat zamilkł na chwilę, by nadać wagi swym słowom. – Tamtej nocy w Trianie na brzegu było zbyt ciemno.

Co rzekłszy, znów przerwał i bacznie wpatrywał się w niezmacone niczym oblicze Alatristego.

– Czy usłyszałeś, com właśnie powiedział?

Pan mój wytrzymał jego spojrzenie, atoli nic nie odrzekł, jak gdyby ujawniona przez Alvara de la Marca rzecz ani go nie obchodziła, ani zgoła wspominać o niej sobie nie życzył. Jakby wolał się od tych tematów trzymać z dala. Magnat snadź po chwili pojał, bo nie przestając się weń wpatrywać, pokiwał powoli głową, na wpół uśmiechnięty, a w oczach jego załśniło życzliwe zrozumienie. Za czym rozejrzał się wokół i jego wzrok padł na mnie.

– Powiadają, że chłopak dobrze się spisał – raptem zmienił piosnkę. – A nawet wyniósł niejaką pamiątkę...

– Bardzo dobrze się spisał – potwierdził Alatryste, ja zaś aż pokraśniałem z dumy.

– Względem zaś dzisiaj wieczoru, to nie jest wam obcy protokół... – Guadalmedina wskazał pokaźne odrzwia, co ogrody z pałacem łączyły. – Ich Wysokości nadejdą stamtąd, cała ta hałastrą pochyli głowy, za czym król i królowa wyjdą tamtędy. Było, nie ma. A ty, Alatryste, musisz jeno odkryć łeb i skłonić go ten jeden jedyny raz w całym twoim wojskowym życiu, do diaska... Najjaśniejszy Pan, błędząc wzrokiem

wysoko, jako ma we zwyczaj, przez chwilę popatrzy na ciebie. Olivares uczyni to samo. Ty ich pozdrowisz i masz spokój.

– To mi zaszczyt – bąknął z ironią Quevedo. I wydekłamał tak po cichutku, żeśmy aż głowy musieli ku niemu pochylić:

Widzisz, jak się pod diamentami skrywa

Dłoń, jak szata mu purpurą goreje?

*Lecz dusza gnije w ziemi robaczywej.*⁷⁶

Guadalmedina, wielce snadź owego wieczoru do wytwornych gestów skłonny, aż się obruszył. Obejrzał się żwawo i gestem dłoni uciszył poetę, by swego pegaza bardziej poskromić raczył.

– Na mą wiarę, mości Francisco. Wstrzymaj się, waszmość, tu nie pora na harce... A wszak niejeden dałby sobie rękę uciąć za jedno królewskie spojrzenie... – I zwrócił się pojednawczo do kapitana. – Zaprawdę, zacnie się składa, że Olivares o tobie pamięta, zacnie, że chce cię tu widzieć. W Madrycie masz kilku wrogów, zatem nie jest błahostką, gdy masz w królewskim faworycie przyjaciela... Chyba czas już, by niedola przestała jak cień kompanii ci dotrzymywać. Poza tym, jak sameś kiedyś w mej przytomności powiedział mości Gasparowi, nigdy nie wiadomo.

– W rzeczy samej – zawtórował Alatryste. – Nigdy nie wiadomo⁷⁷.

W głębi ogrodu wprzód taraban zawarczał, za czym trąbka fanfarę odegrała, a tymczasem cichły rozmowy, wachlarze niechały swego szelestu, kilka kapeluszy z głów opadło, a wszystkie oczy zwróciły się ku temu, co działo się po drugiej stronie czarownych krzewów różanych, przystrzyżonych płotów i fontann. Owóz spod wiszących tam kobierców i gobelinów wyszła para królewska i jej orszak.

– Muszę do nich dołączyć – pożegnał się Guadalmedina. – Do zobaczenia, Alatraste. A jeśli to możliwe, zdobądź się na cień uśmiechu, gdy faworyt spojrzy na ciebie... Po namyśle wszelako, może lepiej, byś zachował powagę... Wszak jeden twój uśmiech może niechybny cios rapierem zwiastować!

Oddalił się, a my ostaliśmy samotrzeć tam, gdzie nas był ustawił, na skraju pobielonej ścieżki, co skroś całego ogrodu biegła. Ludzie zasię rozstępowali się na obydwie strony w miarę, jak kondukt dworski przybliżał się powoli aleją. Na czele szło dwóch oficerów i czterech łuczników straży, a zaraz za nimi najprzedniejsza śmietanka królewskiego otoczenia: kawalerowie i damy dworu, te drugie w kapeluszach i mantylkach z piórami, obwieszane klejnocikami, koronkami i szykownymi szatami, ci pierwsi zasię, równie szykownie odziani, skrzyli się diamentami, złotymi łańcuchami i paradnymi szpadami o pozłacanych rękojeściach.

– Otóż i ona, chłopcze – szepnął Quevedo.

Nie musiał tego mówić, bom dawno całą swą uwagę na orszaku skupił, oniemiały i jak w ziemię wbity. W gronie dworek szła oczywiście Angélica de Alquézar, w delikatnej białej mantylce, niemal przezroczystej, opadającej na ramiona, muskane przez jej jasne loki. Olśniewała jak zawsze pięknnością, a za pasek wsunięty miała rozkoszny pistolecik ze srebra ze sztukwarkiem z drogich kamieni, co zaprawdę wyglądał, jakby mógł lada chwila wystrzelić, lubo pełnił jeno rolę klejnotu albo ornamentu na czerwonej, satynowej, obszernej spódnicy. U nadgarstka wisiał jej neapolitański wachlarz, za to włosy miała zgoła ozdóbek pozbawione, jeżeli nie liczyć grzebyka z masy perłowej.

Wreszcie i ona mnie ujrzała. Jej modre oczy, dotąd obojętnie spoglądające przed siebie, raptem skierowały się ku mnie, jak gdyby odgadły moją obecność albo mocą czaru przedziwnego zażyczyły sobie,

bym się tam właśnie pojawił. Angélica przypatrywała mi się tedy długo i bacznie, ani na chwilę liczka nie odwracając ni kroku nie myśląc. A kiedy już mnie mijala, gdy już prawie nie mogła mnie dalej wzrokiem śledzić bez odwracania twarzy, uśmiechnęła się. A był to niezwykły uśmiech, jasny niby słońce, co rozjarzało złotem mury. Nareszcie przeszła mimo i podążyła dalej aleją, a jam ostał się z gębą rozdziawioną niczym król w krainie głupców, a wszystkie trzy władze moje miłości ku temu dziewczęciu się podporządkowały: władza pamięci, władza rozumu i władza woli. I pomyślałem, że jeślibym mógł na ponowne takie spojrzenie liczyć, poszedłbym raz jeszcze na Alamedę i pod Kolumny Herkulesa albo i na pokład „Niklaasbergen”, nie raz, jeno i tysiąc razy, i dałbym się tam na plasterki posiekać. A puls tak mocno walił mi w sercu i żyłach, iż z boku, pod bandażem, uczułem słabe ukłucie i wilgotne ciepło, snadź rana moja na powrót się otwarła.

– Ach, młodzieńcze... – mruknął mość Francisco de Quevedo, kładąc mi serdeczną dłoń na ramieniu. – Tak to jest i zawsze będzie: po tysiąckroć umrzesz, a niepokoje żywota twego zawsze wraz z tobą się będą odradzać.

Westchnąłem, bo com mógł rzec na to? Usłyszałem zaraz, jak poeta recytuje pod nosem:

Drapieżnica ma luba

Czeka mnie w klatce, co będzie mą zgubą...

Teraz przybliżała się już ku nam para królewska, wielce majestatycznie i wedle dworskiej etykiety: Filip Czwarty, młody, jasnowłosy, godnej postawy, wyprężony i w górę gdzieś, jak to on, spoglądający, wystrojony w błękitny aksamit z czarnosrebrnym szamerunkiem. Na ramionach spoczywało mu Runo z czarną wstęgą, a z szyi zwisał złoty łańcuch.

Królowa Elżbieta burbońska szła odziana w srebrzystą suknię z wyłogami z pomarańczowej tafty, a na głowie miała nakrycie z piór i klejnotów, które jeszcze uwydatniały młodzieńczy urok jej oblicza. Najjaśniejsza Pani, w przeciwieństwie do swego małżonka, uśmiechała się wdzięcznie do wszystkich wokół i błogi był to widok owej pięknej hiszpańskiej królowej, co z francuskiego rodu pochodziła, córki, siostry i żony królów, której wesołe usposobienie tak radowało nasz Dwór przez dwa dziesięciolecia, westchnienia i namiętności budząc (o czym przy innej sposobności waszmościom opowiem), a która zawsze wzbraniała się zamieszkać w Escorialu, owym wyniosłym, mrocznym i surowym pałacu, co go dziad jej małżonka jeszcze był wznieść nakazał. A przecież – o życia paradoksie, co nikogo nie oszczędzisz! – biedactwo spoczęła tam na wieczność, pochowana wedle innych królowych hiszpańskich.

Do tego wszystkiego aliści jeszcze mnogo czasu upłynąć miało od owego uroczystego wieczoru sewilskiego. Oto bowiem monarsza para była jeszcze młoda i gibka, a odkryte głowy po lewej i prawej skłaniały się wobec królewskiego majestatu. Zaraz za Filipem i jego żoną podążał hrabia–diuk de Olivares, mąż zwalisty i imponujący, ucieleśnienie władzy w czarną taftę obleczone, o barczystym grzbiecie, na którym niby Atlas dźwiga całe znojne brzemie niezmiernej monarchii obojga Hiszpanii – zadanie ponad siły, co kilka lat później błyskotliwym swym piórem mość Francisco de Quevedo tak podsumował:

*I rychlej ni chybi zdarzyć się może,
Gdy z tegoż, coś sama wszystkim zabrała,
Ciebie wyzują, Hiszpanio niebożę.⁷⁸*

A miał na sobie mość Gaspar de Guzmán, hrabia–diuk de Olivares, minister Najjaśniejszego Pana, sutą koszulę brukselską i krzyż Zakonu Calatrava na piersi wyszyty. Wąsiska sumiaste groźnie ku samym jego oczom zadarte były, te zasię przenikliwie i bacznie łypały to w jedną, to w drugą stronę, rozpoznawały, wyrokowały i zapamiętywały bez nijakiego zmiłowania. Bardzo rzadko wstrzymywała krok para królewska, zawsze za podszeptem hrabiego–diuka. W takich razach król, królowa albo obydwójce pospołu spoglądali na jakiego szczęściarza, co dla ważnych przyczyn, dla zasług albo dla rozległych wpływów na taki zaszczyt sobie zasłużył. Wówczas niewiasty składały ukłon aż do ziemi, a mężczyźni zginali się w pasie, rzecz jasna z głowami odkrytymi, jak należało stać od samego początku. A kiedy już udzielony został ten przywilej królewskiej kontemplacji, w całkowitej ciszy przebiegający, Najjaśniejsi kwapili się w dalszą uroczystą drogę. Za nimi w ślad podążali magnaci i grandowie Hiszpanii, wśród nich znajdował się i hrabia de Guadalmedina. Kiedy znaleźli się blisko nas, Alatryste i Quevedo zdjęli kapelusze, jak wszyscy wokoło, a tymczasem Álvaro de la Marca szepnął coś do ucha Olivaresowi, za czym z miejsca posłał naszej grupce jedno ze swych surowych i nieubłaganych jak wyrok spojrzeń. Spostrzegliśmy wówczas, że faworyt ze swej strony rzekł słów kilka królowi, na co Filip Czwarty przestał bujać wzrokiem po wysokościach i swój wzrok na nas zatrzymał. Hrabia–diuk nadal na ucho mu gadał, Habsburg wysuwał do przodu wystającą szczękę, słuchał z kamienną twarzą, a bladoniebieskie swe oczy skierował na kapitana Alatryste.

– Mówią o waszej miłości – szepnął Quevedo.

Zerknąłem na kapitana. Stał wyprężony, jedną dłonią dzierżył kapelusz, drugą wsparł na rękojeści rapiera, i ze spokojem, co się na jego wąsatej, orlej twarzy wiarusa malował, patrzył w oblicze swemu królowi, temu

monarsze, którego imię wykrzykiwał na polach bitewnych i o którego złoto bił się trzy noce temu na śmierć i życie. Zmiarkowałem, że chwila nie zrobiła na nim wielkiego wrażenia ani go też o nieśmiałość nie przyprawiła. Cała konfuzja, w jaką etykieta go zrazu wpędziła, raptem gdzieś przepadła, ostało się jeno godne i szczere spojrzenie, jakim odpowiadał Filipowi Czwartemu, spojrzenie człeka, który nikomu nic nie jest winien i niczego sam nie oczekuje. I wspomniałem zaraz bunt starego regimentu z Cartageny pod Bredą, kiedy już się szykowałem byłem, ażeby do niezadowolonych przystąpić, kiedy sztandary poza szeregi usuwano, by ich nie splamić żołnierskim nieposłuszeństwem, a Alatryste w kark mnie klepnął i iść za sobą nakazał, mówiąc: „Twój król jest twoim królem”. Ale dopiero tu, w ogrodach Pałaców Królewskich w Sewilli, zdało mi się, że pojmuję sedno dogmatu, którego wprzódki ni w ząb nie rozumiałem – dogmatu lojalności, jaką kapitan Alatryste okazywał nie temu młodemu blondynowi, co właśnie przed nim stał, nie katolickiemu majestatowi, nie prawdziwej wierze ani nawet temu wszystkiemu, co król, majestat i wiara reprezentowały na tym padole, ale własnemu prywatnemu prawidłu, które był sobie wybrał z braku lepszego. Prawidłu, co jak unoszone na falach resztki okrętu pozostało po ideach bardziej ogólnych i ekscytujących, które przepadają wraz z młodością i niewinnością. Owóż prawidło kapitańskie, jakiegokolwiek ono było, trafne czy błędne, logiczne czy też nie, sprawiedliwe bądź niesprawiedliwe, rozsądne albo i nie, zawsze służyło ludziom jego pokroju gwoli uporządkowania chaosu i znalezienia jakiegoś oparcia w życiu. Dlatego tedy mój pan, o paradoksie, odsłaniał głowę z uszanowaniem przed swoim królem nie mimo woli czy przez posłuszeństwo, ale z czystej rozpaczy. Ostatecznie gdy nie masz już zaufania godnych dawnych bogów czy wielkich słów, jakich dobywasz w czasie bitwy, zawszeć to lepiej dla twego honoru, gdy miast zupełnej pustki masz jeszcze pod ręką króla, za

którego możesz wojować i przed którym możesz się skłonić, lubo nawet weń zgoła nie wierzysz. Kapitan Alatryste zatem skwapliwie tego prawidła przestrzegał. Z podobnych pobudek, wiedziony poczuciem odmiennej już lojalności, mógłby równie dobrze skroś ciźbę się przedrzeć i zaszlachtować tegoż monarchę, nie dbając ni trochę o konsekwencje. I oto zdarzyło się coś niesłychanego, co z zadumy mnie wytrąciło. Hrabia–diuk zakończył swą krótką relację, za czym w tak zawsze beznamiętnych oczach Najjaśniejszego Pana raptem zagościło coś na kształt zaciekawienia, zaraz też utkwiał je król w kapitanie, a faworyt przyzwalająco skinął leciutko głową. Wówczas Czwarty Filip, nader powoli dłoń ku swej dostojnej piersi podnosząc, zdjął złoty łańcuch i podał go swemu ministrowi. Faworyt zważył go w rękę, uśmiechnąwszy się w zadumie, i ku zdumieniu ogółu, ku nam podszedł.

– Jego Wysokość życzy sobie, byście to zachowali – ozwał się.

Przemówił właściwym sobie aroganckim, szorstkim głosem, świdrując mego pana czarnymi i ostrymi grotami oczu, lubo pod srogim wąsem czał się nadal uśmieszek.

– Złoto z Indii – dodał z czytelną ironią.

Alatryste pobladł. Stał bez ruchu niczym posąg kamienny i wpatrywał się w hrabiego–diuka, jak gdyby ni słowa nie pojmował. Olivares wciąż trzymał łańcuch w dłoni.

– Nie przetrzymujcież mnie tu cały wieczór – zniecierpliwił się.

Kapitan wreszcie się chyba przebudził, chwilę później bowiem, odzyskawszy już spokój i władzę w członkach, wziął łańcuch i mamrocząc jakieś niewyraźne słowa podziękowania, spojrzął ponownie na króla. Monarcha nadal przypatrywał mu się z niezmiennym zaciekawieniem, Olivares tymczasem na powrót u jego boku się znalazł, Guadalmedina uśmiechał się wśród zadziwionych dworzan, a cały orszak sposobił się do

dalszej procesji. Wówczas kapitan Alatryste pochylił głowę z uszanowaniem, król skinął raz jeszcze, niemal niezauważalnie, i wszyscy swój marsz podjęli.

Dumny niezmiernie z mego pana, rozejrzałem się po zdumionych obliczach, co się w kapitana wpatrywały, i zmiarkowałem, że ludzie ci snadź bili się z myślą, kim, do czarta, jest szczęściarz, któremu hrabia–diuk we własnej osobie wręcza podarunek od króla. Mość Francisco de Quevedo zaśmiewał się pod nosem, zachwycony całą sytuacją, strzelał palcami jak kastanietami i zapowiadał, że nie mieszkając, udaje się gardło i wenę przepłukać w gospodzie Becerry, gdzie śpieszno mu było przelać na papier kilka wersów, które, jak Bóg na niebie, przysły mu właśnie do głowy:

*Nie pragnę tego, czego mieć nie mogę,
Czego los nie dał, nie boję się stradać,
Fortuna wyroki może mi gadać,
Nie dbam, podsądnym będę czy powodem.*⁷⁹

... zadeklamował na użytek naszej kompanii, szczęśliw jak zawsze, gdy trafił mu się dobry rym, do bitki okazja albo zacna małmazja:

*Żyj, Alatryste, sam, skoro się uprzesz,
Bo sam dla siebie,
Jeśli umrzesz, umrzesz.*⁸⁰

Kapitan zasię stał nadal jak w ziemię wbity śród ciżby, wciąż kapelusz w dłoni trzymając, i spoglądał w ślad za orszakiem, co w głąb ogrodów Pałaców się oddalał. Jakżem się jednak zadziwił, gdy spostrzegłem na jego obliczu cień, jak gdyby to, co się właśnie stało, na symboliczną modłę

krępować go bardziej, niżli by sobie tego życzył. Człek tym jest swobodniejszy, im mniej jest komuś winien, a w naturze pana mego, zdolnego zabić za dublon albo za jedno słowo, kryły się rzeczy niepisane, niewypowiedziane, które zobowiązywały tak samo, jak więzy przyjaźni, posłuszeństwo albo przysięga. A kiedy, stojąc tuż przy mnie, mość Francisco de Quevedo improwizował właśnie nowy sonet, pojąłem – a może domyśliłem się jeno – że ów królewski łańcuch ze złota ciąży kapitanowi Alatryste, jakby to były żelazne kajdany.

Madryt, październik 2000



WYJĄTKI Z KWIATÓW POEZJI PRZEZ DWORSKIE ZNAKOMITOŚCI UŁOŻONYCH

Druk z wieku XVII bez daty, zachowany w dziale „Hrabiowie Guadalmedina”

Archiwum i Biblioteki Diuków del Nuevo Extremo (Sewilla)



P RZYPISYWANE MOŚCI FRANCISCOWI DE QUEVEDO CZUWANIE

I OSTATNIE CHWILE ŁOTRA NICASIA GANZÚI KTÓREMU W SEWILLI KONOPNA ZARAZA ŻYCIE ODEBRAŁA

Romanca pierwsza

Za murem sewilskiej turmy Zgromadził się ród hultajski, Co miasto ma najlepszego, Sama śmietanka śmietanki.

*Pośpiewać przyszli nad dzbanem Łotry i zabijaki,
Bo Nicasiowi Ganzúi Wakans piekielny nadali Nieubłagani sędziowie
– Taka przyczyna tej schadzki.*

Sianem się wszak nie wykręci, Kogo królewscy skazali.

Są tu największe rębajły Słynne z ulicznych kampanii (Wprzódy zaś łapę nadzorcy Sreberkiem posmarowali), W żalobie, groźni rynsztunkiem, Zbrojni i w duszy otchłani, Psalmi nieświęte zanoszą Temu, co żyw pogrzebany.

Ulicznej kwiat infanterii Zasiadł tu dziś za stołami.

Kto wzgardziłby tą okazją, Ten by w Sewilli się zhańbił.

Siedzą tu pyszni hultaje, Bez niewiast, więc gwarzą sami, Głów przy tym nie odkrywając (Przywilej grandów Hiszpanii).

Ulgę niosą pełnym dzbanom, Rad Święty Haust ich kompanii.

Tu nóż zadźwięczy, tam rapier, Gdy trącą się pucharami.

A każdy mości Nicasia Cnoty darzy pochwałami –

Że człek to wielki, snadź poznasz Po tych, co dziś się zebrali.

Tu chwacki Gines Nadobniś, Bitny, lubo zniewieściały, Krzepki w łapie, samcołożnik I poskromiciel gitary.

Tam na głos filozofuje Saramago Portugalczyk, Mąż wybitny in utriusque⁸¹: Na papierze i w batalii.

Ówdzie łotr nie w ciemę bity, On w Chipionie wychowany, Został Śmiałkiem z Galeonów Wnet przez kamratów nazwany.

Obróć oczy w inną stronę: Tam już bierze się do talii Milczący Guzmán Ramirez, Co w kartach jest niezrównany.

Obok Rudzielec Carmona Do gry pozostałych wabi.

Ten jest szulerni bywalec Oraz wielbiciel ladacznic.

Wszystkich tam mógłbym opiewać, Szlachciców spod ciemnej gwiazdy, Tych lupanarów pogromców, Miłośników cudzej sakwy.

Takoż Diego Alatryste Na owej stypie się zjawił, By wśród tej szemranej cizby Pobór móc w mig przeprowadzić.

Z nim wraz Íñigo Balboa W turmie w noc ową zabawił, Smyk, który pod Bredą dał się Poznać jako wojak dziarski.

Więzienie śpiewką rozbrzmiewa, W stół karta za kartą wali, Wino w gardzielach bulgocze, Żegnają druha kompani.

Łotrostwo zobowiązuje, Żeby się w potrzebie stawić, Pocięgę ostatnią zanieść, W czarnej godzinie zabawić.

Romanca druga

Gdy tak ów wieczór spędzali Z sądu delegacja przyszła By na głos oskarżonemu Wyrok surowy odczytać.

Łotr wszakże, grą zatrudniony, Lubo to jego dotyka, Obrazki na stole śledził, Słuchać więc tamtych ni myślał.

Już i strażnicy wychodzą, Już pisarz też drzwi domyka, Już propozycja spowiedzi Pada z ust augustianina.

Tę nasz Nicasio Ganzúa Odrzuca i przypomina, Że przy komplecie nie śpiewa Tego, co w jutrznię przemilczał.

Gdy frater i straż odeszli, Hultaj znów grę rozpoczyna, Dobywa z ręki baranka, Barankiem przebija wicka.

A kiedy z łaski Fortuny Co mógł, to od tamtych wygrał, Wąsiska żwawo podkręcił

I spojrzął po żałobnikach.

Mars mu oblicze przeorał, A on, srogo jak władyka, Ostatnie życzenie głosi, Swej woli rąbek uchyla: „Asandziejowie przezacni, Z kozy mój głos się dobywa, A rano ze swym uściskiem Katowska czeka mnie lina.

Afekta jej wszak zabójcze, Los kłódkę właśnie zamyka, Oto więc me pożegnanie, Kto inny chce mnie powitać.

Biorę was przeto na świadków W ostatniej godzinie życia, A mój testament wypełnić Niech wam pomoże Sewilla.

Kreta mi wpuścił nikczemnik, Bo nie poskromił języka, Gdyby nie on, tobym nigdy Nie znalazł się w tych terminach.

Tedy niecnemu gadule Chcę piędź żelaza zapisać I niech mu przy tym nie braknie Zacnego z krwi naszyjnika.

Nagadał nad miarę – rzecz to Wielce dla zdrowia szkodliwa, Ja zatem dłużej nie prawię Na temat tego łotrzyka.

Item⁸², zechciejcie pozdrowić Imć wielmożnego złotnika, On to fałszywie zaświadczył

O zgoła nie moich winach.

Pozdrówcie go, nie mieszkając, Niechże mu lat nie przybywa, Nie chcę, by czasu miał nadto, Żeby Ganzúę wspominać.

Item, żelaznej pieszczoty Niech dozna ów Mojarrilla, Pacholek, co mnie tarosił, Jak gdybym był workiem żyta.

Ogladą zabłysnął sędzia, On działać zwykł w rękawiczkach.

Że godnie się zwie Fonseca, Niech godnie krew z niego sika.

*Na koniec – Samarytanką, Obecna tu Maripizca, Francą nijaką
nietkniętą, Nad wyraz wierna mi dziwka, Niechże opokę w was znajdzie,
Gdyż lubo to nie podwika, Nie godzi się, by samotnie Po mieście łąziła
nimfa.*

*Dnia tego i tego, w turmie Grodu, co zwie się Sewilla, Na tym mój
kończę testament, Taką wam wolę odkrywam”.*

Tu gębę Ganzúa zamknął.

*Z tamtych nikt o nic nie pyta, Całe bractwo poruszone, Z powagą każdy
łbem kiwa, Na życie własne, na honor, Na imię swe się zaklina, Że, jak się
rzekło, tak będzie, Słowa danego dotrzyma.*

Romanca trzecia

*O pierwszym brzasku Ganzúa Od stołu w kaplicy wstawał, On sam
ludzkie cieszył oko, A także i jego szata.*

*Rękawy koszuli wcięte, Liliowy na wierzchu kaftan, Grzeczne zielone
pluderki, Które pas przedni okalał.*

*Do tego ciżmy wyborne Lśniq, jakby ich nie zakładał, Błyszczą cholewki,
rzemyki, Błyszczą w każdym bucie klamra.*

*Aliści zbliża się pora, By pójść na spotkanie kata, Rozdziwa się więc
Ganzúa, Zgrzebną sukmanę zakłada, Taki strój bowiem przystoi Temu, co
na szafot wkracza.*

Sędziowie w togach podobnych Chodzą jeno w trybunałach.

*Na mule już go powieźli, Dłoń z krucyfiksem spętana, A czego sam nie
wyśpiewał, Obwoływacz, krocząc, gada I wszystko w głos opisuje.*

Skazaniec zasię pozdrawia, Kogo tam w ciżbie rozpoznał, Znużenia winem nie zdradza.

Rzekłbyś, że pątnik to idzie, Taka zeń biła powaga, Albo że na myśl o kaźni Wielki go spokój ogarnia.

*Wstąpił na szafot dostojnie, Lecz wielce przy tym uważał
Na jedną deseczkę w schodach, Bo była rozchwierutana.*

Ledwie na górę się dostał, Rozgląda się po kamratach, Po ludziach w krąg zgromadzonych I tymi słowy się zwraca: „Niech nikt nie waży się przeczyć, Że lubo śmierć to jest fraszka, Temu, którego Król skaże, Niezmierny zaszczyt przypada”.

Wszyscy mu tu przyklasnęli Ci, którym w czas pożegnania Testament swój był oznajmił, I wierna Samarytanka.

Pochwały i ona takż Od tam przytomnych zebrała, Bo ślepcom modły za spokój Duszy Ganzúii zadała.

Ten głosem silnym przemówił, Kiedy swe Credo odmawiał, Snadź odejść, jęcząc lękliwie, To dla honoru zniewaga.

Nareszcie kat mu obwiązał

Konopny sznur wokół gardła, Rzekł: „Wybacżże, bracie”, za czym Rzecz cała się dokonała.

Ganzúa gęby nie skrzywił, Gdy dusza zeń uleciała, Jak gdyby zgoła nie umarł, Lecz dumał nad losem świata.



EGOŻ MORALNA PRZESTROGA DLA KAPITANA
DIEGA ALATRISTE

Nie pragnę tego, czego mieć nie mogę, Czego los nie dał, nie boję się stradać, Fortuna wyroki może mi gadać, Nie dbam, podsądnym będę czy powodem.

Zło świata nie na mój młyn leje wodę, Zło człeka radości mi też nie zada, Nie lękam się, ma myśl jest śmierci rada, Na widok jej niechaj inny da nogę.

Ty też od pułapki trzymaj się z dala, Co serce zniewolić mężczyzny umie, Śród rozkoszy wszelkich i w cierpień tłumie

Znajdź trakt ku swobodzie, co życie pozwala, Żyj, Alatryste, sam, skoro się uprzysz, Bo sam dla siebie, jeśli umrzesz, umrzesz.



Przygody kapitana Alatryste

„Przygody kapitana Alatryste” to opowieść o Hiszpanii pierwszej połowy XVII wieku. Na tronie zasiada młody, niemający na nic wpływu, Filip IV, wnuk potężnego Filipa II. Dwór habsburski powoli staje się labiryntem intryg, podchodów, wzajemnych świństw. Z jednej strony sprawujący rządy kanclerz, z drugiej sekretarz królewski, uprawiający własną podstępą politykę ramię w ramię ze złowieszczym inkwizytorem. Na skrzyżowaniu tych dwóch ośrodków władzy znajduje się Diego Alatryste y Tenorio, czterdziestoparoletni szermierz, wytrawny żołnierz. W czasie gdy nie jest na wojnie, dorabia, pojedynkując się w cudzych sprawach. Małomówny, raczej sceptyk, zna życie od najgorszej strony i może dlatego zachowuje wciąż elementarne zasady moralne.

Po powrocie z wojny we Flandrii kapitan Alatryste natychmiast dostaje kolejne zadanie. Musi udaremnić spisek sekretarza królewskiego przeciwko królowi i nie dopuścić do przejęcia złota płynącego z Ameryki Południowej. Znow na jego drodze staje zaprzysięgły wróg...

Każda powieść z tej serii stanowi odrębną przygodę, choć nie zmieniają się główni bohaterowie, także źli, i najczęściej poczynania tych ostatnich są osnową fabuły.

Wkrótce kolejny tom!

Patroni medialni:



gracze

marie claire

empik news



Pełna kultura



merlin.pl

Cena 29,90 zł

ISBN 83-7319-715-X



9 788373 197152 >

www.muza.com.pl

Notatki

[← 1]

Mateo Alemán, *Primera parte de la vida de Guzmán de Alfarache* (Żywota Guzmana z Alfarache część pierwsza). – Wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza.

[← 2]

W listopadzie 1625 r. ponad 8000 Anglików pod wodzą lorda Wimbledon wylądowało pod Kadyksem. Zostali odparci przez załogę twierdzy, liczącą 600 ludzi.

[← 3]

Lope de Vega, La moza de cántaro (Dziewka służebna). – Jeśli nie podano inaczej, wszystkie przekłady tekstów poetyckich pochodzą od tłumacza.

[← 4]

Zamek San Lorenzo de Puntal znajduje się naprzeciwko portu Kadyks i broni wejścia do zatoki.

[← 5]

W 1596 r. Robert Devereux, książę Essex (1567–1601), faworyt Elżbiety I, złupił Kadyks w zemście za wyprawę Niezwyciężonej Armady i wziął kilkudziesięciu zakładników, stając się bohaterem narodowym.

[← 6]

García de Toledo Osorio, diuk de Fernandina, markiz de Villafranca (?–1649) – dowódca floty galer hiszpańskich. Później popadł w niełaskę faworyta królewskiego, hrabiego de Olivares.

[← 7]

Buis (niderl.) – niewielki, trójmasztowy kuter do połowu śledzi, szczególnie popularny w Niderlandach i Anglii w XVII w.

[← 8]

Mateo Aleman (1547–1613) – powieściopisarz, autor wzorcowej powieści łotrzykowskiej *Guzmán de Alfarache*.

[← 9]

Powieść łotrzykowska z 1616 r., autorstwa Vicentego Espinela (1550–1624).

[← 10]

Lope de Vega, *Los milagros del desprecio* (Cuda wzgardy).

[← 11]

W bitwie pod Nordlingen w 1634 r. siły katolickie pod wodzą niemieckiego hrabiego Mathiasa von Gallas i hiszpańskiego diuka markiza de Leganes pokonały szwedzko-niemiecką armię protestantów.

[← 12]

Francuzi oblegali graniczną twierdzę Fuenterrabia (Kraj) Basków) w 1638 r.

[← 13]

Most pontonowy, skonstruowany przez arabską dynastię Almohadów w 1172 r. z połączonych ze sobą i wspartych na murowanych nabrzeżach łodzi. Przetrwał do drugiej poł. XIX w.

[← 14]

Hernán Cortes Pizarro (1485–1547) – zdobywca Meksyku w 1521 r.

[← 15]

Francisco Pizarro González (1478–1541) – zdobywca Peru w 1532 r.

[← 16]

Francisco de Quevedo, *Letrilla satirica: Poderoso caballero es don Dinero* (Wiersz satyryczny: Oj, nie cesarz to i nie ksiądz, to mospan Pieniądz).

[← 17]

Lisi – imię tajemniczej adresatki cyklu miłosnych wierszy Queveda.

[← 18]

Lope de Vega, *El Arenal de Sevilla* (Arenal).

[← 19]

Juan Leganés (XVII w.) – wieśniak, analfabeta, obdarzony wielkimi zdolnościami arytmetycznymi, czemu zawdzięczał sławę rzekomego matematyka.

[← 20]

Francisco de Quevedo, Ya que coplas componéis... (Skoro się za wiersze bierziesz...).

[← 21]

Rodrigo Calderón, hrabia de Oliva, markiz de Siete Iglesias (1576–1621) – prawa ręka diuka de Lerma, faworyta króla Filipa III, odsunięty od wpływów i stracony skutkiem knowań Olivaresa.

[← 22]

Mamora – siedlisko piratów i korsarzy w Maroku (dzisiejsza Mehdia), na północ od Rabatu, zdobyte przez Hiszpanię w 1614 r.

[← 23]

Roncesvalles – wąwóz w Pirenejach, gdzie w 778 r. w bitwie z Saracenami miał zginąć legendarny Roland, rycerz osłaniający tyły armii Karola Wielkiego.

[← 24]

Numancja – starożytne miasto Celtiberów w dzisiejszej pn. Kastylii, przez lata opierające się najazdom Rzymian. Padło w 133 r. p.n.e., zdobyte przez konsula Publiusza Scypiona Emilianusa.

[← 25]

Quevedo robi tu aluzję do pewnej przyspiewki autorstwa Gongory, z której naśmiewał się w wierszu A don Luis de Góngora (Do mości Luisa de Góngora): Poeto „och, jak cudniuśki”, kacie języka naszego...

[← 26]

Juan Manuel Pérez de Guzmán, ósmy diuk de Medina Sidonia, zwany Dobrym (1579–1636) – magnat z potężnej i zasłużonej w walkach z Maurami rodziny arystokratycznej, skoligacony m.in. z panującymi domami Portugalii i spokrewniony z samym Olivaresem.

[← 27]

Arroba (hiszp.) – dawna jednostka wagi, równa 11,502 kg, 20 *arrobas* to 230 kg.

[← 28]

Francisco de Quevedo, Que este mundo es juego de bazas... (Ten świat zda się stołem karcianym...).

[← 29]

Gaspar Alonso Pérez de Guzmán, dziewiąty diuk de Medina Sidonia (?–1664), faktycznie w 1641 r. (już po śmierci ojca) podjął próbę obwołania się królem Andaluzji. Spisek udaremniono, ale dzięki swym wpływom Medina Sidonia uniknął kary.

[← 30]

Francisco de Sandoval y Rojas, diuk de Lerma (1553–1625) – faworyt i wszechmocny minister Filipa III. Skutkiem intryg ludzi Olivaresa w 1618 r. odsunięty od wpływów, przyjmując stan kapłański, uratował się od śmierci.

[← 31]

Escaramán – postać łotrzyka z hiszpańskiego teatru okresu Złotego Wieku, pojawiająca się w utworach scenicznych i poetyckich Cervantesa, Queveda, Quiñonesa de Benavente i in.

[← 32]

Lope de Vega, *El Arenal de Sevilla* (Arenal).

[← 33]

Francisco de Quevedo, sonet *Desengaño de las mujeres* (Niewiastami rozczarowanie).

[← 34]

Pedro Vázquez de Escamilla – XVI-wieczny zabijaka sewilski, stracony na szafocie. Jego nazwisko stało się okrzykiem wojennym bandytów w walkach z rywalizującymi gangami. Lope de Vega określił go w komicznej epopei *La gatomaquía* (Gatomachia albo Wojna kotów) mianem „chwata z Sewilli”.

[← 35]

Heria – dzielnica Sewilli, podobnie jak Percheles w Maladze siedziba najbarwniejszego elementu miejskiego.

[← 36]

Fragment listu (pisanego ok. 1606 r.) prebendarza katedry sewilskiej Francisca Porrasa de la Cámara do arcybiskupa Sewilli Fernanda Niño de Guevara.

[← 37]

Podwórzec Pani Elviry – nieistniejący dziś teatr, w którym wystawiał swe sztuki Miguel de Cervantes. Nazwany na cześć Elviry de Ayala, córki kanclerza Pedro Lopeza de Ayala (1332–1407), któremu król Kastylii Henryk III podarował żydowskie dobra w dzielnicy Santa Cruz.

[← 38]

Gonzalo de Xeniz a. Xenis (?–1596) – sewilski zabijaka, wielka nadzieja buntujących się przeciwko władzy morysków, kilkakrotnie wypuszczany z więzienia, by stanąć na czele oddziałów wojska. Postrach Sewilli, ostatecznie skazany i stracony.

[← 39]

Gayón (XVI w.) – jeden z legendarnych łotrzyków sewilskich, sławny dzięki sztuce fechtunku.

[← 40]

Kakus – syn boga Wulkana, zachłanny potwór, mieszkający na Awentynie: *A owładnięty
szalem Kakus żadnej / Nie chciał ominąć zbrodni ni podstępu* (P. Vergilius Naso, *Eneida*,
przeł. Zygmunt Kubiak).

[← 41]

Łuk Łańcuchów (Arco de las Cadenas).

[← 42]

Aljama – dzielnica zamieszkała przez wspólnotę żydowską (czasami słowo to oznaczało też dzielnicę muzułmańską) w miastach chrześcijańskich.

[← 43]

Kommen sie herein (niem.) – proszę wejść.

[← 44]

Araukanie (nazwa nadana przez Hiszpanów Indianom Mapuche na pn. dzisiejszego Chile) byli masowo zatrudniani do wypłukiwania złota z odkrywek.

[← 45]

Krzyż na Okólniku (hiszp. la Cruz del Rodeo) – kapliczka u północnego krańca Alamedy.

[← 46]

Piesek – gmerk, jakim opatrywał swe szerokie, krótkie miecze i rapiery płatnerz toledański Julián del Rey.

[← 47]

Linia (hiszp. línea) – dawna miara długości, równa 1/12 cala (ok. 2 mm).

[← 48]

Mowa o tzw. torturze wody. Polegała ona na duszeniu wieszanego do góry nogami delikwenta tkaniną, która z wolna nasiąkała wodą.

[← 49]

Patrz przypis 29.

[← 50]

Rodrigo Sarmiento de Silva, diuk de Híjar (1600–1660), w 1648 r. usiłował oderwać Aragonie od monarchii Filipa IV. Po wykryciu spisku został skazany na dożywotnie więzienie.

[← 51]

Portugalia oderwała się od Hiszpanii w 1668 r. po blisko 30-letnich zmaganiach.

[← 52]

W 1640 r. Katalończycy zbuntowali się przeciwko wydatkom na rzecz armii królewskiej, sprzymierzyli z Francją i rozpoczęli 12-letnią wojnę domową.

[← 53]

Pietro Contarini, Relazione di Spagna (Relacja z Hiszpanii) z 1621 r.

[← 54]

Francisco de Quevedo, *Los valientes y tomajonas (Baile)* (Zawadiaki i pijawki. Taniec).

[← 55]

Cervantes trafił do sewilskiego więzienia w 1597 r. wskutek upadłości bankiera, u którego miał depozyt.

[← 56]

Aleman odsiedział w sewilskim więzieniu lata 1580–1583. Echa tego pobytu znajdziemy w powieści *Guzmán z Alfarache*.

[← 57]

Cristóbal de Chaves (2 poł. XVI w.) – prokurator sądu królewskiego w Sewilli, autor *Relación de las Cosas de la Carcel de Sevilla y su trato* (Rzeczy o więzieniu w Sewilli i tamiecznych stosunkach), będącej pełnym humoru opisem barwnej społeczności więziennej.

[← 58]

Złoto, szpada – kolory hiszpańskiej talii kart (obok pucharu i pałki).

[← 59]

Luzytania – rzymska prowincja obejmująca dzisiejszą Portugalię. Stąd luzytański – portugalski.

[← 60]

Taki jest szkielet fabuły współczesnej powieści *Kamienna tratwa*, napisanej przez portugalskiego noblistę i przyjaciela Artura Pereza-Reverte, Portugalczyka... José Saramago.

[← 61]

Arma virumque cano (łac.) – *Oręż opiewam i męża* (Publius Vergilius Maro, *Eneida*, przeł. Zygmunt Kubiak).

[← 62]

[Bella per Emathios] plus quam civilia campos (łac.) – Walki na polach tesalskich nad wojnę gorsze domową (Marcus Annaeus Lucanus, *Wojna domowa*, przeł. Mieczysław Brożek).

[← 63]

Rentoy – gra karciana rozgrywana w parach (zazwyczaj dla czterech osób, ale zdarza się grać w sześć i osiem). Z czasem stała się bardzo popularna w Meksyku.

[← 64]

Uniesienie brwi w rentoyu najczęściej było tajnym sygnałem, że gracz ma atutowego króla.

[← 65]

Wicek – druga co do starszeństwa karta w danej grze.

[← 66]

Francisco de Quevedo, *Los valientes...*, dz. cyt.

[← 67]

Jechać po tuńczyka i w odwiedziny do diuka – powiedzonko datujące się od czasów Kolumba. Diukiem była głowa rodu Medina Sidonia, który oprócz ogromnego dworu w Sewilli miał też solidne udziały w połowie tuńczyków w Sanlúcar de Barrameda. Cytowane porzekadło znaczyło tyle, co „upiec dwie pieczenie na jednym ogniu”.

[← 68]

Ignoramus atque ignorabimus (łac.) – nie wiemy, jako i wiedzieć nie będziemy.
Anachronizm: powiedzenie, wyrażające ograniczoną możliwość ludzkiego poznania, spopularyzowane dopiero w 1872 r. przez niemieckiego fizjologa Emila du Bois-Reymond.

[← 69]

Juan Eslava Galán (ur. 1948 w prowincji Jaén) – pisarz hiszpański, faktycznie obdarzony szerokim uśmiechem i rudą brodą, autor przełożonej na polski powieści fantastyczno-historycznej *Jednorożec*. Jego drugie nazwisko znaczy „fircyk”.

[← 70]

Noli me tangere (łac.) – nie tykaj się mnie (słowa Jezusa do Marii po zmartwychwstaniu według Wulgaty, J 20,17, przekład Jakuba Wujka).

[← 71]

Viriatus (190–139 p.n.e.) – przywódca zbrojnego oporu Celtiberów przeciwko Rzymianom na terenach dzisiejszej Portugalii.

[← 72]

Rodomontada – przechwałka, nazwa wzięta od imienia Rodomonte, pyszałkowego króla Algieru, występującego w *Orlandzie szalonym* Lodovica Ariosta.

[← 73]

Kastylia historycznie dzieli się na dwie Kastylie, niegdyś zwane Stara i Nowa, a dziś Kastylia–León i Kastylia–Mancza.

[← 74]

*Porém... (port.) – Ja z pilotami na plaż biały piasek, by poznać, gdzie nas wiodły bogi:
wysokość Słońca na niebie więc badam / i pomiar zaraz na mapę nakładam (Luís Vaz de
Camões, Luzytanie, przeł. Ireneusz Kania).*

[← 75]

Mało nas... – sarkastyczna modyfikacja hiszpańskiego powiedzenia „mało nas było, jeszcze babka dzieci na świat wydała”, odpowiednik naszego „i tego jeszcze brakowało”.

[← 76]

Francisko de Quevedo, *Desengaño de la exterior apariencia, con el examen interior y verdadero* (Rozczarowany pozorem zewnętrznym, poeta do wnętrz zagląda i prawdę tam znajduje).

[← 77]

Patrz *W cieniu inkwizycji*, Wydanie 2004, s. 157. Guadalmedinę zawodzi pamięć: w rzeczywistości słowa te wypowiedział Olivares do kapitana.

[← 78]

Francisco de Quevedo, *Advertencia a España de que así como se ha hecho señora de muchos, así sera de tantos enemigos envidiada y perseguida, y necesita de continua prevención por esa causa* (Przestroga dla Hiszpanii, co zrazu władztwo nad wieloma zdobyła, ale także i od wielu wrogów zawiścią będzie ścigana, dla której to przyczyny trzeba jej nieustannie przezorność zachowywać).

[← 79]

Francisco de Quevedo, Prevención para la vida y para la muerte (Przysposobienie do życia i do śmierci).

[← 80]

Parafraza końcówki wiersza Queveda *El escarmiento* (przestroga).

[← 81]

In utriusque (łac.) – zarówno.

[← 82]

Item (łac.) – podobnie.